

ALEKSANDER DUMAS

(OJCIEC)

**W PAŁACU
C A R Ó W**

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

WARSZAWA

1932

BIBLIOTEKA ECHA POLSKIEGO

KOMISARJAT RZĄDU
m. st. WARSZAWY

Exemplarz obowiązkowy

Nakład 3000 egz.

dnia 19/VIII 1932

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

W PAŁACU CARÓW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA



H 314

WARSZAWA ————— 1932
BIBLIOTEKA ECHA POLSKIEGO

Biblioteka Echa Polskiego

DWUTYGODNIK

ROK II

SIERPIEŃ 1932.

TOM XXXVII.

REDAKTOR i WYDAWCA:
JAN STYPUŁKOWSKI

1 600.140

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Aleje Jerozolimskie Nr. 15, tel. 9-95-31

I.

Przeżywałem wtedy jeszcze porę złudzeń i rozporządzałem kapitałem około 4000 franków, który wydawał mi się bogactwem niewyczerpanem, gdy do uszu mych doszła wieść o Rosji, jako o istnem Eldorado dla wszelkiego rodzaju mniej lub więcej biegłych artystów. Wierzyłem w swój talent, a przeto postanowiłem udać się do Petersburga.

Postanowienie to bezzwłocznie doprowadziłem do skutku. Byłem samotnym, nie miałem rodziny, długów—również. Musiałem tylko zaopatrzyć się w kilka listów polecających oraz paszport, co nie zajęło mi wiele czasu, a tydzień nie minął, jak byłem w drodze do Brukselli.

W stolicy Belgji zatrzymałem się przez dwa dni. W Liège—dzień jeden. Tu, w archiwum miejskiem, ujrzałem pewnego starego kolegę szkolnego, to też nie chciałem ominąć okazji widzenia się z nim. Powiedziałem mu o swym zamiarze zwiedzenia największych miast Prus oraz miejsc znanych bitw. Ale ten zaczął się śmiać, mówiąc że w Prusach ludzie się zatrzymują nie tam gdzie chcą, ale tam gdzie to się podoba konduktorom, w których dyspozycji pasażerowie są całkowicie. I rzeczywiście, przez cały czas podróży od Kolonji po Drezno, gdzie miałem chęć zatrzymania się przez trzy dni, pozwalano nam wychodzić z dylżansu tylko na obiad i na to wyznaczano ściśle tylko tyle czasu, ile trzeba, by się nasycić.

Przez trzy dni takiego pozbawienia wolności, przeciwko któremu nikt z pasażerów nie protestował — tak dalece było to powszechnem w królestwie Jego Królewskiej Mości, Fryderyka Wilhelma — przybyliśmy do Drezna.

Nie będę opisywać szczegółowo, jak dostałem się do Rosji. Począwszy od Wilna, podróżowałem kołmi tym samym szlakiem, którym przed dwunastu laty kroczyła armja Napoleona do Moskwy.

Bardzo pragnąłem obejrzeć Smoleńsk i Moskwę, ale, by je widzieć, trzeba by było zrobić około dwustu wiorst nad program, a to było dla mnie niemożliwością. Spędziwszy jeden dzień w Witebsku i obejrzawszy dom, w którym przez dwa tygodnie mieszkał Napoleon, wsiadłem do budy, w jakiej jeżdżą kurjerzy po Rosji.

Nazywa się tu taka buda „pierekładnaja”, ponieważ konie są przekładane, czyli zmieniane na każdej stacji.

Do takiej budy zaprzężono trzy konie. Jeden z koni, środkowy, pędził, trzymając łeb prosto, a dwa boczne — spuściwszy łby i odwróciwszy je na obie strony.

Jechałem teraz szlakiem, którym odbywała swą podróż na Krym Katarzyna Wielka. Nazajutrz wieczór przybyłem do Wielkich Łuk. Drogi były tak dalece złe, a mój „ekwipaż” tak strasznie trząsł się — że chciałem początkowo zatrzymać się tu, aby choć trochę wypocząć, ale rozmyśliwszy się — ruszyłem dalej. Do Petersburga pozostało mi około 170 wiorst. Bezcelowem jest mówić, że przez całą tę noc oka nie zmrużyłem, trzęsąc się w tym ekwipażu, jak orzech w skorupie. Nieraz usiłowałem jakoś przystosować się do swego drewnianego siedzenia, na którym leżało coś w rodzaju skórzanej poduchy, grubości zeszytu

szkolnego, cóż, kiedy raz po raz staczałem się z niej i musiałem znowu gramolić się na swe miejsce, ubolewając w duszy nad nieszczęsnymi kurjerami rosyjskimi, którzy zmuszeni są robić po 1000 wiorst w takich okropnych budach.

W każdym innym ekwipażu mógłbym czytać. Tu również kilkakrotnie próbowałem czytać, ale już przy czwartym czy piątym zdaniu książka wypadła mi z rąk a gdy się schylałem, by ją podnieść, to dostawałem tęgi cios w głowę lub w plecy. To szybko wyleczyło mnie z chęci czytania w drodze.

Nazajutrz o świcie byłem już koło Beżanic, niedużej wioski, a czwartego dnia w Porchowie, starem mieście, położonem nad rzeką Szełoń. Była to połowa mej drogi. Czułem wielką pokusę zanocowania tutaj, ale „pokój dla przejezdnych” w tutejszym hotelu był tak niechlujny, że wolałem udać się w dalszą drogę. Prócz tego mój woźnica upewnił mnie, że droga dalej będzie o wiele lepszą i to skłoniło mnie do zdobycia się na krok tak heroiczny.

Dalej popędziliśmy galopem, więc też jeszcze bardziej rzucało mną i potraçało w budzie. Woźnica, po rosyjsku jamszczyk, siedząc na kozle, śpiewał jakąś pieśń smętną, żałosną, płacziwą, której słów nie rozumiałem wcale, ale której motyw żaloszny tak bardzo odpowiadał memu smutnemu nastrojowi. Gdybym wam rzekł, że chociaż na godzinę przymknąłem oczy tej nocy, to powiedziałbym nieprawdę. Podrzucanie było tak wielkie, że nawet sam woźnica tylko z trudem utrzymywał się na siedzeniu. Przyszła mi wtedy do głowy myśl: a możeby tak zamienić się z nim miejscami? Cóż, kiedy mimo wszelkie tłumaczenie mu—nie mógł mnie zrozumieć! Zresztą, może się nawet obawiał przystać na to, podejrzewając, że w tym razie nie wykona swego zobowiązania? Pojechaliśmy dalej:

woźnica nucił swoją peśń dalej, a ja nie przerywałem swego mimowolnego tańca w budzie...

Około godziny piątej przybyliśmy do wsi Horodec, gdzie zatrzymaliśmy się na śniadanie. Chwała Bogu! Stąd do celu mej podróży było nie więcej ponad pięćdziesiąt wiorst.

I oto znowu siedzę w budzie. Zapytałem woźnicę, czy nie można opuścić osłony budy? Ten odparł, że niema nic łatwiejszego na świecie.

W Łudze przyszła mi do głowy inna, nie mniej wspaniała myśl: usunąć deskę na której siedzę, nasłać jaknajwięcej słomy, a pod głowę zamiast poduszki podłożyć swój płaszcz. W ten sposób, dzięki tym stopniowym ulepszeniom, dobiłem się możliwości jechania mniej więcej znośnie. Przyjechaliśmy do Gatczyna; tu woźnica wskazał mi pałac, w którym mieszkał car Paweł I podczas całego panowania Katarzyny Wielkiej. Następnie w Carskiem Siole widziałem pałac, w którym mieszkał car Aleksander I, ale że byłem bardzo zmęczony drogą, tedy zadowolniłem się tylko obejrzeniem tych pałaców zdala, ślubując sobie, że obejrzę je kiedyindziej gruntownie w lepszych warunkach.

Za Carskim Siołem złamała się oś powozu, który jechał przed nami, skutkiem czego ekwipaż ten przewrócił się. Wyskoczył z niego jakiś wysoki, szczupły jegomość, trzymając w jednej ręce cylinder, a w drugiej małe skrzypce. Jegomość ten był czarno ubrany, tak jak ubierano się w Paryżu w 1812 roku: miał na sobie krótkie spodnie, jedwabne czarne pończochy i pantofle z klamerkami. Stanąwszy na ziemi, jął najprzód tupać prawą nogą, poczem lewą, następnie jął skakać, oczywiście, chcąc się przekonać, czy niczego sobie nie złamał. Uznałem za niestosowne przejechać

koło niego, bez zatrzymania się i bez zapytania, czy nie przydarzyło się mu jakieś nieszczęście.

— Żadne, monsieur, — odparł jegomość, — jeśli nie wziąć pod uwagę, że opuszczę lekcję. A za każdą lekcję dostaję luidora. Uczenica moja jest najpiękniejszą kobietą Petersburga, pannę de Włodeck. Pojutrze odtwarzać ona będzie Filadelfję, jedną z córek Lorda Wartona, na festynie, który urządzony będzie na cześć księżniczki Weinarskiej.

— Wybacz mi pan, — odparłem, — nie zupełnie rozumiem, ale to niema znaczenia, skoro i tak mogę być panu w czemś użytecznym.

— Nie tylko użytecznym, ale może mnie pan poprostu zbawić! Wyobraź pan sobie, że właśnie jadę z lekcji tańców od księżny Lubomirskiej; jej willa leży stąd niedaleko. Za tę lekcję dostaję po dwa luidory — mniej nie biorę. Cieszę się dużem wzięciem, to też mam z tego dobry zysk. Sprawa jest bardzo prostą, ponieważ innego mistrza tańców, prócz mnie, niema w Petersburgu. I oto powóz, w którym odwożono mnie do miasta, jak monsieur widzi, złamał się,

— Jeśli się nie mylę, monsieur, — rzekłem, — to mogę wyświadczyć panu przysługę, proponując panu miejsce w swoim... powozie.

— Och, monsieur! To byłoby wielką dla mnie przysługą, ale doprawdy nie mam śmiałości..

— Co znowu! Wobec współrodaka?

— Więc pan jesteś francuzem?

— I również, jak pan, artystą!

— Pan — artystą? Ach monsieur, Petersburg jest bardzo marnem miastem dla artystów! Specjalnie dla mistrzów tańca. Ale spodziewam się, że pan nie jest nauczycielem tańca?

— Przecież dopiero co powiedział mi pan, że po-

biera pan po luidorze za lekcję! Sądzę, że jest to bardzo przyzwoite wynagrodzenie.

— Słuszna racja, monsieur. Ale teraz, wie pan, już nie to, co było dawniej. Francuzi zepsuli Rosję. Więc nie jest pan mistrzem tańców? Nie?

— A mnie właśnie opowiadano o Petersburgu, jako o nadzwyczajnem mieście specjalnie dla wszelkiego rodzaju artystów.

— Zupełnie słusznie, monsieur; tak było rzeczywiście, ale dawniej. Jakiś, dajmy na to, nędzny goli-broda zarabiał tu jeszcze niedawno po 600 rubli dziennie, podczas gdy ja z trudem wycisnę ledwo 80... Niechże pan powie, czy pan doprawdy nie jest mistrzem tańców?

— O, nie, mój kochany rodaku, — odparłem, przejęty jego obawą, — pan możesz śmiało wsiąść do mego powozu, nie lękając się, że zrobię mu konkurencję.

— Merci, Monsier! Z przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie, — odparł mój towarzysz podróży, usadawiając się obok mnie w „ekwipażu”, — teraz, dzięki panu, zdążę na czas na lekcję.

Woźnica popędził galopem, i w trzy godziny potem, to jest już wieczorem, wjechaliśmy do Petersburga, przez bramę moskiewską. Mój nowy znajomy stał się bardzo miłym i sympatycznym towarzyszem podróży, gdy tylko przekonał się, że nie jestem nauczycielem tańców... Poradził mi stanąć w hotelu Londyńskim, na rogu Newskiego Prospektu i placu Admiralicji.

Rozstaliśmy się. Wsiadł do dorożki, ja zaś skierowałem się do tego hotelu.

Nie potrzebuję mówić, że pomimo całej chęci zapoznania się jaknajprędzej z miastem Piotra I, odłożyłem ten zamiar do dnia jutrzejszego. Byłem lite-

ralnie połamany, i ledwie stałem na nogach. Z wysiłkiem dotarłem do swego pokoju, gdzie, na szczęście, zastałem wygodne łóżko, czego byłem pozbawony, począwszy od Wilna.

Obudzivszy się nazajutrz około godziny dwunastej, przedewszystkiem podbiegłem do okna: przedemną stał gmach Admiralicji ze swą Złotą Iglą, na której widniał mały okręt. Admiralicja była okoloną pasem drzew. Po lewej stronie placu był senat, a po prawej — Pałac zimowy i Ermitage. Pomiędzy nimi widać było zakręty Newy, która wydała mi się tak szeroka, jak morze.

Ubierając się, zjadłem na prędce śniadanie i natychmiast pobiegłem na Bulwar Pałacowy około mostu Troickiego, długiego na 1800 kroków, skąd poradzono mi obejrzeć miasto.

Muszę przyznać, że była to jedna z najlepszych rad, danych mi w życiu.

Doprawdy, nie wiem, czy jest na świecie jaki inny widok, który mógłby się równać z roztaczającą się przed memi oczami panoramą!

Przedemną, po prawej stronie, połączona dwoma lekkimi mostami wystawała forteca, pierwsza kałebka Petersburga. Pomiędzy jej gmachami zarysowywał się ostry szczyt Soboru Piotra i Pawła, miejsca wiecznego spoczynku carów rosyjskich, oraz zielony dach pałacu Mennicowego. Nawprost fortecy widać było gmach pałacu Marmurowego, którego główny brak na tem polega, że architekci zapomnieli dać mu fasadę. Dalej szły: Ermitage, wspaniały gmach, postawiony przez Katarzynę II, Pałac Zimowy, bardziej imponujący swym ogromem, niż pięknem architektury; Admiralicja ze swemi dwoma pawilonami i schodami z granitu. Tu biorą początek trzy główne ulice Petersburga: Newski Prospekt, ulica Gorochowaja

I Prospekt Wozniesiński. Za Admiralicją widać było bulwar Angielski z jego wspaniałemi gmachami, kończący się Nową Admiralicją.

Wprost przede mną widać było Wasiljewskij Ostrow, giełdę, gmach nowoczesny, zbudowany—nie wiem czemu—pomiędzy dwiema rostralnemi kolumnami. Schody od giełdy biegną ku samej Newie. Tu również w pobliżu znajdują się wszelkie instytucje naukowe: Uniwersytet, Akademia Nauk, Akademia Sztuk Pięknych, a w samym końcu, tam gdzie Newa robi ostry zakręt—Instytut górniczy.

Po drugiej stronie brzegi Wasiljewskiego Ostrowu (Wyspy) omywa Mała Newa, oddziałająca go od Wolnego Ostrowu. Tu w przepięknych ogrodach, za pozłacanemi kratami kwitną w ciągu trzech miesięcy, dopóki bywa lato petersburskie, przenantymnaisze rzadkie kwiaty, i tu leżą najwspanialsze wille bogatych mieszkańców stolicy

Gdy stanąć plecami do fortecy, a twarzą przeciwko biegowi Newy, to widok panoramy zmienia się, wciąż jeszcze nie przestając być wspaniałym: na jednym brzegu stoi Sobor Troicki, a na drugim —Ogród Letni. Na pierwszym brzegu stoi maleńki domek, w którym mieszkał Piotr I podczas budowania fortecy. Około tego domku dotychczas jeszcze przechowało się drzewo, do którego umocowano obraz Matki Boskiej.

Kiedy założyciel Petersburga Piotr Wielki zapytał raz kogoś, do jakiej wysokości podniosła się woda w Newie podczas powodzi, to pokazano mu ten obraz Matki Boskiej, a wtedy car gotów był wyrzec się swego wielkiego planu wystawienia tu stolicy...

Drzewo i domek okolone zostały wałem z kamieni gwoli zabezpieczenia ich od niszczącego wpływu klimatu. Sam domek zdumiewa swą przedziwną pro-

stotą. Posiada raptem trzy pokoje: stołowy, salonik i sypialny. Piotr I wybudował miasto, ale nie miał czasu wybudować sobie pałacu... i

Dalej po drugiej stronie Wielkiej Newy zaczyna się Stary Petersburg. Tu znajduje się szpital wojskowy i Akademia Medyczna. Za nim leży wieś Ochta ze swą piękną okolicą. Po tej stronie rzeki, na prawo od koszar kawaleryjskich leżą Pałac Taurydzki ze swym przedziwnym dachem, pokrytym szmaragdami, koszary artylerji i stary klasztor Smolny.

Nie mogę rzec, ile czasu stałem na moście, zachwycony tą przedziwną panoramą. Przy bardziej szczegółowem obejrzeniu tych wszystkich pałaców i parków, wydały mi się one dekoracją operową: kolumny, które zdala wydawały się marmurowemi, były w gruncie rzeczy z cegły, ale na pierwszy rzut oka widok ich był na tyle zachwycający, że przechodził wszystko, co można było sobie wyobrazić.

Wybiła godzina czwarta, a byłem uprzedzony, że table d'hôte w hotelu zaczyna się o godzinie pół do piątej. Przeto, ku wielkiemu swemu żalowi, musiałem być wrócić do domu. Z powrotem szedłem koło Admiralicji, aby lepiej przyjrzeć się kolosalnemu pomnikowi Piotra Pierwszego, który przedtem widziałem tylko zdala, z mojego okna.

Co się tyczy ludności, to zaraz na pierwszy rzut oka posiada ona wiele charakterystycznej odrębności. Przedewszystkiem powiem, że w Petersburgu są albo niewolnicy, albo potentaci — środka pomiędzy nimi niema!

Jeśli chodzi o muzyka, to wygląd jego nie jest wcale interesujący: w zimie nosi t. zw. tułup, czyli kożuch owczy, w lecie — koszulę na wierzch portek. Na nogach ma coś w rodzaju sandałów, które przytrzymują się za pomocą długich rzemyków, oobkrę-

canych aż po same kolana. Włosy ma krótko ostrzyżone, a brodę taką, jaką mu dała matka natura. Niewiasty noszą długie półkożuchy, spadające im na spódnice i ogromne buciska, w których noga całkowicie zatracca swój kształt.

Należy rzec prawdę, że w żadnym innym kraju nie ujrzyś ludzi o takich spokojnych twarzach, jak tutaj. W Paryżu, z pośród pierwszych lepszych dziesięciu ludzi należących do sfery niższej, z pewnością u pięciu lub sześciu na twarzach ma wypisane cierpienie, nędzę czy strach. W Petersburgu nigdy nic podobnego nie widziałem.

Inna osobliwość, która uderzyła mnie w Petersburgu — to kanały, przecinające wiele ulic. Nigdzie na ulicach niema wielkiego tłoku powozów, wszędzie masz szerokość przestrzeni. Ulicami pędzą z wielką szybkością dorożki, kibitki, bryczki i powozy, że tylko co krok słyszysz:

— „Poskorciej!” (Prędziej!) Chodniki pełne przechodniów. Woźnice odznaczają się wielką biegłością w kierowaniu końmi.

Wśród ozdób Petersburga pierwsze miejsce zajmuje pomnik cara Piotra Pierwszego, postawiony mu przez hojną Katarzynę Drugą. Car wyobrażony jest na tym pomniku jako jeździec na koniu stojącym dęba, co jest aluzją do szlachty moskiewskiej, którą nie tak łatwo było mu poskromić. Siedzi na skórze niedzwiedziej, symbolizującej dzikość moskiewskiego ludu. Dla wyjaśnienia alegorii tego pomnika, podam, że postawiony jest na dzikiej skale granitowej, która ma znowu wskazywać na te przeszkody, jakie musiał przezwyciężyć założyciel Petersburgu.

Zegar po raz trzeci wybił pół do piątej, gdy odszedłem od tego arcydzieła dłuta naszego rodaka, Falconneta, od napisu: Petro Primo — Catharina Se-

cunda, 1782. Bałem się, że moje miejsce przy table d'hôte zastanę zajęte...

Petersburg jest największem z małych miast, jakie dotąd w życiu poznałem. Wiadomość o mem przybyciu rozeszła się już była prawie po całym mieście, dzięki memu współtowarzyszowi podróży, który, zresztą, nie mógł nic innego powiedzieć o mnie poza tem, że podróżowałem dylizanssem pocztowym i że nie byłem nauczycielem tańców. Wieść ta wywołała, pewien niepokój wśród całej tutejszej kolonji francuskiej, której każdy członek lękał się ujrzeć we mnie swego konkurenta czy rywala.

Ukazanie się moje w stołowym pokoju wywołało szmer wśród czcigodnych gości przy table d'hôte; każdy z nich starał się z mego wyglądu, z manier wywnioskować: do jakiej sfery towarzyskiej należę. Ale nie tak to łatwo było rozstrzygnąć tę kwestję! Złożyłem ukłon ogólny zebrany i zająłem swe miejsce.

Przy zupie, do mego incognito, dzięki skromności pierwszego wrażenia, jakie wywarłem, odniesiono się jeszcze z pewnym szacunkiem, ale już przy pieczysem — ciekawość, długo wstrzymywana, pękła wreszcie u mego sąsiada po prawej stronie.

— Monsieur jest pewno obcym w Sankt Petersburgu? — spytał, wyciągając do mnie swą szklankę.

— Nie inaczej, przyjechałem właśnie wczoraj wieczorem, — odparłem, nalewając mu wina do szklanki.

— Więc monsieur jest rodakiem? — zapytał mój sąsiad po lewej stronie.

— Bardzo możliwe... Jestem z Paryża.

— A ja jestem z Tours, z tego ogrodu Francji, gdzie, jak panu wiadomo, ludzie mówią najczystziej po francusku.



Przybyłem do Petersburga, aby tu zastać nauczycielem...

Pan, prawdopodobnie, też tu po to przyjechał? W przeciwnym razie dałbym mu doskonałą radę: wrócić bezzwłocznie do Francji!

— Dlaczego?

— A dlatego, że ostatni jarmark nauczycieli w Moskwie wypadł bardzo źle!

— Jarmark nauczycieli? — zapytałem zdumiony.

— Tak, panie, alboż pan nie wiesz, że ten nieszczęsny Le Duc stracił w tym roku połowę swego majątku?

— Panie, — zwróciłem się do swego sąsiada po prawej stronie, — niech mi pan nie odmówi wyjaśnienia, kto jest ten Le Duc?

— Nadzwyczajnie czcigodny restaurator, który równocześnie utrzymuje kantor wszelkiego rodzaju nauczycieli. Ci są u niego na całkowitem utrzymaniu, on zaś taksuje ich zgodnie z ich zaletami. W czasie Wielkanocy i podczas Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy dostojnicy i bogacze rosyjscy przybywają do stolicy, Le Duc otwiera swój kantor, wyrabia posady swym nauczycielom i w ten sposób zwraca sobie wszystkie wydatki wyłożone na ich utrzymanie, i nawet zarabia jeszcze od nich za pośrednictwo... Otóż, mój panie, w bieżącym roku jedna trzecia jego nauczycieli została bez posad, a prócz tego zwrócono mu jeszcze szóstą część tych, których wysłał był na prowincję. Nieszczęsny człowiek, jest dziś zrujnowany doszczętnie!

— Och, biedny!

— Otóż, widzi pan sam teraz, — ciągnął nauczyciel, — że jeśli pan przybył tu w charakterze guwernera, to wybrał pan bardzo zły moment, ponieważ nawet przybysze z Tours, którzy mówią najpiękniej

po francusku, i ci tylko w wielkim trudem otrzymali posady!

— Może pan być zupełnie pod tym względem spokojnym, — odparłem — mam zupełnie inną profesję.

Jegomość siedzący vis à vis mnie, którego akcent zdradzał, że pochodzi z Bordeaux, usłyszawszy to, odezwał się:

— Ze swej strony muszę uprzedzić pana, monsieur, że jeśli pan handlujesz winem, to w tym mieście, jest to bardzo liche zajęcie, które może mu zapewnić chyba tylko... nadmiar wody do picia!

— Doprawdy? — zdziwiłem się. — Czyżby Rosjanie już zupełnie przerzucili się do piwa? A może zaprowadzili sobie własne winnice, gdzieś, dajmy na to, na Kamczatce?

— To bagatela! Gdyby tylko o to chodziło, to możnaby z nimi jeczczę konkurować; tu chodzi o co innego, a mianowicie: że Rosjanie kupować to kupują, tylko nie płacą...

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny, monsieur, za pańską informację. Ale jeśli chodzi o swój towar, to jestem przekonany, że nie zbankrutuję na nim. W każdym razie winem nie handluję.

Jakiś jegomość z ostrym akcentem z Lyonu, ubrany w niemiecki surdut z futrzanym kołnierzem, pomimo gorącego lata, wziął również udział w naszej rozmowie:

— Bądź co bądź, — zwrócił się do mnie, — radzę panu szczerze, jeśli pan handluje sukniem i futrami, zachować najlepszy towar dla siebie samego ponieważ nie ma pan bardzo zdrowego wyglądu, a klimat tutejszy jest bardzo niebezpieczny dla chorych na piersi. W ciągu ubiegłej zimy zmarło tu piętnastu francuzów! Na to tylko chciałem zwrócić pańską uwagę...

— Będę się mieć na ostrożności, monsieur, a ponieważż mniemam, że zostanę pańskim nabywcą, tedy spodziewam się, że odniesie się pan do mnie, jak do swojego rodaka...

— To się samo przez się rozumiel Ależ, z największą przyjemnością! Sam przecież jestem z Lyonu, z drugiej stolicy Francji, a pan wie, waturalnie, że my lyonczycy cieszymy się reputacją najuczciwszych ludzi... W takim razie, skoro pan nie hadluje ani suk-nem, ani futrami, to...

— Ach, czyż nie widzicie, moi panowie, że nasz kochany rodak nie życzy sobie wcale powiedzieć nam, kim jest, — odezwał się przez zęby jegomość z ukar-bowaną szewelurą i mocno pachnący jaśminem, — alboż nie widzicie, powiadam, że on wcale nie chce wyjawić nam swej profesji?

— Cdybym miał szczęście posiadania takiej fry-zury, jak pańska, monsieur — odparłem — i gdyby wydzielała ona taką subtelną woń, to czcigodne na-sze towarzystwo, prawdopodobnie bynajmniej nie mia-łoby kłopotu z odgadnięciem, kim jestem.

— Co pan chce przez to powiedzieć, monsieur? — zawołał ufryzowany młodzieniec.

— Chcę powiedzieć, że jest pan fryzjerem.

— Łaskawy panie, pan, jak się zdaje, chcesz mnie obrazić!

— Alboż to obraza, jeśli się panu mówi, kim pan jesteś?

— Łaskawy panie, — ciągnął dalej zaperzony młodzieniec, podnosząc głos i wyjmując z kieszeni swój bilet wizytowy, — oto mój adres.

— Doskonale, — odparłem — ale kurczak panu wystygnie.

— Co, pan odmawia dania mi satysfakcji?

— Monsieur, pan chciałeś wiedzieć moją pro-

fesję? Otóż wiedz pan, że moja profesja nie daje m prawa pojedynkowania się!

— Panie tchórz, łaskawy panie!

— Bynajmniej, wiedz to łaskawy panie! Jestem mistrzem fechtunku.

— Ach, — jęknął ufryzowany młodzieniec i od razu opadł na swe siedzenie.

Nastąpiła cisza; mój współbiednik usiłował jakoś bezskutecznie urznąć skrzydełko swemu kurczakowi.

— Panie mistrzu fechtunku, — odezwał się do mnie jegomość z Bordeaux — profesja pańska jest bardzo piękna. Ja również zajmowałem się trochę fechtunkiem, gdy byłem młodszym i głupszym...

— Ta gałąź sztuki mało jest tu, w tym zimnym kraju, kultywowana, — dorzucił jeden z biesiadników.

— Całkiem słusznie. Radziłbym tedy panu profesorowi wkładać podczas lekcji kamizelkę flanelową i palto futrzane.

— Zapewniam pana, kochany rodaku, — rzekł młodzieniec ufryzowany, który nie mógł sam rozerznąć kurczaka na talerzu i któremu to zrobił sąsiad, — upewniam pana, kochany rodaku, że ponieważ pan jesteś z Paryża, jak pan sam to raczyłeś powiedzieć...

— Owszem, z Paryża.

— Ja również... Wydaje mi się tedy, że obrałeś pan sobie wspaiałą profesję ponieważ tu, jak się zdaje, niema ani jednego prawdziwego profesora fechtunku, jeśli nie brać pod uwagę pewnego starego aktora. Ujrzy go pan, pewno, na Newskim Prospekcie. Uczy on swych uczniów tylko czterech sposobów. Ja również zacząłem brać u niego lekcje, ale już po pierwszych godzinach przekonałem się, że nadaje się on raczej na mego ucznia, niż na nauczyciela, to też wkrótce przerwałem lekcje, zapłaciwszy mu połowę

tego, co biorę za karbowanie włosów! Biedak i tak był z tego bardzo zadowolony.

— Wiem, monsieur, o kim pan mówi. Jako cudzoziemiec i francuz, nie powinien pan właściwie tego mówić, gdyż nie powinien pan poniżyć swego współrodaka. Pozwól pan, że mu udzielę tej małej lekcji, za którą nie wezmę żadnego wynagrodzenia, nawet i połowy tego, co dostajesz pan za karbowanie włosów... Jak pan widzi, jestem dość hojny!

Powiedziawszy to, wstałem od stołu, ponieważ zdołałem już dostatecznie zapoznać się z tutejszą kolonią francuską, a prócz tego spieszyłem się bardzo.

Z za stołu, jednocześnie ze mną, podniósł się jakiś młodzieniec, który przez cały czas obiadu nie odezwał się ani słowem, poczem obadwaj wyszliśmy razem.

— Jak się zdaje, monsieur, — zwrócił się do mnie, — nie trzeba było panu wiele czasu, by się zapoznać z tutejszemi naszymi rodakami?

— Słuszna racja, i mogę panu powiedzieć, że moje zdanie o nich nie jest zbyt dla nich korzystne.

— Niestety, — rzekł nowy znajomy, — oto z jakich osobników wyrabiają sobie, tu w Petersburgu, ludzkie sądy o francuzach!

Inne nacje posyłają tu swych najlepszych reprezentantów, my zaś wysyłamy tu, same śmiecie. Naturalnie, jest to bardzo dogodne dla Francji, ale bardzo przykre dla nas francuzów.

— A pan tu mieszka dawno w Petersburgu? — spytałem go.

— Tak, już cały rok. Ale dziś wieczór wyjeżdżam.

— Czyżby?

— Tak, właśnie idę do swego powozu. Mam honor pożegnać pana.

— Sługa najniższy:

„Do diabła“! — pomyślałem, — „djabio mi się tu powodzi: jednego porządnego człowieka spotkałem i masz ci, ucieka w tym samym dniu, gdy ja przyjeżdżam.

W numerze zastałem malca, który mi słał łóżko. W Petersburgu, podobnie jak w Madrycie, przyjętem jest wypoczywać po obiedzie. Zwłaszcza, że podczas tych dwóch miesięcy jest tu chyba większy upał niż w Hiszpanji.

Musiałem i ja odpocząć, ponieważ dotąd jeszcze czułem zmęczenie po swej cudowej podróży, pozatem pragnąłem jaknajprędzej poznać czar owych sławnych nocy petersburskich o których mi tak wiele naopowiadano. Przeto spytałem malca, czy nie wie, jak mogę dostać łódkę, aby trochę powozić się po Newie? Chłopak odparł, że łódkę dostać można łatwo, i jeśli mu dam „na herbatę” 10 rubli, to on tę sprawę załatwi. Ponieważ już mogłem się połapać w rosyjskich pieniądzech papierowych, dałem mu tedy czerwony banknot i kazałem obudzić się o dziewiątej.

Czerwony banknot podziałał: punktualnie o dziewiątej wieczór chłopiec zastukał do drzwi, mówiąc że łódź czeka.

Noc była łagodna, i zupełnie jasna. Można było i czytać i widzieć doskonale wszystko na dalekiej przestrzeni. Upał dzienny zastąpił teraz chłodek wieczorny, a powietrze było przesycone zapachem kwiatów z ogrodów.

Całe miasto, rzekłbyś, wyszło na spacer, na bulwar. Na Newie, nawprost fortecy, stała ogromna barka, na której ulokowało się przeszło sześćdziesięciu muzykantów. Nagle rozległy się dźwięki cudnej muzyki. Poleciałem dwu wiosłującym podjechać o ile można najbliżej do tej przepięknej ogromnej orkiestry. Poka-

zało się, że wszyscy muzykanci grali na rogach. Później, kiedy już bardziej obznajmiłem się z narodem rosyjskim, nie dziwiła mnie już więcej muzyka na rogach, zarówno jak całe ogromne domy drewniane zbudowane przez cieśłów jedynie za pomocą pił i sier. Ale w tym momencie słyszałem tę muzykę po raz pierwszy, to też zostałem nią oczarowany.

Koncert na wodzie trwał długo jeszcze po północy. Była już blisko druga nad ranem, a ja wciąż jeszcze nie odjeżdżałem od barki, gotów wciąż i wciąż słuchać tej cudnej muzyki,.. Zdawało mi się, że ten koncert jest wydany specjalnie dla mnie, i że już więcej nie powtórzy się. Chciałem też bliżej przyrzeć się tym instrumentom. Pokazało się, że są to najpopularniejsze rogi, w które dmie się—i w ten sposób tworzy się różne dźwięki.

Wróciłem do hotelu, gdy już było zupełnie jasno, zachwycony całą tą białą nocą, muzyką cudowną, i szeroką, jak morze, Newą, odbijającą jak lustro, wszystkie gwiazdy i latarnie.

Petersburg w istocie przeszedł wszystko, co mi o nim opowiadano, i jeśli nie był nawet rajem, to w każdym razie wydał mi się czemś w tym rodzaju.

Długo nie mogłem usnąć. Muzyka wciąż jeszcze rozlegała mi się w uszach. Położyłem się o trzeciej, a o szóstej już byłem na nogach...

Wyjąłem kilka listów polecających, ale postanowiłem nie oddawać ich przedtem, aż urządzę publiczny popis fechtunku; w ten sposób nie będę musiał robić o sobie ogłoszeń. Z listów wyjąłem tylko jeden, który pewien mój przyjaciel prosił mnie oddać podług adresu. List ten był od jego kochanki, pospolitej gryzeczki z Quartier Latin, a adresowany był do jej siostry, subiektki w jakimś tam magazynie mód. Na liście stał następujący adres:

„Mademoiselle Luise Dupuy, u pani Xavier. Magazyn mód, Newski Prospekt, w pobliżu kościoła ormiańskiego, nawprost bazaru.”

Postanowiłem oddać list osobiście. Daleko od Francji zawsze jest miło ujrzeć młodą, uroczą rodaczkę, — a wiedziałem, że Luiza była młodą i piękną. Prócz tego doskonale znała Petersburg, ponieważ mieszkała tu już cztery lata, to też mogła mi służyć wskazówkami.

Było jeszcze bardzo wcześnie, przeto postanowiłem pospacerować po mieście, a na Newski Prospekt pójść dopiero około piątej.

Zawołałem chłopaka, lecz zamiast niego ukazał się lokaj. Lokaje są tu jednocześnie służącymi i przewodnikami; czyszczą buty i pokazują pałace. Wezwałem go gwoli tej pierwszej funkcji, a co się tyczy drugiej — to już dawniej tyle się nasłuchiwałem o Petersburgu, że o tutejszych pałacach wiedziałem napewno nie mniej, niż on

I

Nie miałem zbytniego kłopotu z wyszukaniem dorożkarza, jak to wczoraj było z łódką. Mimo że mało jeszcze znałem Petersburg, zdołałem już zauważyć, że na każdym krzyżowaniu się ulic znajdują się tu postoje dorożkarzy i kibitek.

W ten sposób, ledwie doszedłem przez plac Admiralicji do kolumny Aleksandra, jak wnet, na pierwsze moje skinienie zostałem otoczony przez dorożkarzy. Poczuli oni na przemian ofiarowywać mi swoje usługi. Taksa nie była znaną w Petersburgu, te też umówiliśmy się, że za pięć rubli dorożkarz będzie przez cały dzień do mojej dyspozycji. Poleciałem mu jechać przedewszystkiem do Pałacu Taurydzkiego.

Dorożkarze w Petersburgu, t.z. „izwoszczyki”, są to zazwyczaj chłopci pańszczyźniani, który za pewną kwotę, która tu nazywa się „obrokiem”, nabywają u swych panów prawo zajmowania się tą profesją oraz próbowania szczęścia w Petersburgu...

Dorożka ich — jest to pospolity wóz na czterech kołach, w którym siedzenie urządzone jest nie wpoprzek, ale wzdłuż, tak iż siedzi się na niem jak na koniu, albo jak dzieci na welocypedach...

Do takiej dorożki przyprzężony jest koń niemniej dziki, niż jego pan, a nieraz przez tysiąc wiorst wzięiony tutaj ze stepów ojczystych. Izwoszczyk traktuje swego konia poniekąd z sympatją, z jakimś współczuciem, i zamiast go bić, jak to czynią nasi dorożkarze francuzcy, wdaje się z nim w gawędy nie mniej czule, niż hiszpański poganiacz mułów ze swemi mułami...

Koń — jest mu ojcem, dziadkiem, dzieckiem. Układa dla konika swoje ubogie pieśni, w których nazywa go najbardziej pieśczośliwemi nazwami. A to stworzenie, wrażliwe widocznie na pieśczołoty chłopca, z wdzięcznością gania po mieście bezustanku, zatrzymując się tylko by najeść się u źłobów, porządzanych na wszystkich ulicach.

Jeżeli chodzi o samego izwoszczyka, to pszypomina on wielce neapdlitańskiego lazzarone: nie trzeba wcale znać jego języka, aby go rozumieć, tak dałec jasno i obrazowo umie wyrażać gestami swe myśli i uczucia! Siedzi sobie taki izwoszczyk zazwyczaj na nasadzie lub na koźle kibitki, pomiędzy pasażerem a koniem, a z tyłu na plecach ma przyczepiony numer po to, aby pasażer, jeśli jest zeń niezadowolony, mógł w każdej chwili zdjąć ten numer... W takich razach dość jest zabrać i zanieść na policję

ten numer — a możecie być pewni, że dorożkarz otrzyma surową karę za swoją winę.

Zapobiegawczość tego rodzaju, jak to zaraz ujrzemy jest całkiem uzasadniona, ponieważ wieść o zdarzeniu, które zaszło w Moskwie w zimie 1823 roku, już zdołała dobieść i rozejść się po Petersburgu...

Zdarzenie to miało przebieg następujący:

Pewna francuska madame L., wracała do domu późno w nocy. Nie chciała iść sama pieszo, a nie chciała, aby ją odprowadził służący, którego proponowali jej znajomi, u których była w gościnie. Przyprawdzono jej dorożkarza; dała mu adres i pojechała.

Izwozczyk zdołał zauważyć, że pani L. oprócz złotego łańcucha i brylantowych kolczyków, ma na sobie kosztowną szubę futrzaną. Korzystając z ciemnej nocy, pustkowie ulic i nieorientowania się pani L., która, otulona w szybę, zupełnie nie widziała, jakimi ulicami wiezie ją dorożkarz, — izwozczyk przywiózł ją na skraj miasta.

Naraz pani L. zauważyła, że izwozczyk zawiózł ją, nie tam, gdzie trzeba. Poczęła krzyczeć, ale izwozczyk zamiast zatrzymać się, popędził jeszcze prędzej. Wówczas zerwała mu numer, wyskoczyła i poczęła uciekać.

Izwozczyk zeskoczył z kozła i pogonił za nią. Pani L. zdołała dobieść do znajdującego się w pobliżu ogrodzenia jakiegoś cmentarza. Teraz już myślała nie o swych precjozach i futrzanej szubie, ale o ocaleniu życia! Na szczęście noc była tak ciemna, że o dwa kroki nic nie było widać.

Nagle pani L. poczuła, że zapada się gdzieś. I rzeczywiście, wpadła do świeżo wykopanego grobu, przygotowanego na jutrzejszy pogrzeb. W lot zrozumiała, że ten grób jest jej zbawieniem; skuliła się w nim i ucichła, nie zdradzając swej tu obecności ani

jednym szmerem. Izwoszczyk tymczasem biegł po cmentarzu, poszukując jej, ale bezskutecznie!

Naszukawszy się jej w niemiara, odjechał wściekły. Pani L. została w tym grobie, dopóki zupełnie nie rozjaśniło się i zaraz po wyjściu z dołu, udała się z numerem izwoszczyka na policję. Izwoszczyk ów przez całe trzy dni ukrywał się pod Moskwą, aż wreszcie głód i chłód zmusił go szukać schronienia w jednej ze wsi podmiejskich. Został natychmiast schwytyany, ukarany knutem i zesłany do katorgi.

Wypadki takie są jednakowoż rzadkie: naród rosyjski z natury jest dobry i być może, niema drugiej stolicy, w którejś rabunki byłoby tak rzadkimi, jak w Petersburgu. Ba, nawet więcej; chłop rosyjski boi się włamań: Śmiało możecie mu doręczyć list zapieczętowany z pieniędzmi: jeśli nawet wie, że tam są pieniądze, to jednak z pewnością doręczy list nienaruszony pod adresem. Natomiast nieopatrzna rzecz byłoby z waszej strony dać mu do doręczenia kilka drobnych monet...

Nie wiem, czy był, czy nie był złodziejem mój izwoszczyk, wszelako muszę stwierdzić, że nie ja lecz on się lękał być przeze mnie okradzionym, ponieważ, gdy podjechaliśmy w pałacu Taurydzkiego, oświadczył mi, że tu są dwa wyjścia, a przeto prosi, abym mu dał z umówionych pięciu rubli tyle, ile się należy za jazdę do pałacu...

W Paryżu, oczywiście, zaredagowałbym z oburzeniem na taką obrazę. Tu jednak, w Petersburgu, parsknąłem tylko śmiechem, ponieważ to samo przydarza się nieraz nawet najbardziej wysoko postawionym dygnitarzom, a ci nie zwracają na to najmniejszej uwagi.

Opowiadano mi naprzykład, że dwa miesiące temu, car Aleksander, spacerując jak zawsze swym

zwyczajem pieszo po mieście, został zaskoczony przez deszcz. Wziął tedy izwoszczyka i polecił mu jechać do Pałacu Zimowego. Przybywszy na miejsce, jał szperać po kieszeniach, lecz nie znalazł ani kopiejki.

Wtedy zwrócił się do izwoszczyka:

— Poczekaj chwilę, zaraz ci wyślę pieniądze.

— Oho, tak nie będzie! — odparł dorożkarz, — to są żarty...

— Co takiego? — spytał car zdziwiony.

— A tak.

— O co ci chodzi?

— Bo tu, proszę pana, jest kilka wyjść. Małoż to razy przywoziłem tutaj różnych panów, a ci wychodzili innemi wyjściami, i nigdy mi nic nie dali.

— Ach tak... lecz przecież jest to moja siedziba —

Pałac Zimowy!

— To racja, tylko że wielcy panowie, jak wiadać, mają krótką pamięć...

— Dlaczegoż więc nie skarżyłeś się na tych oszustów? — rzekł car Aleksander, którego ta scena wielce ubawiła.

— Ech, panie, coż my tam możemy poradzić z jaśnie panami! Z takimi jak ja — (tu wskazał na swoją brodę) to owszem, poradzić sobie można, ale z panami, którzy są zawsze ogoleni, to już niema rady! Niech już tam jaśnie pan poszuka raczej w swych kieszeniach... Może się tam znajdzie jaka grosina.

— Skoro tak, — rzekł car Aleksander, zdejmując palto, — to masz tu moje palto na zastaw. Człowiek wyniesie ci pieniądze, a ty mu oddasz to palto.

— Racja fizyka, wasza jasności, to mi się podoba!

W kilka minut pötem lokaj wyniósł izwoszczy-

kowi sto rubli: car zapłacił odrazu i za siebie, i za tych, którzy biedakowi nigdy nie płacili.

Dałem swemu izwoszczykowi całe pięć rubli, szczęśliwym będąc, że mogę mu okazać więcej zaufania niż on mnie. Prawda, ja znałem jego numer, a on nie znał mego...

Pałac Taurydcki, ze swem wspaniałem urządzeniem, z posągami, jeziorami ze złotymi rybkami etc. podarowany został przez Potemkina jego potężnej władczyni, carycy Katarzynie II, na pamiątkę zdobycia krainy, której nazwę nosi ów pałac: Taurydy. Najciekawszą jest nie wspaniałość podarunku, lecz najściślejsza tajemnica, z jaką został zbudowany.

W stolicy stał się pewnego dnia cud: Katarzyna nic a nic nie wiedziała o wybudowaniu tego pałacu. Razu pewnego Potemkin zaprosił ją do siebie na wieczór i wtedy caryca zamiast pustkowia placów ujrzała nagle pyszny pałac, okolony parkami i ogrodami — pałac, który jakgdyby stworzyły czarodziejskie boginie!

Potemkin był klasycznym przykładem tych książąt ekscentryków, których tak wiele było podczas panowania carycy Katarzyny II-ej. Zresztą sama Katarzyna była również ekscentryczną.

Potemkin był podoficerem jednego z pułków gwardji, Katarzyna — drobną niemiecką księżniczką, lecz stało się tak — że oboje zdobyli rozgłos.

Połączył ich przypadek.

Początkowo Potemkin marzył o księstwie Kuslandji, ba, nawet o tronie polskim, ale później poniechał te myśli. Czyż, zresztą, korona dawałaby mu więcej władzy, niż ta, jaką posiadał? Alboż nie chyliło się przed nim wszystko, jak przed jakim monarchą? Alboż na jednej tylko lewej ręce nie miał więcej brylantów, niż ma ich pierwsza lepsza korona? Alboż nie

posiadał specjalnych kurjerów, których rozsyłał, to po jesiotry na Wołgę, to po melony do Astrachani, to po winogrona na Krym, a po kwiaty — wszędzie gdzie tylko były piękne kwiaty? I czyliż wraz z innymi kosztownymi darami nie ofiarowywał carycy, w dzień Nowego Roku, półmiska świeżych wiśni, który kosztował go dziesięć tysięcy rubli?

Bez przerwy coś tworzył, coś burzył, a w chwilach, gdy nic nie robił—wikłał wszystko. Bez niego nic nie powstawało, a wszystko dla niego przemieniało się w nic!

Książę de Ligne mawiał, że w Potemkinie jest coś wielkiego, romantycznego, ale i — dzikiego! I miał rację.

Śmierć jego była tak samo niezwykłą, jak niezwyczajnym było życie: kres jego był tyleż nieoczekiwany, co i początek kariery.

Potemkin cały rok spędzał właśnie w Petersburgu, wśród bezustannych uczt, świąt i orgii, przekonany, że dokonał już dość i dla swojej sławy i dla carycy Katarzyny — rozszerzając granice państwa carów po Kaukaz, gdy naraz dowiaduje się, że stary Repnin, korzystając z jego beczynności, pobił Turków, zmuszając ich do zawarcia niekorzystnego pokoju, t. j., że Repnin w dwa miesiące dokonał więcej, niż Potemkin w trzy lata!

Począwszy od tej chwili Potemkin nie zazna spokoju: prawda, że jest on chory, ale to nic nie znaczy; Potemkin musi jechać tam, na południe... Nie lęka się swej choroby, silny organizm zwycięży ją!

I otóż jedzie Potemkin do Jass, swojej stolicy, a stamtąd udaje się do Oczakowa. O kilka mil od Oczakowa słabnie w powozie, czuje brak tchu...

Wychodzi z powozu, kładzie się na rozłożonym

na ziemi płaszczu i tu, już prawie u kresu podróży — umiera.

Caryca Katarzyna, dowiedziawszy się o jego śmierci, omal że sama nie umarła ze smartwienia!

Pałac Taurydzki, w którym podczas mego pobytu w Petersburgu, mieszkał wielki książę Michał — był przez pewien czas miejscem pobytu dla królowy Luizy, która — jak wiadomo — miała niepłonną chwilową nadzieję podbicia sobie swego zwycięzcy Napoleona. Ujrawszy ją po raz pierwszy, Napoleon rzekł:

— Wiedziałem, że jest pani najpiękniejszą z królowych, lecz nie wiedziałem, że jest pani najpiękniejszą z kobiet!

Laskawa przychylność bohatera korsykańskiego nie trwała wszelako zbyt długo...

Razu pewnego Luiza trzymała w rękach różę.

— Niech mi pani podaruje tę różę, — rzekł Napoleon.

— Niech mi pan podaruje Magdeburg, — odparła Królowa.

— O, co to, to nie! — zawołał Napoleon, — to byłoby za drogo!

Królowa zagniewana rzuciła różę na podłogę i — nie dostała Magdeburga...

Obejrawszy Pałac Taurydzki, przez most Troickij udałam się na obejrzenie domku Piotra I, który znałam dawniej z rycin.

Narodowe uczucie rosjan zachowało ten pomnik w jego pierwotnym wyglądzie: pokój stołowy, salonik dla gości i sypialny — jakgdyby czekają na powrót cara... Na dziedzińcu przy tym domku znajduje się jeszcze barka, — tak zwany „botik”, — całkowicie zbudowany przez cara cieślę w Saardamie; w tej barce rozjeżdżał car po Nowie, ukazując się w różnych miejscach

nowopowstającego miasta, gdzie obecność jego była konieczną.

Niedaleko od tego domku znajduje się miejsce wiecznego spoczynku Piotra I-go. Zwłoki jego, podobnie jak zwłoki innych carów moskiewskich, spoczywają w Soborze Piotra i Pawła, postawionym wśród fortocy Petropawłowskiej. Ten Sobor, którego złoty szczyt daje opaczne wyobrażenie o jego wielkości, w gruncie rzeczy jest i mały i ma brzydką architekturę. Jedyne jego znaczenie polega na tem, że jest miejscem spoczynku carów.

Mogiła Piotra I-go leży koło drzwi bocznych, po prawej stronie. W Soborze tym znajduje się przeszło siedemset sztandarów, odebranych przezeń Turkom, Szwedom i Persom.

Przez most Tuczkwow udałem się na Wasiljewskij Ostrow. Najbardziej imponującemi gmachami są tu gmachy Giełdy i Akademii. Obszedłem te gmachy i przez most Izaakiewski, prospektem Wozniesienskim doszedłem do Fontanki, a stamtąd bulwarem do kościoła Katolickiego. Tu obejrzałem grób Moreau.

Jest to prosta płyta grobowa przed ołtarem pośredku kościoła.

Następnie obejrzałem Sobór Kazański, który jest w Petersburgu jakgdyby katedrą Notre-Dame. Koło Soboru, po obu stronach znajduje się kolumnada, urządzona podług wzoru Kościoła św. Piotra w Rzymie. Od zewnątrz Sobór posiada piękne sztukaterje, freski, wewnątrz zaś wszystko z brązu, marmuru, granitu. Wrota ma częściowo z miedzi, częściowo z masywnego szebra; ściany obłożone jaspisem, podłoga— z marmuru.

Na dziś miałem dosyć.

Kazałem izwoszczykowi zawieść mnie do madame Xavier, by doręczyć mojej uroczej rodzicze do-

ręczony mi list. Przybywszy na miejsce, dowiedziałem się, że ta czarowna osóbką już nie pracuje u pani Xavier, ale mieszka na Mojce, przy magazynie Orgelota.

Nie trudno było ją znaleźć

W dziesięć minut potem byłem koło wskazanego mi domu. Postanowiwszy zjeść obiad w restauracji nawprost tego domu, który, jak to wypadło z nazwiska właściciela, należał do francuza, rozstałem się z izwoszczykiem i udałem się do magazynu, gdzie zapytałem o mademoizelle Luizę Dupuy.

Jedna z panien zapytała mnie, poco mi potrzebna panna Dupuy; czy pragnę coś kupić, czy też mam do niej prywatny interes?

Odparłem, że przybyłem w sprawie osobistej.

Wtedy podniosła się i zaprowadziła mnie do pokoju w głębi.

III.

Wyprowadzono mnie do małego buduaru którego ściany obite były materjami wschodniami. Tu moja rodaczka leżała na kanapie, czytając powieść.

Ujrzawszy mnie, podniosła się z kanapy i spytała:
— Czy pan jest francuzem?

Przeprosiłem, że przybywam do niej o tej godzinie. Ale że przybyłem zaledwie dzień przedtem, przeto nie jestem jeszcze obeznany z miejscowymi zwyczajami...

Poczem wręczyłem jej list.

— Ach, to od mojej siostry! — zawołała. — Kochana moja siostrunio, Różyczko, jakże się cieszę, że mam wiadomość od ciebie! Więc pan zna ją? Czy jest zdrowa i jak zawsze śliczna?

— Że jest śliczną — na to mogę przysiąc, —

odparłem, — co zaś do zdrowia, to spodziewam się, że jest zdrowa. Widziałem ją raptem raz jeden w życiu, a ten list polecił mi oddać jej przyjaciel.

— Monsieur August? Nieprawdaż?

— Właśnie.

— Kochana siostrunial.. Zapewne jest teraz bardzo ucieszona po otrzymaniu odemnie pięknych materjałów i jeszcze innych rzeczy, które jej wysłałam do Paryża... Pisałam jej, aby tu przyjechała, ale...

— Jakie — ale?

— Ale, aby to skutecznić, musiałyby się rozstać z panem Augustem, a ona na to nie zgodzi się. Proszę, niech pan siądzie.

Chciałem wziąć krzesło, ale panna Luiza poprosiła mnie usiąść koło niej. Usłuchałem. Poczęta czytać list, wobec czego miałem dość czasu, by się należycie przyjrzeć jej urodzie.

Wszystkie białogłowy posiadają jedną przedziwną zdolność, im tylko właściwą, zdolność, że tak powiem, przemieniania się! Miałem przed sobą najzwyczajszą gryztkę paryską, która, prawdopodobnie, chadzała co niedziela tańczyć w Prado. Ale wystarczyło przesadzić ją, że tak powiem, na inny grunt, aby jak ta roślina, rozkwitła wśród otaczających ją bogatw i przepychu! Rzekłbyś śmiało, że w takich właśnie warunkach przyszła na świat.

Dobrze byłem obeznany z reprezentankami tej sfery społeczeństwa, do której należała, mimo to nie zauważyłem w niej nic takiego, co przypomniałoby mi jej proste pochodzenie oraz brak dobrego wychowania.

Przemiana jej była tak wielką, że widząc to piękne stworzenie, z długimi włosami, zaczesanymi na sposób angielski, w prostym białym muslinowym peniuarze, w małych pantofelkach tureckich, w pozie

pełnej gracji, którą mógłby artysta śmiało wybrać do jej portretu, — mógłbym wyobrazić sobie, że jestem w buduarze jakiej eleganckiej arystokratycznej mieszkanki przedmieścia Saint-Germain w Paryżu, lecz nigdzie w jednym z tylnych pokojów magazynu mód.

— A zatem, czem pan jest tak przejęty? — zapytała Luiza, która skończyła właśnie czytanie listu, i zdziwiona była nielada tem, że przyglądam się jej badawczo.

— Patrzę na panią i myślę.

— O czem?

— Myślę, że gdyby mademoizelle Róża zamiast tak heroicznie trwać w wierności dla pana Augusta została nagle, jakąś nadprzyrodzoną mocą, przeniesiona do tego cudnego buduaru, i gdyby ujrzała panią w tej chwili tak, jak ja ją widzę, to nie tylko rzuciłaby się w pani ramiona, ale poprostu padłaby na kolana przekonana, że znajduje się przed królową!

— Pański komplement jest nadzwyczajny, — odparła śmiejąc się Luiza. — W słowach pańskich to tylko jest prawda, że ja rzeczywiście zmieniłam się. O, tak, bardzo się zmieniłam, — dodała z westchnieniem.

Do pokoju weszła młoda panienska z magazynu.

— Madame, — rzekła — gosudarynia pragnie mieć taki sam kapelusz, jaki pani zrobiła księżnej Dołgorukowej.

Zatem sama gosudarynia jest tutaj?

— Tak.

— Proszę ją zaprosić do salonu. W tej chwili będę.

Panienska wyszła.

— Róża ma rację, — rzekła Luiza, — jestem tylko biedna modystką! Ale jeśli pan zechce ujrzeć

rzeczywistą przemianę, to niech pan uchyli rąbek tej kotary i patrzy przez te szklane drzwi...

Z temi słowy wyszła do salonu, pozostawiając mnie samego. Skorzystałem z pozwolenia, i, uchyliwszy ostrożnie rąbka kotary, wlepiłem oczy w szkło.

Ta, którą nazywano „gosudarynią”, była młodą piękną kobietą dwudziestodwu—trzyletnią, o wschodnich rysach twarzy: szyję, uszy, i ręce miała w brylantach. Wspartą była o rękę jednej ze swych służek... Zatrzymała się koło kanapy, dając znak Luizie, by się zbliżyła. W łamanym francuskim języku kazała jej pokazać sobie najpiękniejsze i najdroższe kapelusze.

Luiza czempredzej podała jej najpiękniejsze kapelusze. gosudarynia jeła je przymierzać jeden po drugim, przez cały czas patrząc w zwierciadło, które trzymała przed nią towarzysząca jej dziewczyna, ale pokazało się, że ze wszystkich kapeluszy ani jeden się jej nie spodobał, ponieważ nie było ani jednego takiego samego, jaki zrobiono dla księżny Dołgorukowej...

Wówczas Luiza oświadczyła, że wykona dla gosudaryni zupełnie taki sam.

Wówczas „gosudarynia” zażądała, aby nowy kapelusz został zrobiony na jutro rano! Luiza przyrzekła, mimo że, by go wykonać, trzeba było przez całą noc pracować.

— „Gosudarynia” wyszła, wsparta na ramieniu, towarzyszącej jej służącej.

— No, jakże? — zwróciła się do mnie Luiza, śmiejąc się. — Co pan powie o tej kobiecie?

— Powiem, że jest bardzo piękną.

— Nie o to pytam. Ale co pan sądzi, kim jest ona?

— Gdybym ją ujrzał w Paryżu, z jej dziwnymi manierami, z aspiracjami do robienia ze siebie jakiejś

damy wielkoświatowej, to pomyślałbym, że jest to jakaś dymisjowana baletnica, będąca obecnie utrzymanką jakiegoś, dajmy na to, lorda...

— Niezłe: jak na nowicjusza! — zawołała Luiza. — Paneś prawie że odgadł. Ta piękna niewiasta, która teraz z taką obojętną, znudzoną miną chadza po kobiercach perskich — jeszcze niedawno, mój panie, była zwykłą dziewczką pańszczyźnianą, którą ulubiony przez cara minister zrobił swoją metresą!

Ta metamorfoza odbyła się zaledwie cztery lata temu, a jednak ta dziewczka pańszczyźniana już zupełnie zapomniała o swem pochodzeniu... Albo słuszniej powiedziawszy, przypomina ona je sobie w godzinach swego ubierania się, gdy nic innego nie robi, tylko męczy swoją służbę i pracownice magazynów, dla których stała się czemś poprostu groźnem. Służba nie śmie ją nazywać jej imieniem, jeno „jaśnie panią”, — „gosudarynią”! Czy słyszał pan, jak mi zameldowano jej przybycie?

Oto dam przykład okrucieństwa tej ekscentrycznej baby, — ciągnęła dalej Luiza: — nie dawno rozbierała się, i wtedy nie znalazła pod ręką poduszcзки, do wtykania szpilek. I co pan powie? Chwyliła szpilkę i wbiła ją w pierś jednej ze swych pokojówek! Ale tym razem ta historia narobiła wiele hałasu, dowiedział się o niej nawet sam car. No, ale dość o sobie i o innych, wróćmyż do pana. Pozwoli pan zatem, że jako rodaczka i paryżanka, zapytam go: co właściwie sprowadziło pana do Petersburga? Być może, będą mogła być mu użyteczną, służyć swemi radami, ponieważ mieszkać tu już trzy lata.

— Dziękuję serdecznie. Ponieważ panią zaciekawia, tedy powiem pani, że przybyłem tu jako nauczyciel fechtunku. A propos, czy w Petersburgu często odbywają się pojedynki?

— Nie bardzo, ponieważ pojedynki są tutaj wielce zaciekle i prawie zawsze kończą się śmiercią. Zarówno uczestnikom, jak i świadkom pojedynków w Rosji grozi deportacja na Sybir, przeto pojedynki odbywają się tu jedynie w razach wyjątkowych. Ale to nic nie znaczy: uczniów panu nie zbraknie! Czy pozwoli pan dać sobie jedną radę?

— Ależ proszę.

— Niech pan postara się uzyskać najwyższą t. j. cesarską nominacją, jako mistrz szermierki — do jakiego pułku. To zrobi z pana osobą wojskową — a, wiedz pan, mundur wojskowy iest tu wszystkim.

— Niezła ta rada pani... Jednakowoż o wiele łatwiej jest ją dać, niż wykonać.

— Dlaczego?

— Bo w jaki sposób mogę się dostać do cesarza? Przecież niemam żadnej protekcji!

— Pomyślę o tem.

— Pani?

— Pana to dziwi? — spytała z uśmiechem

— Nie, nic mnie w pani nie dziwi: uważam panią za tak bardzo czarującą, że zdoła pani z pewnością dobić się tego, co postanowi. Tylko że ja nic nie zrobiłem takiego, abym mógł zasłużyć sobie na tyle przychylności ze strony pani...

— Pan nic nie zrobił? Alboż nie jest pan moim rodakiem? Albo nie przywiózł mi pan listu od mojej najdroższej Różyczki? Alboż nie sprawił mi pan największej przyjemności, przypominając nasz kochany Paryż?.. Spodziewam się, że będziemy mogli się wkrótce widzieć z panem.

— Niech pani rozkazuje, jestem do usług.

— A zatem, kiedy?

— Jeśli pani pozwoli, to jutro.

— Dobrze. O tej samej godzinie, ponieważ jest to najbardziej dogodna dla mnie godzina.

— Doskonale. Zatem do jutra.

Rozstałem się z Luizą, oczarowany nią, czując, że nie jestem już sam jeden w Petersburgu. Luiza stawała się dla mnie cennem oparciem. W przyjaźni z kobietą jest coś, co-jako pierwsze uczucie — rodzi nadzieję.

Zjadłem obiad w restauracji nawprost magazynu Luizy, u restauratora nazywającego się Talon; tu nie okazałem najmniejszej chęci zetknięcia się z jakimkolwiek z moich rodaków, których poznaje się wszędzie na świecie po głośnej rozmowie i niezwyklej łatwości, z jaką wszędzie mówią o swych sprawach. Byłem całkowicie pochłonięty swemi myślami i gdyby teraz ktokolwiek chciał wszcząć ze mną rozmowę, to wydałby mi się poprostu człowiekiem natrętnym, pragnącym pozbawić mnie części mych marzeń.

Jak dzień przedtem, wynająłem sobie łódkę z dwoma wiosłarzami i spędziłem białą noc na Newie, rozkoszując się przepiękną muzyką na rogach i patrząc na gwiazdy na wysokim niebie.

Wróciłem do domu nie wcześniej jak o godzinie drugiej w nocy, a o siódmej już byłem na nogach. Pragnąc czempredzej zakończyć swe obznajmianie się z lokalnymi osobliwościami, by mógł następnie całkowicie oddać się swym myślom i prawom, poprosiłem lokaja, by mi sprowadził dorożkę, poczem udałem się na zwiedzanie Petersburga. Zwiedziłem Ławrę Aleksandra Newskiego, gdzie widziałem posąg Aleksandra Newskiego, przedstawiający modlącą się postać z masy srebrnej, prawie naturalnej ludzkiej wielkości, byłem w Akademji Nauk, gdzie oglądałem bajeczną kolekcję minerałów, sławny globus Gottorpów, подарowany Piotrowi I-mu przez króla duńskiego Fry-

deryka IV, następnie szkielet mamuta, z okresu potopu ziemskiego, znaleziony pod lodem na wybrzeżu Białego Morza przed podróżnika Michała Adama.

Wszystko to były rzeczy bardzo ciekawe, mimo to co chwila spoglądałem na zegarek, myśląc o godzinie, o której znowu zobaczę się z Luizą.

O godzinie czwartej nie miałem już prawie sił dłużej czekać. Udałem się dorożką na Newski Prospekt, gdzie zamierzałem spędzić jeszcze godzinę, do piątej. Ale dojechawszy do kanału Katarzyny Wielkiej, musiałem się zatrzymać, ponieważ ulica zapchana była ogromnym tłumem ludzkim.

Tego rodzaju tłok ludzki na ulicach Petersburga, jak to już wiedziałem, był zjawiskiem nadzwyczaj rzadkiem. Wobec tego zwolniłem dorożkarza i poszedłem dowiedzieć się, o co chodzi. Jak się okazało, prowadzono do więzienia jakiegoś złoczyńcę, złapanego przez samego Gorgolego, komendanta miasta Petersburga. Okoliczności tej sprawy są tak dalece interesujące, że chcę je tu omówić szczegółowiej.

Gorgoli—jest jednym z najpiękniejszych mężczyzn w stolicy carów, a pozatem dzielnym generałem armji rosyjskiej. Los raczył zrządzić tak, że jeden z największych oszustów petersburskich był podobny do niego, jak dwie krople wody.

Otóż oszust ów postanowił wykorzystać swe zadziwiające podobieństwo: Włożył na się uniform generała, szary szynel z dużym kołnierzem, taki sam, jaki nosił Gorgoli. Wystarał się o powóz i konie, najzupełniej podobne do powozu i koni komendanta miasta, woźnicę ubrał tak samo, jak ubierał się woźnica Gorgolego i tak przebrany, przybył do jednego z najzamożniejszych kupców przy ulicy Wielkomiljonowej.

— Pan wie, kim jestem? — oświadczył. — Jestem Gorgoli, komendant miasta Petersburga.

— Ma się rozumieć, że wiem, wasze prewoschoditielstwo!

— Potrzebuję natychmiast dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Nie mogę po nie pojechać do domu, poz nieważ drogą mi jest każda minuta! Niech mi pan da łaskawie tę kwotę, a jutro rano niech pan przyjdzie po odbiór.

— Wasze prewoschoditielstwo, — rzekł kupiec, któremu wielce pochlebił ten dowód zaufania ze strony komendanta miasta, — a może panu trzeba więcej?

— E... no, dobrze, niech pan da trzydzieści tysięcy.

— Z przyjemnością, wasze prewoschoditielstwo!

— Mercil! Oczekuję pana jutro o dziesiątej w swym domu.

Otrzymawszy tę niebylejaką kwotę, oszust wsiadł do powozu, poczem udał się w kierunku Parku Letniego.

Nazajutrz, o oznaczonej godzinie, przybywa kupiec do Gorgolego, komendanta miasta, który wita go ze zwykłą uprzejmością i pyta, w jakiej sprawie przybywa do niego?

Pytanie to wprost oszołomiło kupca, który teraz dopiero spostrzegł różnicę w wyglądzie właściwego komendanta miasta, i zorientował się w tem co go spotkało dzień przedtem.

— Wasze prechoditielstwo! — jęknął — ratunkul obrabowano mnie!

Tu opowiedział komendatowi miasta całą historję, której ofiarą padł. Gorgoli wysłuchał go uważnie. Gdy kupiec skończył, generał kazał podać mu powóz i ubrał się w swój szary szynel. Poczem kazał kupcowi jeszcze raz opowiedzieć całą historję

a następnie ruszył na bezzwłoczne poszukiwanie oszusta.

Przedewszystkiem udał się Gorgoli na ulicę Wielomiljonową, gdzie zwrócił się do szyldwacha, stojącego przy budce:

— Przejeżdżałem wczoraj o trzeciej po południu. Czy widziałeś mnie?

— Tak toczno, wasze prewoschoditielstwo!

— Czy widziałeś, dokąd pojechałem stąd?

— Do Mostu Troickiego, wasze prewoschoditielstwo.

— Dobrze.

Gorgoli udał się na most Troicki. Zjeżdżając na most, zatrzymał się i znowu zapytał szyldwacha:

— Wczoraj byłem tu po trzeciej po południu.

Czy widziałeś mnie?

— Widziałem, wasze prewoschoditielstwo.

— Dokąd udałem się?

— Raczył pan przejechać przez most, wasze prewoschoditielstwo!

— Dobrze.

Gorgoli przejechał przez most i znowu zapytał szyldwacha, stojącego po drugiej stronie mostu:

— Czy widziałeś mnie wczoraj, gdy jechałem tu o pół do czwartej.

— Tak toczno, wasze prewoschoditielstwo! Widziałem.

— W jakim kierunku jechałem?

— W kierunku dzielnicy Wyborgskiej, wasze prewoschoditielstwo.

— Dobrze.

Gorgoli jedzie dalej, zdecydowany tropić złoczyńcę do ostateczności. Około szpitala wojskowego zatrzymuje się i znowu pyta szyldwacha.

Ten skierowuje go w dzielnicę szynków. Przez

most Woźniesieński, Gorgoli jedzie dalej, staje na Wielkim Prospekcie i tu znowu zwraca się do stojącego szyldwacha:

— Czy widziałeś mnie znowu około godziny piątej, gdy tędy przejeżdżałem?

— Widziałem, wasze prewoschoditelstwo?

— Dokąd pojechałem?

— Na kanał Katarzyny Wielkiej, wasze prewoschoditelstwo. Do domu № 19.

— Wszedłem tam?

— Tak toczno, wasze prewoschoditelstwo.

— Czy widziałeś, jak wyszedłem stamtąd?

— Nikak niet, (nie)—wasze prewoschoditelstwo!

— Dobrze. Zawezwij na swój posterunek najbliższego szyldwacha, a sam pędź do najbliższych koszar i wracaj tu z kilkoma uzbrojonymi żołnierzami.

Słucham, wasze prewoschoditelstwo.

Szyldwach pobiegł i za jakie dziesięć minut przybył w otoczeniu żołnierzy z karabinami.

Gorgoli rusza z nimi na wskazany dom, rozkazuje zamknąć wszystkie przejścia. Poczem wzywa stróża domu, bada go, i dowiadyje się, że zupełnie podobny do niego jegomość, rzeczywiście, mieszka na drugiem piętrze, w takim a takim mieszkaniu...

Gorgoli udaje się tam, stuka, lecz nikt mu nie otwiera. Rozkazuje wyłamać drzwi i — staje twarzą w twarz ze swym sobowtórem, który przerażony tą wizytą, której przyczynę, oczywiście, zna dobrze — przyznaje się do wszystkiego i zwraca natychmiast całkowicie owe otrzymane trzydzieści tysięcy rubli...

Jak widzimy, pod pewnym względem Petersburg nie bardzo się różni od Paryża.

Zdarzenie to, przy którego finale, wypadkowo byłem obecny, zatrzymało mnie na jakie dwadzieścia

minut. Po drugich dwudziestu minutach już mogłem pójść do Luizy, co też zrobiłem.

W miarę, jak zbliżyłem się do jej domu, serce zaczęło mi bić coraz mocniej. A gdy zapytałem w magazynie, czy można się widzieć z panną Luizą, to głos mi tak drżał, że musiałem powtórzyć ze dwa razy swoje pytanie...

Luiza oczekiwała mnie w buduarze.

IV

Luiza powitała mnie tym poufałym i pełnym wzięku ukłonem, jaki właściwy jest tylko nam, francuzom. Wyciągnawszy mi rękę na powitanie, poprosiła, bym usiadł koło niej.

— Otóż, — rzekła, — zatroszczyłam się już o pana.

— Och, — bąknąłem z takim wyrazem, że ten wywołał jej uśmiech — nie mówmy o mnie, pomówmy raczej o pani.

— O mnie? Alboż ja dla siebie zabiegam o stanowisko nauczyciela szermierki? I cóż pan chce powiedzieć o mnie?

— Chcę pani powiedzieć, że od dnia wczorajszego uczyniła ze mnie pani najszcześniejszego człowieka w świecie, — że teraz już o nikim i o niczem nie mogę myśleć, prócz pani, że przez całą noc oka nie zmrzyłem, myśląc że ta godzina spotkania chyba nigdy nie nastanie.

— Ależ, proszę pana, toż to jest najformalniejsze wyznanie miłości!

— Jak się pani podoba. Mówię nie tylko, co myślę, ale i to, co czuję.

— Pan żartuje?

— Przysięgam na honor, że nie.

- Pan to mówi całkiem poważnie?
 — Najzupełniej.
 — W takim razie muszę się wytłomaczyć wobec pana.
 — To znaczy?
 — Kochany rodaku, uważam, że pomiędzy nami może istnieć tylko czysto przyjacielski stosunek
 — Dlaczego?
 — Dlatego, że ja już mam kochanka. A pan, choćby z przykładu mej siostry, mogłeś się już przekonać, że my mocno bronimy przedmiotu swego wiązania.
 — O, ja nieszczęsny!
 — Ależ nie, pan wcale nie jesteś nieszczęsnym! Gdybym dała możność rozwinięcia się i wzmocnienia pańskiemu uczuciu miłości, nic nie zrobiwszy, by je zahamować — wtedy byłbyś pan rzeczywiście nieszczęśliwym, ale teraz, chwała Bogu, — (tu uśmiechnęła się pięknie), — niema jeszcze nic straconego i pańska „choroba” nie zdołała bardziej rozwinąć się.
 — Nie mówmy już więcej o tem!
 — Przeciwnie, właśnie musimy mówić o tem, ponieważ pan zetknie się w mym domu z tym człowiekiem, którego kocham, a pozatem chcę, by pan wiedział, że bardzo go pokochałam.
 — Dziękuję pani za dowód zaufania.
 — Czuję się pan teraz dotkniętym do żywego, — rzekła, — ale nie ma pan racji. Podaj mi pan rękę, jak dobry przyjaciel.
 Uścisnęłam rękę Luizy i, aby pokazać jej, że zupełnie godzę się z jej decyzją, oświadczyłam:
 — Postępuje pani zupełnie lojalnie. Przyjacielem pani jest, napewno, jakiś książę?
 — O, nie — uśmiechnęła się, — nie jestem taka wymagająca: jest tylko hrabia.

— Ach, mademoiselle Rózo, — zawolałem — niech pani nie przyjeżdża do Petersburga: bardzo prędko zapomni tu pani o Auguście!

— Potępia pan mnie, nie wysłuchawszy nawet — rzekła Luiza. — Jest to bardzo brzydko z pańskiej strony. Oto dla czego pragnę panu wszystko powiedzieć. Zresztą, nie byłbyś pan francuzem, gdybyś pan nie postępował tak lekkomyślnie.

— Spodziewam się, że życzliwy stosunek pani do rosjan nie powoli odnosić się nieżyczliwie do swych rodaków?

— Nie zamierzam i nie chcę być wobec nikogo uprzedzoną. Porównywan, ot i wszystko. Każda nacja posiada swe braki, których sama nie widzi, ponieważ tkwią one głęboko w jej naturze, za to dobrze widzą je inne nacje. Główna nasza wada to — lekkomyślność. Rosjanin, któremu złożył wizytę francuz, nigdy nie powie, że był u niego francuz, a wyrazi się tak: „Dziś miałem u siebie warjata”. I nie trzeba tłomaczyć, kim jest ten warjat: każdy wie bardzo dobrze, że mowa o francuzie.

— A rosjanie, to co — bez wad?

— Ma się rozumieć, że nie, tylko że zazwyczaj nie widzą ich ci, którzy korzystają z ich gościnności.

— Dziękuję za lekcję.

— Ach, mój Boże to nie żadna lekcja, to rada! Przecież pan zamierza pozostać tu długo — zatem musi się pan stać przyjacielem, nie wrogiem rosjan.

— Rzecz prosta.

— Bo czyliż ja nie byłam kiedyś taką samą, jak pan? Czyż nie dawałam sobie słowa, że dla kogo jak dla kogo, ale dla mnie rosjanin, począwszy od cara, a kończąc na zwykłym śmiertelniku, nigdy nie będzie niczem? A otóż nie dotrzymałem słowa! Niechże

więc pan nie postępuje tak, jak ja postępowałam, aby nie popełnić tego samego błędu.

— Z pewnością, — wtrąciłem nieśmiało — toczyła pani długą walkę?

— Tak, długą i walka ta omal że nie skończyła się tragedją.

— Czy nie sądzi pani, że moja ciekawość w danej chwili przerasta moją zazdrość?

— Nie, nie sądzę.

— W takim razie, niech mi pani opowie swe dzieje.

— Pracowałem dawniej, — zaczęła mademoiselle Luiza — jak pan już to wie z listu Róży, u madame Xavier, najbardziej znanej właścicielki magazynu mód w Petersburgu. Wszystkie najbogatsze damy w stolicy u niej wszystko nabywały. Dzięki swej młodości oraz temu, co świat nazywa urodą, a przede wszystkim, że jestem francuzką — jak się pan prawdopodobnie domyśla, nie czułam braku wielbicieli...

A jednakowoż, przysięgam panu! pomimo najświetniejszych propozycji i wyznań miłosnych — nie sprawiły one na mnie najmniejszego wrażenia. Tak minęło półtora roku.

Aliści, przed dwoma laty, razu pewnego przed magazynem pani Xavier zatrzymał się powóz, zaprzężony w cztery konie. Wsiadła z niego starsza pani, która mogła liczyć lat około czterdziestu pięciu, dwie młode panienki oraz młody podporucznik pułku kawalerji. Była to hrabina Anienkowa ze swemi dziećmi. Hrabina z córkami mieszkała stale w Moskwie, a teraz przybyła do syna, by spędzić lato w stolicy.

Z pierwszą zaraz wizytą udaje się do pani Xavier, która miała opinię prawodawczyni mód.. Panie

z towarzystwa w żaden sposób nie mogły się obejść bez pomocy madame Xavier...

Obie panienki były bardzo elegancko ubrane, co się zaś tyczy młodzieńca, to nie zwróciłam na niego najmniejszej uwagi, mimo iż on przez cały czas swej bytności w magazynie—nie spuszczał ze mnie oczu.

Porobiwszy konieczne zakupy, starsza pani pozostawiła swój adres: Fontanka, dom hrabiny Annienkowej.

Nazajutrz ów młody oficer przybył do naszego magazynu sam jeden i zwrócił się do mnie z prośbą o przerobienie wstążki na kapeluszu jednej z jego siostr ..

Wieczorem zaś otrzymałam list z podpisem Aleksiego Annienkowa. Jak wszystkie listy tego rodzaju, był on od początku do końca wyznaniem miłosnem. Jeden wszakże szczegół zastanowił mnie w tym liście: nie zawierał żadnych uwodzicielskich propozycji i przyrzeczeń, mówił tylko o pragnieniu posiadania mego serca, nie o chęci kupienia go!

Istnieją sytuacje, w których nie można nie być śmiesznym, przestrzegając zbyt surową moralność. Gdybym była panną z towarzystwa, to odesłałabym hrabiemu jego list, bez czytania go. Lecz przecież byłam tylko skromną gryztką: przeczytałam więc list i... spaliłam go.

Nazajutrz znowu zjawił się u nas hrabicz, pragnąc coś kupić dla swej matki. Gdy go tylko ujrzałam, natychmiast pod jakimś pretekstem wysłałam z magazynu do pokoju madame Xavier, i zostałam tam, dopóki oficer nie odjechał.

Wieczorem otrzymałam od niego drugą epistolę. Pisał w liście, że nie traci jeszcze nadziei, gdyż przypuszcza, że pierwszego jego listu nie dostałam.

Ale i ten jego list pozostawiłam również bez odpowiedzi.

W dzień potem otrzymałam od niego trzeci list. Uderzył mnie ton tego listu: wionęło odeń smutkiem, przypominającym smutek dziecka, któremu odebrano ulubioną zabawkę. Nie była to rozpacz dorosłego mężczyzny, który stracił to, czego pragnął.

Pisał, że jeśli mu nie odpowiem i na ten list, to weźmie urop i wyjedzie z rodziną z Moskwy. Odpowiedziałam i na ten list milczeniem, i dopiero po sześciu tygodniach otrzymałam od niego list z Moskwy, w którym donosił mi, że gotów jest powziąć szaloną decyzję, która może zdruzgotać mu całą przyszłość.— Błagał, bym przynajmniej na ten list odpowiedziała, iżby nie tracił promienia nadziei, który go przywiąże do życia.

Sądziłam, że list ten został napisany po to, by mnie nastraszyć, to też pozostawiłam go, podobnie, jak wszystkie poprzednie, bez odpowiedzi.

W cztery miesiące potem przysłał mi następujący list:

„Przyjechałem dopiero co i pierwsza moja myśl jest—o pani.

Kocham panią tak samo, a być może nawet jeszcze bardziej, niż dotąd.

Od pani zależy uczynić mnie szczęśliwym na całe życie”

Ten jego upór, ta tajemniczość aluzji w jego ostatnich listach, a wreszcie ten ich smętny ton, skłoniły mnie do zdecydowania się na odpowiedzenie mu, ale ta odpowiedź moja była niewątpliwie zupełnie nie taką, jakiej pragnął młody hrabia... Zakończyłam swój list zapewnieniem, że nie kocham go i nigdy nie pokocham.

Wydaje się to panu dziwnem, — przerwała

Luiza, — swe opowiadanie—widzę, że pan się uśmiecha, taka cnotliwość wydaje się panu śmieszną u biednej dziewczyny! Ale upewniam pana, że była to nie tyle nawet cnotliwość, ile rezultat otrzymanego przeze mnie wychowania. Moja matka, wdowa po oficerze, zostawszy bez wszelkich środków po śmierci męża, tak właśnie wychowała Różę i mnie.

Gdy ukończyłam lat szesnaście, umarła matka, i utraciliśmy tę skromną pensyjkę, z której dotąd żyliśmy. Siostra nauczyła się robić kwiaty, ja zaś zostałam sprzedawczynią w magazynie mód. Wkrótce Róża poznała pańskiego przyjaciela, pokochała go i oddała mu się, z czego nie robię jej żadnej winy, uważam bowiem za rzecz zupełnie naturalną oddanie swego ciała, gdy się kocha serce. Ja zaś nie spotkałam nikogo, kogo mogłabym pokochać.

Nastał Nowy Rok. U Rosjan, jak pan to wkrótce ujrzy, początek roku świętuje się bardzo uroczyście. W ten dzień wielki pan czy chłop, księżna czy sklepowa z magazynu mód, generał czy żołnierz szeregowiec—stają się jakgdyby braćmi wobec siebie.

W dzień Nowego Roku car przyjmuje zazwyczaj, lud w swym pałacu: ludność otrzymuje około dwudziestu tysięcy zaproszeń na bal w Pałacu Zimowym. O godzinie dziewiątej wieczorem pałac naraz otwierają i sale jego momentalnie napełniają się najróżnorodniejszą publicznością, podczas gdy przez cały rok pałac ten dostępny jest tylko dla — wysokiej arystokracji...

Madame Xavier wystarała się o bilety dla nas, pańien i postanowiłyśmy udać się na ten bal. Pomiędzy ogromnego napływu ludności,—acz jest to wielce dziwnem,—nigdy na tych balach nie bywa nawet najmniejszego nieładu, to też młoda dziewczyna, nawet jeśli słą tu znajdzie sama jedna, może się czuć tak

samo bezpieczną, jakgdyby znajdowała się w sypialni swej matki.

Byliśmy już w pałacu Zimowym blisko pół godziny, a ciasnota stawała się tak wielką, że zdało, już ani jeden przybysz nie znalazłby tu miejsca dla siebie, gdy naraz rozległy się dźwięki — poloneza.

Równocześnie na sali rozległ się szept: „cesarz... cesarz!...”

We drzwiach ukazał się Jego Cesarska Mość w pierwszej parze z małżonką posła angielskiego. Za nim kroczył cały dwór carski.

Wszyscy cofnęli się, tworząc wolne przejście, przez które runęły wszystkie pary tańczące. Przed memi oczami przesunął się cały potok brylantów, ślicznych piór, aksamitu i perfum. Odłączona od swych koleżanek z magazynu, usiłowałam połączyć się z nimi, ale nie udawało mi się to. Na moment ujrzałam je jakby poderwane wichrem i natychmiast straciłam z oczu. Nie mogłam przedrzeć się przez zwarty mur z ludzkich ciał, dzielący mnie od nich i oto — ujrzałam się naraz sama jedna wśród tłumu dwudziestu tysięcy ludzi.

W tym momencie, straciwszy zupełnie głowę, gotowa byłam zwrócić się o pomoc do pierwszego lepszego z obecnych. Nagle stanęło koło mnie domino, w którym poznałam... hrabiego Aleksiego Anienkowa!

— Jakto, pani tu sama jedna? — zdziwił się

— Ach, to pan, hrabio! — ucieszyłam się, — niechże mi pan pomoże, na miłość Boską, wydostać się stąd! Niech mi pan sprowadzi powóz.

— Niech mi pani pozwoli odwieść się w swoim, a będę błogosławił chwilę, która dała mi więcej, niż wszystkie moje zabiegi.

— Nie, nie, dziękuję panu. Chciałabym widzieć dorożkę.

— Ba, kiedy o tej godzinie niepodobna tu znaleźć dorożkarza. Niech pani zostanie jeszcze jedną godzinę.

— Nie, muszę już jechać.

— W takim razie, niech pani pozwoli odwieść się w moich sankach. Zrobią to moi ludzie. A ponieważ nie życzy sobie pani mnie widzieć, to — cóż poznać? — nie ujrzy mnie pani!

— O, Boże mój, chciałabym już...

— Innego wyboru niema. Albo zostać tu jeszcze, albo zgodzić się na jazdę w moich sankach, nie może pani przecież iść sama jedna, pieszo na taki mróz. —

— Dobrze, hrabio. Zgadzam się jechać w pańskich sankach.

— Aleksy wziął mnie pod rękę, mimo to niemal całą godzinę przepychaliśmy się przez tłum, zanim przedostaliśmy się do drzwi, wychodzących na plac Admiralicji. Hrabia zawezwał swych służących i po chwili koło podjazdu ukazały się piękne sanki w formie karocy.

Wsiadłam do nich i wymieniłam adres pani Xavier. Hrabia pocałował mnie w rękę, zamknął drzwiczki i powiedział po rosyjsku kilka słów.

Sanki pomknęły z szybkością błyskawicy

Po chwili konie, jak mi się zdało, pomknęły jeszcze szybciej; woźnica, naturalnie, robił naprawdopodobne wysiłki, by je zatrzymać. Poczęłam krzyczeć, ale krzyki moje ginęły w głębi sanek. Chciałam otworzyć drzwiczki, lecz sił mi zbrakło. Po kilku próbach opadłam na siedzenie, myśląc że konie poszły i że natychmiast wpadniemy na co, i rozbijemy się.

Jednakowoż, w jakiś kwadrans sanki zatrzymały się, i drzwiczki otwarto. Byłam tak dalece oszolo-

...niona tem wszystkim co zaszło, że absolutnie nie wiedziałam, co się dzieje ze mną? Nagle owinięto mnie od stóp do głów w jakiś szal, i poniesiono kędyś. Poczułam tylko jeszcze, że złożono mnie na kanapie.

Zrobiłam wysiłek, by uwolnić się od szalu, w który mnie zakutano, zerwałam go i ujrzałam się naraż w zupełnie nieznanym mi pokoju, a hrabia Aleksy stał tuż przy mnie na klęczkach.

— Och, — zawołałam, — pan mnie oszukał! To okropne!

— Daruj mi pani, — odrzekł Aleksy, — nie chciałem utracić tej okazji, ponieważ inna już pewno nigdy mi się nie nadarzy. Niech mi pani pozwoli choć raz w życiu powiedzieć jej, że...

— Pan nie powie mi ani jednego słowa, hrabio! — krzyknęłam zrywając się z kanapy, — i natychmiast każe pan odwieść mnie do domu, inaczej będziesz człowiekiem bez najmniejszej czci!

— Na Boga! Ja...

— W żadnym razie!

— Ja chcę tylko powiedzieć pani... ja pani tak dawno nie widziałem, tak dawno nie mówiłem z panią... Czyż doprawdy moja miłość i moje prośby...

— Ja nic nie chcę słyszeć.

— Widzę teraz, — ciągnął, — że pani mnie nie kocha i nigdy nie pokocha. List pani dał mi niejaką nadzieję, lecz widzę, że była ona zwodną. Pani mnie potępia. Ulegam więc pani, ale proszę tylko pięć minut wysłuchać mnie, poczem będzie pani wolną...

— Więc pan dajesz mi słowo, że po pięciu minutach będę wolną?

— Przysięgam!

— W takim razie proszę mówić!

— Wysłuchaj mnie, Luizo. Jestem bogaty, ze

znakomitego rodu, mam matkę, która mnie ubóstwia, dwie siostry, które mnie kochają. Od najwcześniejszego dzieciństwa otoczony byłem ludźmi, którzy musieli mi ulegać, a jednak, mimo wszystko, choruję na tę chorobę, na którą cierpi większość moich współrodaków w dwudziestym roku życia: jestem znudzony życiem, — nudzę się.

Ta choroba — to zły duch mego życia. Ani bał, ani uroczystości, ani rozrywki żadne nie mogły pozbawić mnie tego szarego zgasłego ducha, który mi przesłania życie. Sądziłem, że może wojna z jej przygodami i niebezpieczeństwami wyleczy nieco mój duch, ale teraz, w Europie wszędzie panuje głęboki spokój, i niemasz więcej Napoleona, który wstrząsał i obalał państwa.

Zmęczony wszystkiem, spróbowałem podróżować, gdy oto zetknąłem się z panią. To, co poczułem do pani, nie było tylko kaprysem sercowym. Napisałem do pani, przekonany, że dostatecznie wyłożyłem pani wszystko, co czuję i że pani ustąpi wobec mych prośb. Ale wbrew memu oczekiwaniu, pani nie raczyła mi odpowiedzieć. Nastawałem, ponieważ opór pani drażniał mnie. Przekonałem się wkrótce, że żywię ku pani prawdziwą, głęboką miłość!

Nie próbowałem pokonać w sobie tego uczucia, ponieważ wszelka walka z samym sobą tylko mnie nuży. Napisałem pani, że wyjadę i rzeczywiście wyjechałem.

W Moskwie spotkałem starych przyjaciół. Ujrawszy, że jestem ponurym, znudzonym, usiłowali mnie rozerwać. Ale to im się nie powiodło. Wówczas poczęli szukać powodu mego smętnego nastroju. Koniec końców orzekli, że jesten takim dlatego, że nurtują mnie idee wolnościowe, to też zaproponowali mi wejść

do tajnego stowarzyszenia, którego cele wymierzone są przeciwko carowi.

— O, Boże! — zawołałam przerażona, — ale spdziewam się, że pan odmówił?

— Pisałem już pani, że decyzja moja zależeć będzie od odpowiedzi pani. Gdyby mnie pani kochała, to życie moje należałoby nie do mnie, a do pani, i nie miałbym wówczas prawa rozporządzać się niem. Ale skoro mnie pani nie odpowiadała na listy, stwierdzając tem, że nie kocha mnie pani — to, czyż to nie wszystko jedno, co stanie się dalej ze mną? Stowarzyszenie tajne — to niejako rozrywka. Jeśli nasz spisek zostanie wykryty, będziemy musieli zginąć na szafocie. Nieraz już myślałem o zamachu samobójczym, to też w tym wypadku nie musiałbym go sam na sobie wykonać.

— O, mój Boże! Czy pan naprawdę mówi to, o czem pan myślał?

— Mówię pani, Luizy, najczystsą prawdę. Niech pani patrzy, rzekł, biorąc z małego stołu zapieczętowaną kopertę, — nie mogłem przecie przewidzieć, że spotkam panią dzisiaj! Nie wiedziałem nawet, czy wogóle ujrzę panią jeszcze kiedykolwiek. Proszę, niech pani czyta!

— Pańska ostatnia wola!

— Tak. Zrobiłem testament jeszcze w Moskwie, nazajutrz po wstąpieniu do tajnego stowarzyszenia.

— O, mój Boże! Pan zapisuje mi trzydzieści tysięcy rubli rocznego dochodu!

— Jeśli nawet nie kochała mnie pani życie, za to pragnąłem ten, aby zachowała pani o mnie dobre wspomnienie przynajmniej po mojej śmierci.

— Ale co się stało z tym spiskiem, z myślami o samobójstwie? Czy wyrzekł się pan z tego wszystkiego?

— Luizo, teraz może już pani iść! Pięć minut wpłynęło. Ale wiedz pani — że jesteś ostatnią moją nadzieją, tem ostatniem, co mnie przywiązuje do życia.

Jeśli pani wyjdzie stąd z tem, aby tu nigdy więcej nie wrócić, to damę pani słowo honoru, słowo hrabiego, że drzwi się jeszcze za panią nie zamkną, jak wlepię sobie kulę w łeb.

— Paneś warjat!

— Nie. Jestem tylko człowiek znudzony.

— Pan nie zrobi tego, co mówił

— Niech pani już idzie!

— Na Boga, hrabio...

— Posłuchaj, Luizo, zmagalem się z sobą do ostateczności. Ale wczoraj postanowiłem skończyć już z tem. Dziś oto ujrzałem panią znowu i odważyłem się jeszcze raz zaryzykować, w nadziei, że może teraz wygram. Postawiłem swoje życie na kartę. No i cóż? Przegrałem—więc muszę zapłacić!

Gdyby Aleksy mówił mi to wszystko w porywie namiętności, nie uwierzyłabym mu, ale on był teraz zupełnie spokojny. Ze wszystkich jego słów było tyle prawdy, że nie mogłam jakoś odejść: patrzyłam na tego pięknego pełnego życia, młodego oficera, któremu ja tylko byłam potrzebna;—by czuł się zupełnie szczęśliwym.

Przyszły mi na myśl jego matka i dwie siostry, które tak szalenie kochają go, przypomniałam sobie ich szczęśliwe, uśmiechające się twarze. I wyobraziłam sobie jego twarz zniekształconą, ociekającą krwią i tę matkę z siostrami, płaczące i złamane i zapytałam się, czy mam prawo zdruzgotać te wszystkie szczęśliwe egzystencje, zburzyć te ich wszystkie słodkie nadzieje?

Pozatem muszę się przyznać, takie uparte przy-

wiązanie też poczęło dawać swój rezultat: ja również w ciszy nocy, w swej samotności nieraz myślałam o tym człowieku, który tak szalenie mnie pokochał... To też, zanim miałam rozstać się z nim na wieki, wejrzałam głębiej w swą duszę i przekonałam się, że ja także go... Kocham...

Pozostałam...

Aleksy mówił prawdę: jedyne, czego mu było brak, była to moja miłość. Oto już dwa lata mijają, jak kochamy się nawzajem i Aleksy jest szczęśliwy, czy też przynajmniej zdaje się nim być. Zapomniał o tem tajnem stowarzyszeniu, do którego wstąpił z nudów i odrazy do życia.

Nie chcąc, bym dłużej przebywała u madame Xavier, nie mówiąc ani słowa, wynajął mi ten magazyn. I oto już półtora roku mija, jak żyję zupełnie innem życiem, studjuję przedmioty, o których nie miałam żadnego pojęcia w młodości, — jednym słowem: uzupełniam swe liche wykształcenie, tem się tłumaczy ta różnica, którą dostrzegł pan we mnie w stosunku do innych dziewcząt z mojej profesji.

Widzi pan zatem — zakończyła swe opowiadanie — że nie napróżno pana powstrzymałam: kokiетка postąpiłaby inaczej, niż ja. I przyzna pan sam, że nie mogę pana kochać, ponieważ Kocham jego.

— Tak. Teraz rozumiem, dzięki komu zamierza pani służyć mi protekcją.

— Już nawet mówiłam z nim o panu.

— Dziękuję serdecznie, ale nie przyjmę jej.

— Paneś chyba zwarjował!

— Być może, ja jednakowoż, stoję przy swoim.

— Czy pan chce się pokłócić ze mną i na wieki rozstać? Tak?

— O to byłoby dla mnie czemś okropnem, ponieważ oprócz pani, nikogo tu nie znam.

— Oczywiście. Więc niechże pan patrzy na mnie jak na siostrę i pozwoli mi działać.

— Pani niezbędnie chce tego?

— Nawet żądam!

W tejże chwili drzwi otwarły się i do pokoju wszedł hrabia Aleksy Annienkow.

Był to piękny młody pan, mniej więcej dwudziestopięć-sześćioletni, zgrabny, postawny, o ładnych rysach twarzy, który — jak to już rzekłem — służył jako oficer w pułku kawalerji. Dowództwo nad tym uprzywilejowanym pułkiem przez długi czas miał wielki książę Konstanty, brat cara Aleksandra I-go, będący w owym czasie namiestnikiem w Polsce.

Hrabia ubrany był w swój mundur z orderami. Luiza powitała go z uśmiechem na twarzy.

— Mówiliśmy właśnie o panu, hrabio. Niech pan pozwoli przedstawić sobie mojego współrodaka, o którym mówiłam już panu i dla którego proszę o pańską protekcję.

Hrabia bardzo przyjemnie przywitał się ze mną i rzekł:

— Niestety, droga Luizo, protekcja moja nie jest zbyt wielką, mimo to pragnę zaproponować rodakowi pani przedewszystkiem dwóch uczniów: brata i siebie.

— Na razie i to coś znaczy, — odparła Luiza — ale czy nie zapytywał pan, hrabio, o miejsce nauczyciela fechtunku dla niego w jakim z pułków?

— Owszem, zapytywałem. Ale teraz w Petersburgu mamy już dwóch mistrzów szermierki: jednego francuza, a drugiego — rosjanina.

— Pańskim rodakiem, monsieur, — zwrócił się do mnie — jest Valvile. Nie znam jego zasług, dość, że potrafił spodobać się cesarzowi, który mianował go majorem i odznaczył kilkoma orderami. Teraz jest on nauczycielem szermierki w całej gwardji. Co się zaś

tyczy tego drugiego, rosjanina, to jest to również przyjemny człowiek, którego jedynym brakiem jest to, że jest rosjaninem... Kiedyś udzielał lekcji cesarzowi, a teraz niedawno otrzymał stopień pułkownika. Pan chyba nie zamierza ustosunkować się tak, aby obaj zostali pańskimi wrogami?

— Rzecz prosta, — odparłem.

— W takim razie powinien pan postąpić według mnie tak: musi pan dać publiczny seans, na którym zademonstruje pan całą swoją biegłość szermierczą. Gdy po wieście gruchnie wieść o panu, jako o mistrzu, wtedy mogę służyć panu swoją rekomendacją do wielkiego księcia Konstantego, który obecnie przebywa w pałacu w Strelnie i mam nadzieję, że raczy on przedłożyć pańską petycję Jego Cesarskiej Mości.

— Doskonale! — zawołała zachwycona Luiza, która była bardzo zadowolona z takiej życzliwości dla mnie, — sam pan teraz widzi, że mówiłam prawdę!

— Nigdy nie wątpiłem co do tego, że hrabia jest najmiłszym ze wszystkich protektorów na świecie, a pani — najbardziej czarującą ze wszystkich kobiet. Dziś jeszcze wieczór zajmę się ułożeniem programu seansu...

— O, tak to rozumiem, — rzekł hrabia Annienkow.

— Wybacz mi hrabio, — odezwałem się, — że zwrócę się do pana z prośbą o udzielenie mi pewnych informacji o lokalnych warunkach. Jeśli urządze seans — to nie dla pieniędzy, lecz po to, by dobrze zaprezentować swą sztukę. Pytam tedy, jak mam postąpić: porożylać zaproszenia, jak na wieczorek, czy też oznaczyć należność za wejście, jak na przedstawienie.

— Bezwarunkowo musi pan oznaczyć należność, — odparł hrabia, — bez tego nikt nie przyjdzie na

seans. Niech pan oznaczy 10 rubli jako cenę biletów i pośle mi sto biletów: rozdám je swoim znajomym.

Trudno było być bardziej uprzejmym, jak był hrabia. Podziękowałem mu i pożegnawszy się, wyszedłem.

Nazajutrz moje afisze porozlepiane zostały po całym mieście, a w tydzień potem urządziłem seans publiczny, w którym nie wzięli udziału ani Valville, francuz, nauczyciel fechtunku, ani rosjanin Siniebruchów, a jedynie publiczność polska, rosyjska i francuska.

Nie mam zamiaru opowiadać tu o swych zręcznych sposobach fechtunku i sztuce dobrych ciosów. Powiem tylko, że podczas seansu hrabia de la Ferronnays, francuski poseł w Petersburgu, zbliżył się do mnie z życzeniem, bym udzielał lekcji jego synowi, hrabiemu Karolowi, i że już nazajutrz otrzymałem wiele listów z uznaniem, między innymi od księcia Württembergskiego, który również prosił mnie udzielać lekcji jego synowi oraz od hrabiego Bobrińskiego, który sam nawet począł brać u mnie lekcje.

Kiedyśmy znowu zeszli się z hrabią Aleksym Annienkowym, ten rzekł mi:

— Pański seans odbył się bardzo pomyślnie, tak że zdobył pan sobie reputację wybornego znawcy sztuki fechtunku. Teraz musi pan tylko otrzymać oficjalny patent. Oto jest list do adjutanta wielkiego księcia Konstantego. On już słyszał o panu. Niech się pan uda do wielkiego księcia z petycją adresowaną na Najwyższe Imię; niech mu pan jakoś pochlebi i postara się uzyskać jego protekcję.

— Ale czy on mnie przyjmie, hrabio? — spytałem z wahaniem.

— To jest, jak czy przyjmie?

— Myślę, czy przyjmie mnie, jak wypada?

— Posłuchaj pan,—zaśmiał się hrabia Aleksy,— pan masz dla nas zbyt wiele respektu. Uważasz pan nas za ludzi ucywilizowanych, podczas gdy w gruncie rzeczy jesteśmy barbarzyńcami. Oto list — ale za nic więcej nie odpowiadam: wszystko zależy od dobrego lub złego usposobienia wielkiego księcia! Wybierz pan jaknajlepszy moment. Jesteś pan przecie francuzem — a więc człowiekiem sprytnym. Musi pan stoczyć walkę i osiągnąć zwycięstwo!

— Tak, ale ja nie chciałbym być potrącanym w przedpokojach i lękać się zwycięstw. Upewniam pana, panie hrabio, że zamiast tego wolałbym raczej prawdziwy pojedynek.

— Jean Bart nie mniej niż pan był obyty z gładkimi posadzkami i zwyczajami dworu. A, mimo to, jak postąpił, gdy zjawił się w Wersalu?

— Walnął pięścią, hrabio!

— Otóż to! I pan tak uczyni. A propos, muszę panu powiedzieć, że Naryszkin, kuzyn cesarza hrabia Czernyszew, oraz pułkownik Murawiew, prosili mnie wyrazić panu swoją chęć brania u pana lekcji fechtunku.

— Hrabio, pan jesteś nazbyt dobry.

— Bynajmniej, monsieur; ja tylko spełniam dane mi polecenie, — ot i wszystko.

— Zdaje mi się, że jak na początek, to wcale nieźle, — wtrąciła Luiza.

— Wszystko zawdzięczam pani. Jutro spełnię hrabio, pańską radę i zaryzykuję.

— Pomyślności. Allez, et bonne chance!...

Zachęta hrabiego była, zresztą, wcale nie zbyt, słyszałem już bowiem coś niecoś o wielkim księciu Konstantym, do którego miałem udać się.

Lżej by mi było wyruszyć na niedźwiedzia, niżli zwrócić się z prośbą do niego, do tego dziwnego

człowieka, w którego charakterze tkwiło tyle cech dobrych i złych.

V.

Wielki książę Konstanty, młodszy brat Aleksandra, odziedziczył jak się zdaje, całkowicie charakter swego ojca, ze wszystkimi tegoż dziwactwami.

O ile Konstanty nie lubił oddawania się nauce, o tyle podobały mu się ćwiczenia żołnierskie. Fechtować się, jeździć konno, odbywać musztrę wojskową z powierzonymi mu oddziałami — to w oczach wielkiego księcia wydawało się czem bardziej pożytecznym, niżli ślęczenie nad botaniką, astronomją, malarstwem i tym podobnymi gałęziami wiedzy. Pod tym względem właśnie był zupełnie podobny do swego ojca, cesarza Pawła.

Z czasem tak dalece zapłonął do wszelakich ćwiczeń wojskowych, że nawet w dniu swego ślubu wstał o godzinie piątej rano i zabrał się do musztrowania żołnierzy, którzy znajdowali się koło pałacu.

Zerwanie Rosji z Francją wyszło na korzyść Konstantemu, którego ojciec posłał na uzupełnienie edukacji wojskowej do armji, będącej pod dowództwem feldmarszałka Suworowa.

Ale taki nauczyciel, jak Suworow, głośny tyleż dla swego męstwa, co i dla dziwactw charakteru, nie bardzo się nadawał do wychowywania Konstantego, a przede wszystkim do oduczenia go różnych dziwactw. Rezultat też był taki, że ekstrawagancje w charakterze Konstantego nie tylko że nie znikły, lecz nawet rozwinęły się, tak że wśród otoczenia powstała kwestja: czy nie odziedziczył wypadkiem Konstanty po ojcu swych warjacji?

Po powrocie z wyprawy na Francję, otrzymał

Konstanty nominację na namiestnika Polski. Gdy stanął na czele walecznego narodu polskiego, to jego upodobania żołnierskie jeszcze bardziej wzrosły; najprzyjemniejszą rozrywką Konstantego stały się wszelkie parady, przeglądy wojska, marsze i musztry.

W zimie, czy w lecie, mieszkał w pałacu Brühlowskim koło Ogrodu Saskiego, albo w pałacu Belwederskim; wstawał o godzinie trzeciej rano i sam wkładał na siebie mundur generalski. Żaden sługa nie śmiał mu w tem pomagać. Poczem przy okrągłym stole w pokoju, w którym wisiały malowidła mundurów wszystkich pułków armji polskiej, lustrował rozkazy, wydane dzień przedtem przez pułkownika Aksamiłowskiego, aprobował je, lub odrzucał.

Przy tem zajęciu trwał do godziny dziewiętej, poczem naprędce spożywał śniadanie i natychmiast udawał się na piękny Plac Saski, gdzie go zazwyczaj oczekiwały już dwa pułki piechoty i jeden szwadron kawalerji.

Przy jego zbliżaniu się muzyka poczyniała grać hymn, ułożony przez Karpińskiego, poczem natychmiast zaczynały się ćwiczenia. Żołnierze mijali go matematycznie prawidłowemi krokami, robiąc, podług jego komendy, wszelakie zwroty. Bardzo często Wielki Książę Konstanty przybywał na te ćwiczenia ubrany w zielony strój myśliwego, mając na głowie miękki kapelusz, ozdobiony piórami.

Pod wążkiem czołem księcia Konstantego, pokrytem głębokimi zmarszczkami, siedziała para błękitnych oczu z wielkimi rzęsami. Jego bystry wzrok, nieduży nos, zadarty ku górze oraz długa dolna warga nadawały jego twarzy jakiś wyraz niesamowity, a jednocześnie okrutny.

Przy dźwiękach muzyki wojskowej, na widok ludzi, mijających go miarowym ceremonjalnym mar-

szem, Konstanty zapominał o wszystkim na świecie! Oczy mu się wtedy świeciły jak w febrze, do twarzy uderzała krew, ręce zaciskały w pięście, a nogi wybiły takt kroczących pułków... Był niezmiernie zadowolony, gdy wszystko szło dobrze, ale wpadał we wściekły, bestjałski gniew; gdy podczas musztry lub parady zdarzało się coś, nie po jego myśli!

W takich razach okrutnie rozprawiał się z winnymi: za najmniejsze omyłki żołnierzy karał — aresztem, a oficerów — degradował. To okrucieństwo jego rozszerzało się nie tylko na ludzi, ale i na zwierzęta.

Razu pewnego otrzymał skądś małpę, a ponieważ wyprawiała ona wiele hałasu — kazał ją zamknąć do klatki. Drugim razem koń zrobił błąd w przeszkakowaniu przez barjerę, wówczas kazał ukarać go tysiącem kijów. Trzecim razem polecił zastrzelić psa, którym w nocy obudził go swym wyciem...

Jego wesoły nastrój wyrażał się w tak samo dzikiej formie, jak i gniew: Konstanty dosłownie przewracał się po podłodze ze śmiechu, tarł ręce z radości, tupał nogami z zadowolenia... W takie chwile chwycił pierwsze lepsze dziecko, podnosił i podrzucał do góry, szczypał je, pociągał za nos, a następnie dawał mu złoty pieniądz. Miewał też niekiedy godziny, gdy nie gniewał się ani nie cieszył, ale przebywał w jakiejś prostracji ducha, w głębokiej melancholji. Doznawał wtedy niezwykłego osłabienia fizycznego, jęczał przewracając się po kanapach lub na podłodze.

W takich chwilach nikt nie śmiał się zbliżyć do niego, prócz pewnej wysokiej bladej kobiety, ubranej w zwykłą białą suknię z niebieskim pasem. Ta kobieta wywierała na niego wpływ magiczny. Siadała koło niego, a on kładł jej głowę na kolana, płakał jak dziecko, poczem zasypiał i obudził się zupełnie zdro-

wym. Kobieta tą była — Anna Grudzińska, anioł stróż Polski („l'ange gardien de la Pologne”)

Ten napół dziki człowiek, o namiętym warjackim charakterze, stawał się przy niej nagle nieśmiałym, jak dziecko. On, wobec którego wszyscy drżeli, nieśmiało prosił starego ojca o rękę Anny Grudzińskiej, błagając, by mu nie odmawiał, gdyż bez niej żyć nie może! Starzec nie odmówił Wielkiemu Księciu i w ten sposób Konstanty uzyskał zgodę jego córki. Ale trzeba było jeszcze otrzymać zgodę cara.

Konstanty otrzymał tę zgodę — wyrzekłszy się swych praw do tronu carskiego...

I oto, ten przedziwny, nieodgadnięty człowiek, który niby Jowisz Olimpijski, przyprawiał o drzenie wszystkich — oddał koronę za serce młodej Polki, czyli gwoli ukochanej kobiety wyrzekł się władztwa nad olbrzymim imperium, zajmującą siódmą część kuli ziemskiej, zaludnionem pięćdziesięcioma trzema milionami mieszkańców!

Anna Grudzińska otrzymała od cara Aleksandra I tytuł „księżny Łowicza”.

Takim był człowiek, do którego miałem się udać. Przybył on do Petersburga, wtedy, jak mi mówiono potajemnie, ponieważ dowiedział się w Warszawie o olbrzymim spisku obejmującym całą Rosję. Owóż nici tego spisku, które był trzymał w swych rękach, urwały się, dzięki kamiennemu uporowi dwóch spiskowców polskich, których uwięził.

Jak widzicie, okoliczności nie bardzo sprzyjały temu, by w tak poważnej chwili dla Konstantego, zwracać się do niego z tak mizerną prośbą, jak moja.

Wynająłem doróżkarza i udałem się nazajutrz do Strelny z listem — do adjutanta wielkiego księcia Konstantego oraz z prośbą na imię cesarza Aleksandra...

Po dwóch godzinach jazdy wspaniałą drogą, po lewej stronie zamkniętymi domkami, a po prawej mającą równinę, stągającą prawie do samej Zatoki Fińskiej — przybyliśmy do Strelny.

Około poczty na ulicy Wielkiej skřęciliśmy na prawo, a w kilka minut potem znalazłem się przed pałacem Wielkiego księcia. Warta nie chciała mnie przepuścić, ale gdy pokazałem jej list — przepuszczono mnie.

Minąłem taras i znalazłem się w przedpokoju.

Poproszono mnie, abym poczekał chwilę w pokoju, którego okna wychodziły na śliczny ogród. Oficer zabrał mój list. W chwilę potem, wrócił i poprosił mnie, abym udał się za nim.

Wielki książę Konstanty stał oparty plecami o napalony piec, ponieważ powietrze na dworze było dość ostre, mimo iż był to dopiero początek września. Dyktował jakąś depezę adjutantowi, który siedział koło niego. Nie oczekiwałem wcale, że zostanę tak prędko przyjęty, przeto zatrzymałem się na progu.

Zaledwie drzwi zamknęły się za mną, gdy wielki książę, rzuciwszy na mnie swój przenikliwy wzrok, nie zmieniając pozy, zapytał:

— Skąd jesteś pan rodem?

— Z Francji, Wasza Wysokości.

— Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Nazwisko?

— S...

— A więc to pan chcesz otrzymać posadę mistrza szermierki w jednym z pułków Jego Cesarskiej Mości, mego brata?

— Jest to przedmiotem najgorętszego mego życzenia!

— Powiadasz pan, że jesteś pierwszorzędnym szermierzem?

— Raczy mi wybaczyć, Wasza Wysokość. Nie wówiłem tego, bo czyliż mógłbym się zdobyć na taką śmiałość?

— Ale pan, prawdopodobnie, tak myślisz?

— Wasza Wysokość sam raczy wiedzieć, że próżność jest największą wadą rodu ludzkiego. Zresztą, dałem już seans publiczny, to też Wasza Wysokość może zasięgnąć o mnie informacji.

— Wiem o tem. Ale w tym seansie miałeś pan do czynienia tylko z amatorami oraz dość przeciętnymi szermierzami.

— Oszczędzałem ich, Wasza Wysokości!

— No, a gdybyś był ich pan nie oszczędzał, to co wtedy byłoby?

— Tuszowałbym ich z dziesięć razy, podczas gdy oni mnie może raz jeden...

— Masz ci! W takim razie i mnie mógłbyś pan tuszować dziesięć razy przeciwko jednemu?

— To zależy, Wasza Wysokości.

— To jest, jakto, — to zależy?

— No tak, zależnie od tego, jakby sobie Wasza Wysokość życzył, być traktowanym... Jeśli fechtować się będę z wielkiem księciem, to rozumie się samo przez się, że Wasza Wysokość będziesz mnie tuszować dziesięć razy, podczas gdy ja Waszą Wysokość conajwyżej raz jeden...

Ale jeśli waszą wysokość pozwoli mi fechtować się sobą tak samo, jak z każdym innym śmiertelnikiem, to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ja tuszowałbym waszą wysokość dziesięć razy, podczas gdy waszą wysokość mnie najwyżej raz jeden...

— Lubieński — krzyknął wielki książę na ofi-

cera, pocierając ręce, — moje rapiry, a żwawol No, zobaczymy, mój panie fanfaronie!

— Jak waszą wysokość każe mi?

— Pragnę, abyś pan mnie tuszował dziesięć razy. Panu się pewno zdaje, że idziesz na pewniaka?

— Przybyłem tu po to, wasza wysokości, aby się oddać do dyspozycji waszej wysokości. Proszę rozkazywać.

— Doskonale. Bierz pan ten napis i zaczynamy.

— Pan trwa przy swoim, wasza wysokości?

— Tak. Sto razy, ba nawet tysiąc razy!

— W takim razie jestem do usług.

— Zatem pan musisz mnie tuszować dziesięć razy, — oświadczył wielki książę, atakując mnie czy słyszysz pan? dziesięć razy, — Nie ustąpię panu ani jednego razu.

Nie bacząc na rozkaz Wielkiego Księcia, ja tylko parowałem jego ciosy, ale sam nie napadałem.

— Posłухaj pan! — zawołał Wielki Książę, zaczynając gorączkować się, — zaczynam myśleć że pan mnie oszczędzasz... Nie wolno... Nie wolno...

Twarz mu się zaczerwieniła, a oczy nabiegły krwią.

— Dobrze. Ale gdzież jest dziesięć ciosów?

— Wasza Wysokości, szacunek...

— Idź pan do djabła ze swoim szacunkiem! Tuszuj mnie pan natychmiast!

Skorzystałem z pozwolenia i raz po raz tuszałem go trzykrotnie.

— Bajecznie, — zawołał — ale pozwól pan... Otóż i ja pana tuszuję!

— Przypuszczam, że Wasza Wysokość nie oszczędza mnie wcale, a przeto muszę odpowiedzieć na cios...

— Proszę, proszę...

Tuszowałem go jeszcze cztery razy, on mnie tylko raz jeden.

— A masz! — krzyknął wesoło Wielki Książę. — Czy widziałeś? — zwrócił się do swego adjutanta. — Tuszowałem go dwa razy przeciwko siedmiu...

— Przepraszam Wasza Wysokości, dwa razy przeciwko dziesięciu, — rzekłem, znowu napadając na niego, — Otóż jest ósmy raz, dziewiąty... dziesiąty. Jesteśmy skwitowani!

— Świetnie! — krzyknął Wielki Książę, — Czy może władasz pan tak samo dobrze szablą, jak rapirem?

— Sądzę, że tak, Wasza Wysokości.

— Doskonale. Czy mógłbyś pan się bronić pieszo przeciwko jeźdźcowi, uzbrojonemu w pikę?

— Przypominam, że tak, Wasza Wysokości.

— Acha, przypuszczasz pan, ale nie jesteś pan pewien... Nieprawdaż, że nie jesteś pan pewien?

— Jeśli tak życzy sobie wasza wysokość, to — tak, jestem pewien.

— Mógłbyś się pan bronić?

— Mogę.

— Mógłbyś pan parować uderzenia piką?

— Mogę.

— Przeciwko jeźdźcy?

— Przeciwko jeźdźcy.

— Lubenski! — znowu zawołał wielki książę.

Ukazał się oficer.

— Każ podać konia. Daj mi pikę! Jedźmy!

— Ale, Wasza Wysokości...

— Pan przecież idziesz na pewniaka!

— Ja nie idę na pewniaka, Wasza Wysokości
Z każdym innym byłaby to dla mnie zwykła zabawa.

— No, a ze mną?

— Obawiam się, że... to będzie to samo...

W tejsze chwili ukazał się pod oknami oficer z koniem i piką.

— Wybornie, — rzekł Konstanty, wbiegając do ogrodu i dając mi znak, abym podążył za nim.

— Lubieński, daj mu szablę. Dobrą tylko, kawaleryjską szablę! A teraz zobaczymy, mój panie mistrzu szermierki, co będzie z panem. Obawiam się, że przedziurawię pana, jak żabę!

Przy tych słowach książę Konstanty wskoczył na konia i z wielką zręcznością jął wywijać piką, wyprawiając najtrudniejsze ćwiczenia. Równocześnie podano mi trzy czy cztery szable, proponując wybrać sobie jedną do walki.

Wybrałem pierwszą z podanych mi.

— No co, czy pan już gotów? — krzyknął wielki Książę.

— Jestem gotów, Wasza Wysokości.

Książę smagnął konia i popędził na drugi koniec alei.

— Jego Wysokość, prawdopodobnie, żartuje sobie? — zwróciłem się do adjutanta.

— Bynajmniej, monsieur, — odparł tenże, — tu chodzi o pańskie życie, albo o posadę dla pana! Broń się pan w sposób jaknajpoważniejszy, — oto wszystko, co mogę panu powiedzieć.

Sprawa przybierała poważniejszy obrót, niż myślałem dotychczas. Wypadało mi nie tylko parować ciosy, — to jeszcze byłoby dla mnie głupstwem, — ale baczyć na siebie, bo mając do czynienia z wielkim księciem, narażałem się na wielkie niebezpieczeństwo.

Trudno, nie było innej rady, — cofać się nie mogłem, to też przywołałem na pomoc cały swój spokój i — zręczność.

Wielki książę już dojechał do końca alei ogrodu. Zawróciwszy konia, krzyknął:

— No co, czy pan już gotów?

I puścił konia galopem, trzymając pikę wymierzoną wprost we mnie. Zdołałem odskoczyć na bok, tak że pika mnie nie dotknęła.

Wielki książę zawołał:

— C'est bien, c'est bien! Recommençons!
(Świetnie, świetnie, jeszcze raz!)

I nie dając mi oprzytomnieć, wykonał jeszcze raz ten sam manewr, tylko że jeszcze energiczniej, niż za pierwszym razem...

I teraz miałem się na baczności, nie upuszczając ani jednej sekundy z jego ruchów: to też znowu przebiegł koło mnie, nie zadrasnąwszy mnie piką, ponieważ w odpowiedniej chwili znowu odskoczyłem na bok!

Wielki książę aż poczerwieniał ze wzruszenia. Nagle wpadł w hazard, postanawiając za wszelką cenę zostać zwycięzcą.

Zawrócił tedy z koniem i szykował się po raz trzeci napaść na mnie i przeszyć piką. Ale tym razem po tanowiłem skończyć z żartem, który, moim zdaniem, przeciągnął się zbyt długo...

Przeto w momencie, gdy Konstany dopadł mnie i zamierzał zadać mi cios piką, ja, zamiast odskoczyć, walnąłem z całej siły szablą w drzewco piki, rozcinając je na pół. A równocześnie przypadłem do wielkiego księcia, który zeskokczył z konia i przystawiłem mu ostrze swej szabli do piersi.

Adjutant księcia aż krzyknął, sądząc, że zamierzam przeszyć wielkiego księcia. To samo, jak się zdaje, myślał i Konstany, ponieważ zbladł naraz niesłychanie.

Ale ja natychmiast odskoczyłem na bok i, składając głęboki ukłon, oświadczyłem:

— Oto czego mogę nauczyć żołnierzy Waszej

Wysokości, jeśli Wasza Wysokość pozwoli mi zostać mistrzem fechtunku!

— Oui, mille diables! Ależ owszem, pan najzupełniej na to zasługujesz! — krzyknął wielki książę. — Inaczej, nie byłym chyba sobą... Hej, Lubeński, — zwrócił się do oficera, — każ odprowadzić Pulka do stajni, a pan, panie szermierzu, pójdziesz ze mną: podpiszę pańską prośbę.

Udałem się za wielkim księciem do pałacu, gdzie Konstanty napisał na mej petycji co następuje:

„Specjalnie polecam okaziciela niniejszego jako doskonałego znawcę sztuki szermierskiej. Zdaniem mem zasługuje on najzupełniej tego stanowiska, o które się ubiega”. —

— A teraz, — rzekł mi wielki książę — musi pan to podanie doręczyć Jego Cesarskiej Mości, tylko że, jeśli zamierzasz zrobić to osobiście, to ryzykujesz pan tem, że się możesz znaleźć w więzieniu. Pomimo to radziłbym panu spróbować osobiście doręczyć tę petycję cesarzowi. Kto nie ryzykuje, ten nie wygra. Żegnam pana. Jeśli będzie pan kiedykolwiek w Warszawie — to niech pan zajdzie do mnie.

Skłoniłem się i wyszedłem uszczęśliwiony, że wszystko tak się pomyślnie skończyło. Wieczorem udałem się do hrabiego Annienkowa, by podziękować mu za dobrą radę, aczkolwiek ta jego rada mogła mnie wiele kosztować!

Opowiedziałem mu szczegółowo, ku przerażeniu Luizy, wszystko, co zaszło w Strelnie. Nazajutrz zaś, około godziny dziesiątej rano, pojechałem do Carskiego Sioła, gdzie rezydował cesarz. Zadecydowałem, że będę tak długo spacerować po pałacowym parku, aż spotkam cesarza, mimo, iż wiadomo mi było, że ryzykuję dostać się do więzienia, ponieważ każdego w

Rosji, kto, wbrew zakazowi, ośmielił się osobiście podawać carowi petycję — wsadzano natychmiast do ula.

VI.

Carskie Sioło, rezydencja cesarska, leży za ledwie o cztery czy pięć mil francuskich od Petersburga, a przecież droga tam jest zupełnie inna, niż ta, którą dzień przedtem jechałem do Strelny. Niema tu wspaniałych will i prześlicznych widoków: są tu jedynie zielone łąki oraz równiny, poobsiewane zbożem, niezbyt dawno jeszcze zdobyte na olbrzymich pa-prociach które tu rosną chyba od stworzenia świata.

Po godzinie jazdy, przejechawszy kolonję niemiecką, dostałem się na rząd pagórków, skąd rozpościerał się widok na park Carskiego Sioła oraz pięć połączanych bań t. z. „kupołów”, na szczytach cerkwi pałacowej.

Pałac w Carskiem Siole, leży na tem samem miejscu, gdzie ongiś znajdowała się chata, należąca do starej Holandki, imieniem Sara, do której car Piotr Pierwszy lubił zajeżdżać na mleko. Gdy Holandka zmarła, car Piotr, któremu to miejsce spodobało się bardzo wskutek pięknego widoku, rzucającego się stąd w oczy — podarował je Katarzynie, by tam postawiła sobie farmę.

Katarzyna wezwała architekta i wyłożyła mu dokładnie swoje życzenie. Architekt postąpił tak, jak to robią wogóle wszyscy architekci: wybudował coś zupełnie innego, niż to czego odeń żądano, to jest wybudował nie farmę, lecz pałac...

Rezydencja ta wszakże, mimo, iż bardzo daleką była od wszelkiej prostoty — wydała się później Elżbiecie nazbyt skromną i nieodpowiadającą potęgze imperatorowej rosyjskiej. Rozkazała przeto zburzyć pa-

łac i poleciła znakomitemu Rastriolemu wybudować tu nowy wspaniały pałac.

Znakomity architekt postanowił przewyższyć swem dziełem świetność pałacu Wersalskiego. Wierząc, że Wersal jest wewnątrz ozdobiony wszędzie wyłącznie złotem wyłocił również tu wszystko, co się dało: karjatydy, gzemsy, kolumny, prawie że dachy.

Kiedy wspaniały pałac został wykończony, Elżbieta zaprosiła tu swój cały dwór oraz wszystkich cudzoziemskich posłów, na uroczysty obchód poświęcenia pałacu. Ujrawszy tak wspaniały gmach oraz świetne tegoż wykończenie, wszyscy prócz posła Francji, pana Chetardie jednogłośnie jęli wychwalać i wysławiać pałac, mówiąc, że słusznie powinien być nazwany ósmym cudem świata...

Dotknięta tem, że pan Chetardie nie wtóruje ogólnemu chórowi głosów pochwalnych, a chodzi z zamysłonym wyrazem i tylko ogląda wszystko, jakgdyby szukał czegoś — imperatorowa spytała:

— Pan jakgdyby czegoś szukasz, panie pośle?

— Całkiem słusznie, Wasza Cesarska Mości, — odparł poseł Francji, — szukam futerały do tej kosztownej zabawki.

Były to czasy, kiedy można było stać się znakomitością, ba, nieomal unieśmiertelnić się jakimś czterowierszem lub zręcznym żartem. Nic dziwnego więc, że dzięki tej dowcipnej odpowiedzi, danej imperatorowej Elżbiecie, pan Chetardie stał się wielce popularnym w Petersburgu.

Niestety, architekt wybudował ów nowy pałac na porę letnią, zupełnie zapominając o zimie. To też już przy najbliższej wiośnie wypadło go przerobić, przyczem mocno uclerpiało pozłocenie gmachu. Następnie — jeszcze podczas panowania Elżbiety, — pałac ów uległ jeszcze kilkakrotnym przeróbkom i caryca

ta postanowiła zastąpić pozłotą farbą. Co zaś do dachów, to, według zwyczaju mieszkańców Petersburga, dachy pomalowano na kolor jasno-zielony.

Kiedy gruchnęła wieść, że z pałacu zdejmuje się pozłotę, któryś z dworzan zaproponował carycy Katarzynie skupienie tej całej pozłoty.

— Niestety, nie handluję starzyzną, — odparła imperatorowa.

Przy wszystkich swoich zwycięstwach, miłosnych awanturach i ciągłych podróżach, Katarzyna nie przestawała troszczyć się o swoją kochaną rezydencję. Kiedy wyrósł jej starszy wnuk Aleksander, wystawiła w pewnej odległości od pałacu w Carskiem Siole inny pałac, polecając architektowi Bushowi wykończyć go.

Bush pourządał tu ogrody, ale nie pomyślał o wodzie dla pałacu, widocznie przekonany, że ten, kto wie się Katarzyną Wielką nie potrzebuje pić wody.

Następca Busha, Bauer, pragnąc usunąć ten brak, dowiedział się, że sąsiad pałacowy, Demidow posiada nadmiar tego, co brakło jego rozkazodawcy. Bauer wyjaśnił mu, czego potrzebuje nowowybudowany pałac, i Demidow dał zezwolenie na przeprowadzenie do pałacu wody ze swego źródła.

To dało powód Katarzynie do wyrażenia się.

— Wolno mi kłócić się z całą Europą, tylko nie z panem Demidowem!

W istocie, ów Demidow mógłby cały pałac pozbawić kropli wody—gdyby zechciał...

Cesarz Aleksander wychował się w Carskiem Siole i odziedziczył po swej babce przywiązanie do tegoż. Wszystkie jego wspomnienia dzieciństwa,—tego złotego wieku w życiu każdego człowieka — związane były z pałacem carskosielskim: tutaj na trawce uczył się stawiać pierwsze kroki, w alejach jego parku brał pierwsze lekcje jazdy konnej, w jego stawach uczył

się sterować łodzią. Oto, czemu spędzał tu zazwyczaj cały czas, począwszy od pierwszych ciepłych wiosennych dni, aż do nastania zimy.

To też właśnie tu, do Carskiego Sioła przybyłem, zdecydowany za wszelką cenę ujrzeć osobiście cara.

Zjadłszy naprędce śniadanie w dość lichej francuskiej restauracyjce, udałem się do parku, w którym pozwalano wszystkim spacerować. Ponieważ zbliżała się jesień, park był zupełnie pusty, albo, być może, publiczność nie zawitała w tym dniu do parku, by nie niepokoić monarchy.

Wiedziałem, że car lubi spacerować tu po pustych alejach. Puściłem się na chybił trafił na włoczęgę po parku, w nadziei, że przecież ostatecznie zetknę się jakoś z cesarzem. A na razie postanowiłem zapoznać się z osobliwościami ślicznego parku.

Przedewszystkiem obejrzałem wieś chińską, składającą się z piętnastu domków chińskich, z których każdy miał swoją lodownię i swój ogródek w którym mieszkali adjutanci carscy. Pośrodku wsi położonej w kształcie gwiazdy, znajdował się pawilon na bale i koncerty. W czterech jego rogach stały cztery posągi mandarynów chińskich, wielkości naturalnej, z fajeczkami w ustach.

Pewnego dnia, caryca Katarzyna obchodząc pięćdziesiątą rocznicę swych urodzin, — udała się na spacer z kilkoma ze swych dworzan, do tej wsi chińskiej. Naraz, wszedłszy do tego pawilonu, ujrzała ku najwyższemu swemu zdumieniu, że z fajek stojących w rogach chińczyków wali tęgi dym. Niedość tego, chińczycy na powitanie cesarzowej poczęli uprzejmie kiwać głowami i zerkać na nią.

Katarzyna podeszła bliżej, aby przyjrzeć się temu cudowi, a wtedy chińczycy zeszli ze swych piedesta-

łów i padli przed nią na twarze, zgodnie z ceremonjałem chińskim, poczem jęli deklamować poezje. Ci czterej mandaryni byli to: książę de Ligne, hrabia de Ségur, hrabia de Cobentzel oraz książę Potemkin.

Z tego miejsca udałem się na obejrzenie lam, zwierząt podobnych do wielbłądów, zamieszkałych w Kordyljerach a przysłanych tu przez wice-króla Meksyku w prezencie cesarzowi Aleksandrowi. Z dziewięciu egzemplarzy, pięć nie zniosło klimatu północy i przeniosło się na tamten świat, cztery zaś pozostałe przy życiu, wydały liczne potomstwo, które prawdopodobnie dobrze się tu zaaklimatyzowało.

O kilka stąd kroków, w ogrodzie w stylu francuskim, zbudowany został nieduży pałacyk z jadalnią, w której znajduje się sławny stół olimpijski. Stół ten był urządzony w ten sposób, że za pomocą maszyny opada na dół, poczem wynosi z kuchni, położonej na dole wszystko, czego kto pragnie.

Dość jest gościowi wypisać na kartce potrawy, których pragnie, a po kilku minutach, niby pod działaniem czarów, ukazywały się przed nim. Można tam było dostać wszystkiego. Raz, jedna młoda pani, chcąc doprowadzić do ładu swą toaletę, będącą nieco w nieładzie po tête a tête, zażądała szpilek do włosów, będąc pewna, że nie otrzyma ich: ku wielkiemu zdumieniu swemu, po kilku minutach otrzymała z dołu tuzin złotych szpilek.

Idąc dalej spacerem, natknąłem się na piramidę, pod którą spoczywają snem wiecznym trzy jamniki carycy Katarzyny. Dla jednego z nich epitafium, wyrzeźbione w kamieniu mogilnym, ułożył sam de Ségur, dla drugiej suczki, — ułożyła je sama Katarzyna w dwuwierszu, który brzmi:

„Ci-git la duchesse Anderson,
Qui mordit monsieur Rogertson”.

(„Tu spoczywa księżniczka Anderson, ukąszona przez pana Rogertsona”).

Co się tyczy trzeciej jamniczki, to zyskała ona sobie bardzo szeroką popularność, aczkolwiek nikt nigdy nie ułożył dla niej żadnego epitafium.

Jamniczka ta nazywała się Suderland, od nazwiska bankiera, Anglika, który podarował ją Katarzynie i której śmierć przyczyniła mu o wiele więcej przykrości, niż jakiegokolwiek niefortunne operacje finansowe.

Pewnego dnia, tego właśnie Suderlanda, znanego dobrze cesarzowej, a który cieszył się też jej łaskawością, dzięki pieskowi, którego jej podarował, — wcześniej rano zbudziła jego służba.

— Sir, pański dom jest otoczony strażą, a policmajster pragnie z panem pomówić!

— Czego mu trzeba? — spytał bankier, zrywając się z łóżka, przerażony już samem ukazaniem się policji.

— Nie wiem, sir, ale jak się zdaje, ma on coś bardzo ważnego do pana, ponieważ mi powiedział, że może to tylko panu osobiście powiedzieć.

— Proszę go tu poprosić, — oświadczył Suderland, naprędce wkładając szlafrok.

Służący wyszedł, a po kilku minutach wpuścił do gabinetu Rylejewa, policmajstra petersburskiego, którego już sam wygląd dał do zrozumienia panu bankierowi, że policmajster przybył do niego w jakiejś bardzo ważnej sprawie.

Pan bankier nader uprzejmie przyjął policmajstra, podsunął mu fotel, prosząc by usiadł, ale Rylejew zrobił odmowny gest głową i rzekł:

— Panie Suderland! Proszę mi wierzyć, że mimo, iż jest to wielki honor dla mnie, że Jej Cesarska Mość poleciła mi wykonać Jej polecenie, jestem nie-

zmiernie wstrząśnięty tem poleceniem, którego okrucieństwo przywaliło mię poprostu! — Pan prawdopodobnie, popełniłeś jakąś okropną zbrodnię?

— Ja, zbrodnię?! — krzyknął bankier, — ja przestępstwo?!

— Oczywiście pan, skoro musi się pan poddać tej okrutnej karze.

— Kień się panu na honor, że żadnej zbrodni nie popełniłem. Przyjąłem poddaństwo rosyjskie, ale żadnego wykroczenia przeciwko prawom Jej Cesarskiej Mości...

— Właśnie dlatego, że jesteś pan teraz poddanym rosyjskim, tak okrutnie mają się z panem rozprawić! Gdybyś pan był nadal poddanym brytańskim, to mógłbyś pan zwrócić się do ambasadora Brytanji...

— Ale pozwól-że, Wasza Ekselencjo, bo nie wiem, jaki rozkaz wydany został panu co do mojej osoby?

— Nie mam poprostu odwagi panu powiedzieć!

— Zatem straciłem względy Jej Cerskiej Mości?..

— Och, gdybyż tylko to!

— Cóż więc, czy zostaję z powrotem wysłany do Anglji, czy tak?

— Nie. Anglja jest pańską byłą ojczyzną, i wysłanie tam pana nie byłoby dla niego wcale karą.

— O, Boże, pan mnie przeraża! Więc może będę deportowany na Sybir?

— Nie, Syberja jest bardzo ciekawym i pięknym krajem, niepotrzebnie spotwarzonym. Mógłbyś pan, zresztą, zawsze stamtąd powrócić...

— Powiedz-że mi pan, nareszcie, o co chodził Wsadzają mnie do więzienia?

— Nie; z więzienia też się wychodzi.

— Na Boga, — krzyknął bankier, — czyżbym został skazany na karę knuta?

— Knut jest to wprawdzie okropna kara, lecz nie zabija...

— O, Boże, — załamał ręce Suderland, — jestem zatem skazany na śmierć!

— Niestety, i to jeszcze na jaką śmierć! — zawołał policmajster, wznosząc oczy ku niebu z wyrazem najwyższego współczucia na twarzy.

— Ha, trudno, — jęknął bankier oszalały, chwytając się za głowę, — chcę mnie stracić bez sądu i dochodzeń... Mów pan, mów, jestem mężczyzną i starczy mi odporności! Mów pan, co panu polecono uczynić ze mną?

— Drogi panie Suderland, Jej Cesarska Mość rozkazała mi... tak, gdyby nie ona mi wydała to polecenie osobiście, nigdybym nie uwierzył...

— Do diabła! mów pan, pan mnie straszliwie męczysz! Co kazała panu Jej Cesarska Mość?

— Rozkazała wypatroszyć pana i wypchać!

— Wypp...!!

Bankier wydał ze siebie krzyk rozpaczny.

— Ekselencjo... pa... paneś... zmysły... po... postradał?

— Nie, ale postradam!

— Jakże to pan, któ... którego uważałem za swego przyjaciela, któremu wyświadczyłem tyle przysług... jakże pan mogłeś przyjąć to... polecenie? Czemu nie próbowałeś pan... wytłumaczyć Jej Cesarskiej Mości... ca... całego okrucieństwa?!

— Zrobiłem wszystko co mogłem, i nawet dodam, że nikt na moim miejscu nie odważyłby się tak mówić, jak ja. Błagałem cesarzową, aby wyrzekła się swej myśli, albo przynajmniej wyznaczyła kogo innego do wykonania jej!

Błagałem ze łzami w oczach, ale Jej Cesarska

Mość oświadczyła mi tonem... pan wiesz, tonem, który nie dopuszcza żadnej opozycji:

„Masz się pan udać natychmiast i wykonać to, co panu kazałam”.

— No i cóż?

— Udałem się do naturalisty, który wypycha skóry zwierząt i ptaków dla Akademji Nauk. Skoro już masz pan być wypchany, niech-że to wykona najlepszy majster.

— I cóż, zgodził się to zrobić?

— Nie, odesłał mnie do naturalisty, który wypycha małpy, ponieważ człowiek jest najwięcej do małp podobny.

— No i co?

— Czeka na pana.

— Jakto czeka! Żebym ja...

— Tak, żebyś pan natychmiast przybył. Według rozkazu Jej Cesarskiej Mości należy to bezzwłocznie wykonać.

— Nawet bez dania mi czasu na doprowadzenie do porządku swych spraw osobistych? Nie, to niemożliwe!

— Cóż robić, taki rozkaz!

— Więc niechże mi pan pozwoli przynajmniej napisać do Jej Cesarskiej Mości ze dwa słowa.

— Nie wiem, czy mam prawo.

— Posłuchaj pan, przecież to jest moja ostatnia prośba, a tego nie odmawia się nawet najbardziej zakamieniałym przestępcom. Błagam pana o to!

— Lecz przecież ja ryzykuję utratą stanowiska!

— A ja życiem!

— Zgoda. W takim razie pisz pan. Ale uprzedzam pana, że nie mogę pana ani na chwilę zostawić samego.

— Trudna rada. Poproś pan tedy, aby ktokol-

wiek z pańskich oficerów doręczył mój list Jej Cesar-
skiej Mości.

Policmajster zawezwał jednego ze swych ofice-
rów, polecił mu odwieść list do pałacu i wracać na-
tychmiast, gdy tylko doręczona zostanie odpowiedź.
W jaką godzinę powrócił oficer z rozkazem cesa-
rzowej natychmiastowego przyprowadzenia do pałacu
Suderlanda.

Oczywiście, Suderland tylko tego sobie życzył.

Powóz już czekał nań koło tarasu jego domu.
Nieszczęsny bankier wszedł do powozu, a po kilku mi-
nutach znalazł się w Ermitażu, gdzie oczekiwała go
Katarzyna. Ujrawszy go, caryca wybuchnęła głośnym
śmiechem.

Suderland doszedł do wniosku, że caryca zwar-
jowała. Pomimo to padł przed nią na kolana i, cału-
jąc wyciągniętą ku niemu rękę, wyszeptał:

— Wasza Cesarska Mości! błagam o litość, a
przynajmniej proszę o wytłomaczenie mi, czem zasłu-
żyłem na taką okrutną karę?

— Mój drogi Suderlandzie, — odparła Katarzy-
na, nie przestając się śmiać, — przecież tu zupełnie
nie o pana chodzi.

— O kogóż więc?

— O jamniczke, którą mi pan podarowałeś.
Właśnie wczoraj zdechła. Lubiłam ją bardzo, to też
postanowiłam ją wypchać. Zawołałam tego durnia Ry-
lejewa i kazałam mu wypchać skórę po Suderlandzie.
Ten począł wykręcać się, coś mówić i prosić, tedy
doszłam do wniosku, że on wstydzi się takiego pole-
cenia, rozgniewałam się ra niego i oświadczyłam mu,
żeby natychmiast spełnił mój rozkaz.

— Wasza Cesarska Mość — odezwał się ban-
kier, z wielką ulgą, — może być dumną ze spręży-
stości wykonawczej swej policji, ale błagam ją, aby

jeśli drugim razem będzie coś polecała wykonywać poleceniu — lepiej tłumaczyła jej swe rozkazy...

Bankier Suderland wywinął się strachem, ale nie wszyscy tak szczęśliwie unikali w Petersburgu przykrości, dzięki niezwyklej ścisłości, z którą tu natychmiast wykonywano wszelkie rozkazy. Jako dowód może służyć choćby następujący wypadek.

Do hrabiego de Segur, posła Francji przy dworze Katarzyny, przybył raz pewnego jakiś francuz, zapłakany, w porwanem ubraniu, wyglądający okropnie.

— Ekscelencjo, — zakał nieszczęsny, — broń mnie!

— Od kogo? — zapytał hrabia.

— Od gubernatora. Kazał mi dać sto różeg!

— Sto różeg, — zawołał zdumiony poseł, — za co? Coż pan zrobił takiego?

— Absolutnie nic!

— To niemożliwe...

— Przysięgam na honor, panie pośle!

— Czy panes aby przy zdrowych zmysłach, mój przyjacielu?

— Najzupełniej, Ekscelencjo.

— W takim razie, o co chodzi? Przecież gubernatora wszyscy chwala za jego łagodność i sprawiedliwość!

— Racz mi wybaczyć, panie pośle, i pozwól mi pokazać mu przedtem ślady zadanych mi uderzeń.

Przy tych słowach nieszczęsny francuz zdjął górną odzież i pokazał hrabiemu de Segur pokrzwioną koszulę i wyraźne ślady bicia.

— Opowiedzże mi pan, jak się to wszystko stało, — oświadczył poseł.

— Ekscelencjo, sprawa jest bardzo prosta. Dowiedziałem się, że hrabia Brjus poszukuje francuskiego kucharza. Jestem właśnie bez zajęcia, a przeto

udałem się do niego, by mu zaoferować swe usługi.

Służący otwiera mi drzwi do gabinetu i mówi:

— Ekscelencjo, przyszedł kucharz.

— Ach, tak... — mówi Brjus, — w takim razie zaprowadzić go do stajni i wyspać mu sto różeg.

— I oto, Ekscelencjo, wnet mnie porwano, zawleczono do stajen i, pomimo mych krzyków, gróźb i oporu, wyspano mi sto różeg, ani o jedną więcej czy mniej.

— Jeśli to prawda, co pan mówi, to jest to hańba!

— Jeśli to nie jest prawda, Ekscelencjo, co mówię, to gotów jestem otrzymać dwa razy tyle różeg!

— Posłuchaj mnie, przyjacielu, — rzekł de Segur, — widzę, że pan rzeczywiście mówisz prawdę. Zbadam tę sprawę i, jeśli przekonam się, że pan mnie nie okłamałeś, to przyrzekam panu, że otrzymasz pan zupełną satysfakcję. Ale, jeśli stwierdzę, że choćby jednym słowem zełgałeś pan, to każę pana wysłać zagranicę. Wyjedziesz pan, bez żadnej opozycji do Francji!

— Zgadzam się, Ekscelencjo.

— W takim razie, — rzekł de Segur, siadając do biurka, — zanieś pan ten list gubernatorowi Brjusowi.

— Dziękuję serdecznie Waszej Ekscelencji, ale ja nawet nosa nie pokażę więcej w tym domu, gdzie tak strasznie obchodzą się z ludźmi, którzy przybywają tam za jakimś interesem.

— Dobrze. Udasz się tedy pan tam w towarzystwie jednego z moich sekretarzy.

— A, to co innego; w towarzystwie sekretarza Ekscelencji gotów jestem iść nawet do piekła!

— Doskonale. W takim razie ruszajcie już, — rzekł de Segur, wręczając list nieszczęśnikowi i roz-

kazując jednemu ze swych urzędników towarzyszyć mu do pałacu Brjusa.

W godzinę, lub mniej więcej w godzinę, powraca francuz do posła z twarzą rozpromienioną.

— No i cóż? — pyta de Segur.

— Wszystko wyjaśniło się, Ekscelencjo.

— Jak widzę, jest pan zadowolony.

— Najzupełniej, Ekscelencjo!

— Opowiedz-że pan, jak się wszystko odbyło.

— Widzi Ekscelencjo... u ekscelencji hrabiego Brjusa kucharzem był jego chłop pańszczyźniany, któremu Brjus ufał zupełnie. I oto cztery dni temu człowiek ten uciekł z domu, zabierając ze sobą pięćset rubli.

— No, i cóż dalej?

— Dowiedziawszy się, że miejsce kucharza u gubernatora jest wolne, — jak to już miałem zaszczyt powiedzieć Ekscelencji — udałem się do pałacu Brjusa.

Na nieszczęście, tego samego rana powiadomiono hrabiego, że kucharz został aresztowany w miejscowości o dwadzieścia pięć wiorst oddalonej od Petersburga.

Gdy lokaj zakomunikował mu: „Ekscelencjo, kucharz znalazł się”, to gubernator pomyślał sobie, że przyprowadzono złapanego uciekiniera, a ponieważ był w owej chwili czemś wielce zajęty, tedy, nie obracając się nawet, rozkazał zaprowadzić go do stajni i wlepić mu sto różeg.

— No i cóż? Czy gubernator przeprosił pana za to?

— Więcej, niż przeprosił, panie pośle! — odparł kucharz, pokazując sakiewkę, pełną złota, — kazał zapłacić mi po złotym dukacie za każde uderzenie różgą, tak, iż bardzo żałuję, że dano mi tylko sto różeg, nie dwieście... Pozatem dał mi u siebie zajęcie

i przyrzekł mi, że kara jaką otrzymałem, będzie mi zaliczoną na przyszłość, czyli, że jeśli popełnię coś niestosownego, to będę wolny od wszelkiej odpowiedzialności.

W tym momencie hrabiemu de Segúr podano list od Brjusa, w którym tenże zaprasza hrabiego na obiad nazajutrz, by móc wypróbować nowego kucharza...

Kucharz ten przesłużył u Brjusa dziesięć lat, poczem wrócił do Francji jako człowiek zamożny, błogosławiąc przez całe życie owe nieszczęsne różgi, którym zawdzięczał swą pomyślność.

Wszystkie te anegdoty i przygody, dotkliwe dla skóry ludzkiej, które sobie przypominałem, nie wydawały mi się więcej niemożliwemi po tem, co zaszło dzień przedtem ze mną u Wielkiego Księcia Konstantego. Ja wszakże tak wiele słyszałem o cesarzu Aleksandrze, że postanowiłem za wszelką cenę spotkać go w parku, chociażby niewiem jak miało się skończyć dla mnie to spotkanie.

Obejrzałem wysoką kolumnę, postawioną tu dla uczczenia zwycięstwa przy Czesmie, poczem wałęsałem się jeszcze ze cztery godziny po parku i już, już począłem tracić nadzieję, czy ujrzę cara, gdy w jednej z alei zetknąłem się z jakimś oficerem, ubranym w prosty surdut.

Oficer ten skłonił mi się i poszedł dalej. Poza mną o tym czasie jakiś młody chłopak zamiatał dróżkę. Zapytałem go, kto jest ten oficer?

— To cesarz — odparł.

Puściłem się w boczną aleję, licząc, że zabiegnę mu drogi, wychodząc na tę aleję, którą powinien był iść. I rzeczywiście, nie zrobiłem nawet dwudziestu kroków na tej alei, gdy znów go dojrzałem

Zatrzymałem się i zdjąłem kapelusz.

Cesarz zwolnił kroku, poczem, widząc, że wciąż stoję nieruchomo na jednym miejscu, zbliżył się ku mnie.

Oczekiwałem go z odkrytą głową, podczas gdy cesarz zbliżał się ku mnie, kulejąc nieco z powodu rany, otrzymanej kiedyś.

Przyjrzałem mu się teraz doskonale i zauważyłem tę różnicę, która zaszła w nim od dnia, gdy dzie więć lat temu widziałem go w Paryżu.

Twarz cesarza, ongiś wesoła, otwarta, nosiła teraz wyraźne ślady chorobliwości i smutku. Znać było, że—jak to wszędzie mówiono — cierpi on na melancholję. Ale wraz z tem rysy jego twarzy zachowały w sobie jeszcze tyle dobroci, że w momencie, gdy miał właśnie przejść koło mnie, zdecydowałem się zrobić krok naprzód.

— Wasza Cesarska Mości... — rzekłem.

— Czego pan sobie życzy?

— Niech Wasza Cesarska Mość pozwoli mi podać sobie tę petycję.

Wyjąłem z kieszeni papier. Zasepiła się twarz cesarza.

Czy wiadomo panu, monsieur, — zwrócił się do mnie, że umyślnie wyjeżdżam z Petersburga, by wyzwolić się od wszelkich petycji?

— Wiem, Wasza Cesarska Mości, — odparłem, — i nie zaprzeczam zuchwalstwa mego kroku. Ale może dla tej petycji mojej, Wasza Cesarska Mość uczyni wyjątek, ponieważ zawiera ona wstawiennictwo bardzo ważnej osoby.

— Ktoż to jest taki? — spytał Aleksander

— Najmiłościwszy brat Waszej Cesarskiej Mości, jego cesarska wysokość, wielki książę Konstanty!

— Acha, — rzekł tylko cesarz i wyciągnął ku mnie rękę, ale wnet się powstrzymał.

— Nie, panie, — rzekł stanowczo cesarz, — nie przyjmę tego pańskiego listu, ponieważ gdybym to zrobił, jutro podadzą mi tyle próśb, że będę zmuszony uciekać stąd. Ale, — ciągnął dalej, — radzę panu wrzucić to pańskie podanie natychmiast tu w wieście do skrzynki pocztowej. Dziś jeszcze je otrzymam, a pojutrze dostanie pan moją odpowiedź.

Zastosowałem się do rady cesarza i posłałem mu petycję pocztą. W trzy dni potem, jak mi przyrzekł, otrzymałem odpowiedź.

Była to nominacja na godność mistrza szermierki oraz przyjęcie mnie na służbę w armji ze stopniem kapitana.

VII.

Poczawszy od chwili, gdy sytuacja moja stała się wyraźną, postanowiłem opuścić hotel Londyński i wynająć sobie mieszkanie. Zacząłem tedy biegać po mieście w poszukiwaniu mieszkania i oto teraz dopiero począłem naprawdę poznawać Petersburg i jego mieszkańców.

Hrabia Aleksy Annienkow dotrzymał swego przyrzeczenia. Dzięki niemu, rzecz można, że zaraz po przyjeździe otrzymałem cały szereg uczniów, których bez jego rekomendacji — nie mógłbym otrzymać nawet w ciągu roku.

Uczniami tymi byli: kuzyn cesarza, Naryszkin, hrabia Paweł Bobriński, nielegalny syn Katarzyny i Potemkina, książę Trubeckoj, komendant pułku Preobrażeńskiego, pan de Gorgoli, komendant miasta i szef policji petersburkiej oraz kilku innych przedstawicieli najlepszych rodzin Petersburga, a pozatem dwaj czy trzej oficerowie Polacy, służący w armji rosyjskiej.

Najpierwsze, co mnie najbardziej uderzyło w życiu wielkich panów rosyjskich — to ich gościnność, cnota, która jak wiadomo, tak rzadko chodzi w parze z cywilizacją. Cesarz Aleksander, idąc za przykładem Ludwika XIV-go, który przyjął był do grona szlachty dziedzicznej sześciu największych mistrzów szermierki w Paryżu — nie uważał sztuki fechtunku za rzemiosło, a przeto dał mnie i innym moim towarzyszom, do fachu mniej lub więcej wysokie stanowisko w armji.

W żadnym innym kraju nie doznałem takiego arystokratycznego i rzekłbym — naturalnego, serdecznego stosunku do siebie, jak tu, w Petersburgu, i tego respektu, który nie poniża tego, kto go świadczy, a jednocześnie podnosi tego, komu jest świadczony.

Ten wspaniały zwyczaj rosyjski tymbardziej zachwyca cudzoziemca, że liczne rodziny nieraz służą mu jaknajserdeczniejszą gościnnością, zapraszając to na imieniny, to na święta, których w Rosji jest wogóle bardzo dużo. W ten sposób, jeśli kto posiada mniej lub więcej szerokie koło znajomości, ten zawsze może jadać obiady po dwa razy dziennie i tyleż razy wieczorem bywać na balach...

W Rosji jest jeszcze inny bardzo przyjemny zwyczaj: ludzie lubią tu robić znajomych profesorów czy nauczycieli niemal członkami swych rodzin! Jakiś, dajmy na to nauczyciel, mniejsza o to — czego, w kole domowym bardzo prędko staje się czemś w rodzaju przyjaciela, czy krewnego, i tę rolę może zachowywać dopóty, dopóki sam tylko zechce.

Na taki właśnie stosunek do siebie natrafiłem w rodzinach niektórych moich uczniów, a zwłaszcza w rodzinie komendanta miasta Petersburga, generała Gorgoli, jednego z najzacniejszych i najlepszych ludzi, jakich wogóle widziałem w życiu.

Greki z pochodzenia, wysoce przystojny mężczyzna, dużego wzrostu, pięknie zbudowany, bardzo zgrabny — obok hrabiego Aleksego Orłowa i hrabiego Bobrińskiego godnie reprezentował najładniejszy typ prawdziwego rosyjskiego pana — t. zw. barina.

Nadzwyczaj zdolny do wszelkich sportów, począwszy od jazdy konno, a kończąc na grze w piłkę, bardzo silny szermierz, szlachetny niby starodawny bojaryn, stał się poprostu błogosławieństwem nie tylko dla cudzoziemców ale i dla swych rodaków, którzy mieli doń dostęp o każdej porze dnia i nocy.

W takim mieście, jak Petersburg, to jest w tej monarchicznej Wenecji, gdzie niema wcale echa ulicznego, gdzie Mojka oraz kanał cesarzowej Katarzyny, jak Giudecca i d'Orfano. W Wenecji, pochłaniają swe ofiary bez żadnego hałasu, gdzie stróże uliczni, dyżurujący przy swych budkach na wszystkich skrzyżowaniach się ulic, więcej obaw niż nadziei obrony wzbudzają u obywateli — taki generał Gorgoli stał się ulubieńcem ogółu.

Widząc go bezustanku jeżdżącym w lekkiej kolasce, zaprzężonej do pary szybkich, jak gazyli, koni, zmienianych po czterykroć w dzień — wszyscy obywatele Petersburga czują, że to Opatrzność posłała im oko czuwające i chroniące ich od wszystkich nieszczęść. W ciągu dwunastu lat, swej komendantury i dbałości o bezpieczeństwo mieszkańców — Gorgoli nie opuścił Petersburga ani na jeden dzień.

To też, powiedziałbym, że niema chyba takiego drugiego miasta, jak Petersburg, w którym moglibyście się państwo czuć tak bezpiecznie w nocy, jak w Sankt-Petersburgu. Policja strzeże zarówno tych, którzy siedzą w więzieniach, jak i tych, którzy spacerują na wolności. W różnych częściach miasta wznoszą się drewniane wieże, znacznie wyższe niż zwykle

domy, przeważnie dwu-trzy piętrowe. W tych wieżach dyżuruje zazwyczaj dwóch lub trzech ludzi i w dzień i w nocy... Gdy tylko zauważą gdzieś lunę, dym czy ogień pożaru—wnet biją we dzwon, znajdujący się na dziedzińcu straży pożarnej. A podczas, gdy strażacy zaprzęgają koni do beczek, — ci dyżurujący strażnicy wskazują im dzielnicę miasta, w której wybuchł pożar.

Natychmiast na to miejsce pędzi konno jeden ze strażaków. Czas, niezbędny strażakom na dojechanie do określonego miejsca, jest już zawczasu obliczony, tak że ci ostatni przybywają na miejsce punktualnie co do minuty. Jest to zupełnie inaczej niż we Francji, tam z palącego się domu biegną ludzie budzić strażaków, podczas gdy tu przeciwnie, strażacy budzą tych, którzy się palą, wołając: wstawajcie, wstawajcie, wasz dom w ogniu! Również jeśli chodzi o kradzieże z włamaniem, to tego również prawie nie ma się co obawiać w Petersburgu. Jeśli złodziej, albo używając raczej wyrażenia, które ściślej charakteryzuje odcień nadawany temu rodzajowi sięgania po cudzą własność — grabieżca, jest Rosjaninem, to nigdy nie poważy się wyłamać drzwi lub zamka. Możecie śmiało pierwszemu lepszemu chłopu zostawić na opiece całe mieszkanie, byleby tylko było zamknięte na klucz, albo list, do którego włożycie, dajmy na to, dziesięć tysięcy rubli — a nic wam nie przepadnie, natomiast nie pozostawiajcie mu kilku groszy, te zabierze z całą pewnością!

Dotyczy to tych obywateli, którzy siedzą w swych domach, w swych mieszkaniach. Co się zaś tyczy tych, którzy przebywają na ulicy, to jeśli już mają się kogo lękać, to chyba tych strażników przy budkach, postawionych dla ich obrony. Ci strażnicy budkowi są tak tchórzliwi — że jeden człowiek z pistoletem lub nawet z kijem w ręce, może przepędzić

dziesięciu takich obrońców... Dlatego też napadają oni zazwyczaj na jakie opóźnione dziewczęta publiczne, które nie wiele tracą, jeśli je kto ograbi i dla których zgwałcenie nie stanowi też wielkiej przykrości... Jednakowoż i ci strażnicy budkowi mają swoje zalety. Pomimo bowiem oświetlenia ulic — w nocy w Petersburgu jest tak ciemno, że konie niemal na każdym kroku wpadają na jakieś przeszkody. I tu właśnie zjawia się taki pan strażnik budkowy i wczas uprzedza o niebezpieczeństwie. Oczy mają ci strażnicy tak dobre, bystre, że nawet podczas najgęstszego mroku rozróżniają zbliżający się po cichu wóz czy sanki i sygnałem dają znać, dokąd jechać.

Począwszy od listopada aż do marca, służba tych nieszczęsnych strażników budkowych, którym — jak mi mówiono — płacą nie więcej nad dwadzieścia pięć rubli rocznie — jest niezmiernie ciężka. Pomimo ciepłego ubrania, a nawet kożucha, straszne petersburskie mrozy dają im się po nocach wielce we znaki. Przechadzanie się ciągle męczy ich niesłychanie; opada ich taka senność, że nieraz zasypiają, stojąc. Jeśli przechodzący oficer zauważy gdzie takiego śpiącego strażnika, to bez niczego wali go tem, co ma pod ręką, by rozbudzić w nim żywszy pęd krwi... Zeszłej zimy, jak mi mówiono, panowały w Petersburgu tak straszne mrozy, że kilku strażników zmarło w budkach!

Po kilku dniach poszukiwania, znalazłem wreszcie odpowiednie mieszkanie na Kanale Katarzyny, to jest w centrum miasta. Pokój był umeblowany, i musiałem tylko wstawić od siebie łóżko z materacem oraz otomanę, ponieważ tę część umeblowania posiadają tu tylko ludzie bogaci i dostojnicy. Chłopi śpią na piecach, a kupcy w specjalnych krzesłach i fotelach...

Zachwycony tem, że mam nareszcie własny

pokój, udałem się do Admiralicji, ale po drodze przyszła mi myśl, że nieźle byłoby wykąpać się w łaźni rosyjskiej. Wiele słyszałem we Francji o łaźniach, t. zw. „baniach”, więc też teraz, przechodząc koło jednej z nich, postanowiłem skorzystać z okazji i wykąpać się.

Zapłaciwszy dwa i pół rubla, to jest 50 sous na francuskie pieniądze, otrzymałem bilecik, z którym wszedłem do pokoju, gdzie się ludzie rozbierają. Temperatura tu była zwykła.

Podczas gdy rozbierałem się, podszedł do mnie chłopak i zapytał mnie, czy wziąłem ze sobą służącego, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, znowu spytał: kogo pragnę wziąć z sobą do łaźni, chłopca, mężczyznę czy kobietę?

Samo przez się rozumie się, że pytanie tego rodzaju wprawiło mnie w wielkie zdumienie. Ale chłopiec ów wytłomaczył mi wnet, że przy łaźni są do dyspozycji gości chłopcy łaźnienni i mężczyźni. Co się zaś tyczy bab, to mieszkają one w pobliżu, w sąsiednim domu, i że zawsze je można zawezwać.

Kiedy taki „łaźniennik” lub „łaźniennica” są już wezwani, to rozbierają się do naga, podobnie jak gość i wraz z nim udają się do sąsiedniego pokoju, w którym temperatura równa jest temperaturze krwi ludzkiej. Wszedłszy tam — osłupiałem: wydało mi się, że jakiś Mefistofeles bez mej chęci przeniósł mnie na sabbat wieǳm!

Wyobraźcie sobie, państwo, kilka tuzinów ludzi, mężczyzn, kobiet, dzieci, zupełnie gołych, którzy biją się nawzajem miotłkami z gałązek, z wikliny, trą, myją... Wrzask, hałas, krzyki. Najmniejszego wstydu nikt tu nie zna: mężczyźni myją kobiety, kobiety — mężczyzn! W Rosji na prosty lud rząd patrzy jak na bydło, to też na takie wspólne kąpiele w łaźniach policja nie zwraca najmniejszej uwagi.

Już po dziesięciu minutach nie mogłem dłużej znosić tego upału i uciekłem, oburzony na tę niemoralność, która tu, w Petersburgu, uważaną jest za zjawisko tak naturalne, że nikt nawet o niem nie mówi.

Szedłem Prospektem Woźniesieńskim, myśląc o tem, co przed chwilą widziałem, gdy naraz natknąłem się na ogromny tłum ludzi, usiłujących wtargnąć na dziedziniec jednego ze wspaniałych gmachów.

Pobudzony ciekawością, wmixszałem się w tłum i ujrzałem, że cały ten tłum oczekuje publicznego wymierzenia kary knuta, jednemu z chłopów pańszczyźnianych.

Nie czując w sobie sił do asystowania przy widoku tego rodzaju, już miałem być odejść, gdy otwarły się drzwi od balkonu w tym domu i dwoje dziewcząt stanęło na balkonie; jedna z nich ustawiła fotel, a druga położyła na nim aksamitną poduszeczkę. Wnet po nich wyszła na balkon ta dama, która brzydziła się usiąść na kurzu, ale się nie brzydziła—patrzeć na przelewaną krew. Na jej widok w tłumie poczęto szeptać „gosudarynia, gosudarynia...”

I rzeczywiście, poznałem w tej kobiecie, okrytą w futro, już dawno widzianą przezemnie piękność. Sprawa cała miała tło następujące:

Jaden z jej ludzi pałacowych, pańszczyźnianych, jak mówią, obraził ją czemś. Otóż zażądała ona, aby go wychłostano knutem dla przykładu innych. Naogół sądzono, że zemsta „gosudaryni” ograniczy się tylko do tego, tymczasem ta piękność orzekła, że człowiek ten nie tylko ma być ukarany, ale nadomiar ukarany w jej obecności.

Zdawało mi się, że wyszła ona poto na balkon, aby ulaskawić przestępcę, lub zmniejszyć mu karę,

aczkolwiek Luiza dość mi mówiła o okrucieństwie tej „piękności”.

Zatrzymałem się wśród widzów.

„Gosudarynia” usłyszała szmer w tłumie, wywołała ukazaniem się jej na balkonie, to też spojrzała na niego z taką pogardą, że nawet sama cesarzowa nie mogłaby patrzeć tak z góry na ludzi. Poczem rozwała się w fotelu, wsparła się na poduszce jedną ręką, a drugą zaczęła głaskać jamnika, który leżał u niej na kolanach.

Jasnym było, że z rozpoczęciem egzekucji czekało tylko na nią, ponieważ natychmiast w dole otwarły się drzwi i dwaj tędzy chłopcy wyprowadzili nieszczęsnego ze skrępowanymi rękami, a dwaj inni szli w tyle poza nim, trzymając wielkie knuty w rękach. Osobnik, mający być ukaranym, był blondynem, o energicznych rysach twarzy. W tłumie poczęto szeptać i opowiadać co następuje:

Chłop ten był zatrudniony jako ogrodnik u ministra, u którego „gosudarynia” była kiedyś prostą dziewczką dworską. Polubił ją, a ona jego nawzajem i już mieli się pobrać z sobą, gdy naraz minister zwrócił uwagę na nią i postanowił podnieść ją lub też poniżyć — jeśli chcecie — do godności swej metresy. Od tej chwili „gosudarynia”, dzięki jakiemuś kaprysowi uczuć, znieawidziła swego ex-narzeczonego, który teraz bezustanku doznawał z jej strony wszelakich przykrości, szykan i prześladowań; zdawało się, że robi to ona z obawy, aby minister nie podejrzewał jej, że żywi jeszcze czułe uczucia ku swemu ex-narzeczonemu. Wczoraj właśnie spotkała tego ogrodnika w ogrodzie, i zaraz po kilka słowach, które z nim zamieniła, poczęła krzyczeć, że ogrodnik zwymyślał ją i obraził. A kiedy minister wrócił do domu, — zażądała, aby człowiek, który ją obraził, został ukarany.

Przygotowania do wymierzenia kary zostały poczynione już wcześniej. Ustawiono pochyłą platformę z otworem dla szyi oraz dwa słupy po obu jej stronach, do prawej i lewej, do umocowania rąk... Na słupach wisiały knuty z długimi rączkami, do których umocowano szerokie rzemienie, zakończone żelaznymi pierścieniami o kilku rzemieniach dwa razy krótszych od szerokiego zasadniczego rzemienia... Rzemienie te przed egzekucją moczą się i szuszą na słońcu, aby stały się twardymi i ostre, jak noże.

Zazwyczaj taki knut zamienia się na inny po każdym z sześciu uderzeniach, ponieważ od krwi skazanego rzemyczki końcowe stają się miękkimi, ale w tym wypadku nie trzeba go było zamieniać, ponieważ ogrodnik miał być dostać tylko dwanaście uderzeń, tych zaś, którzy mieli wykonać ohydny karę, było tylko dwóch. Ci dwaj — byli woźnice pana ministra, czyli ludzie przyzwyczajeni do posługiwania się knutem. To, że byli oni w tym wypadku wykonawcami kary, ani trochę nie psuło ich dobrych stosunków do towarzyszy stajennych, którzy przy okazji odpłacali im tą samą monetą, nie przez złość, rzecz prosta, jeno ulegając poprostu rozkazowi swego pana.

Nieraz zdarza się, że karzący, ni stąd ni zowąd, naraz stają się karanymi. Podczas mego pobytu w Rosji niejednokrotnie widziałem wielkich panów rosyjskich, którzy, wpadłszy w gniew, rozkazywali swej służbie, która coś tam przeskrobała — walić się nawzajem pięściami, ponieważ niczego takiego pod ręką, czem możnaby ich było walić — nie było.

I oto nieszczęśnicy, posłuszni rozkazowi panów, poczynali naprzód niechętnie jakby z wahaniem się — zadawać sobie ciosy, poczem, wpadając pomału w zaciekłość, jeśli się tłuc co sił starczy, podczas gdy ich panowie krzyczeli:

— Wal go! Wal go, hulaj! Mocniej! Mocniej!
Wreszcie, gdy panowie doszli do przekonania, że bijący się już dość nabili sobie guzów, wtedy wo ali: „Dość”! I walka natychmiast ustawała, przeciwnicy zaś udawali się wspólnie myć swe pokrwawione gęby, a następnie, jakby nigdy nic, zasiadali razem w najzupełniejszej zgodzie...

Tym razem jednak skazany na karę knuta nie mógł się tak tanio wykręcić. Przygotowania do wymierzenia kary sprawiły na mnie odrażające wrażenie, pomimo to jednak nie oddalałem się, czując się jakby przywołanym do miejsca, jakby zahypnotyzowany tem uczuciem, które zawsze pociąga jednego człowieka tam, gdzie cierpi drugi. I tak oto zostałem. A zresztą pragnąłem widzieć do czego może dojść okrucieństwo tej kobiety.

Obadwaj wykonawcy kary zbliżyli się do młodego ogrodnika, obnażyli go do pasa, położyli na pochyłej platformie, wsadzili mu głowę w otwór a obie ręce przywiązali do słupów po bokach. Poczem jeden z nich odsunął tłum widzów, iżby mu nie przeszkadzał w wykonaniu krwawego dzieła, a drugi ujął do ręki knut i podniósłszy się na palec, z całego rozmachu uderzył po nagich plecach młodego ogrodnika, tak, że knut owinął się dokoła ciała dwukrotnie, pozostawiając na niem krwawą smugę. Pomimo jednak okrutnego bólu, młody ogrodnik ani pisnął.

Przy drugim uderzeniu z rany pociekła krew, a przy trzecim — trysnęła strugą. Dalej już knut wpijał się w żywe mięso i cały opływał krwią, tak, że po każdym uderzeniu woźnica ścierał palcami krew z rzeźmi knuta.

Po sześciu uderzeniach pierwszego woźnicę zastąpił drugi wykonawca „kary”, który również zadał leżącemu sześć uderzeń. Młody ogrodnik przez cały

czas leżał bez ruchu, jak nieżywy, a tylko kurczowe ruchy jego rąk po każdym uderzeniu wskazywały na to, że żyje...

Tak w Rosji znęcano się nad ludem!

Po ukończeniu kary odwiązano ogrodnika. Był zupełnie nieprzytomny i nie mógł się utrzymać na nogach, mimo iż podczas kary ani jednym słowem nie wyraził swego bólu. Przyznam się, że ani takiej odporności na ból wielki ani takiej zakamieniałości ludzkiej — nigdy dotąd na świecie nie spotykałem.

Dwaj chłopci ujęli go pod ręce i skierowali ku tym drzwiom, przez które przyszedł. Tu młody ogrodnik obrócił się i, spojrzawszy z pogardą na „gosudarynię”, krzyknął jej kilka słów po rosyjsku, których nie rozumiałem: Jak się zdaje, były to znów jakieś obelżywe słowa czy też groźba, ponieważ chłopci czemprędzej wepchnęli go do drzwi.

„Gospodynia” odpowiedziała na tę nową zniewagę wzgardliwym uśmiechem, poczem wyjęła z pudełka kilka cukierków i, wsparłszy się o ramię jednej z panien, — odeszła z balkonu...

Drzwi za nią zamknęły się. Tłum, widząc, że wszystko skończyło się, począł się rozchodzić w milczeniu.

Niektórzy z widzów stali jeszcze, kiwając głowami, jakgdyby chcieli powiedzieć, że za tę nieludzką ta piękność prędzej czy później zostanie ciężko ukarana.

VIII.

Katarzyna Wielka mawiała, że w Petersburgu niema lata, a są dwie zimy: jedna biała, a druga zielona.

Zbliżaliśmy się wielkimi krokami ku białej zi-

mie, a co się tyczy mnie, to muszę przyznać się, że czekałem jej nadejścia nie bez ciekawości. Lubię widzieć kraj w jego stanie naturalnym, ponieważ tylko w tej porze uwydatnia się jego istotny charakter... Kto zaś pragnie widzieć lato w Petersburgu, a w Neapolu zimę — ten niech najlepiej zostanie we Francji, ponieważ ani tego, ani tamtego w nich nie zobaczy...

Wielki książę Konstanty wrócił do Warszawy, nie wykrywszy tego spisku, dla którego przybył do Petersburga, a cesarz Aleksander, przejęty tym spiskiem, bardziej smutnym niż zazwyczaj, opuścił swój pałac w Carskiem Siole, którego drzewa już zasiały liśćmi ziemię.

Minęły gorące dni i białe noce. Nie było już więcej jasno-błękitnego nieba. Newa nie toczyła więcej swych siwych wód i nie było już na niej widać łodzi z kobietami i kwiatami. Nie było słychać smętnej muzyki.

Zaprzagnąłem jeszcze raz ujrzeć te czarujące wyspy na Newie, pokryte w czasie mego przybycia bujną roślinnością, i najrozmaitszem kwieciami, lecz — niestety, nie było już teraz tam kwiatów. Wałęsałem się po tych wyspach, poszukując pałaców, lecz ujrzałem jeno same osłonięte mgłą łodzie, barki, koło których brzozy smętnie chwiały swemi obnażonemi gałęziami. Mieszkańcy tych wysp również wszyscy wynosili się do Petersburga.

Poszedłem za radą, daną mi przy table d'hotel po moim przyjeździe do stolicy przez mego ziomka, lyończyka i, włożywszy na siebie nabyte u niego futro, jałem biegać z jednego końca miasta na drugi z lekcjami. Lekcje te, zresztą, miały mi więcej na rozmowach, niż na ćwiczeniach szermierskich. Bowiern pan generał Gorgoli, wyszedłszy do emerytury po wysłużeniu 13 lat jako komendant Petersburga, po ja-

kiejs scysji z generałem Miłoradowiczem, gubernatorem stolicy — czuł stale potrzebę wychnięcia po swej ciężkiej a odpowiedzialnej służbie.

Nieraz zatrzymywał mnie na całe godziny, wy pytując po przyjacielsku o Francję i o moje sprawy. Inny znów uczeń, hrabia Bobrinskij, traktujący mnie bardzo życzliwie, bezustanku robił mi różne prezenty, a raz nawet podarował wspaniałą turecką szablę. Co się tyczy hrabiego Aleksiego Annienkowa, to też i nadal pozostał mym najłaskawszym protektorem, cóż, kiedy widywałem go tylko bardzo rzadko, ponieważ był stale zajęty swemi przyjaciółmi to w Petersburgu, to w Moskwie. Pomimo, że odległość pomiędzy obiema stolicami jest bardzo wielką, hrabia Aleksy najczęściej spędzał czas w drodze to do jednego z tych miast, to do drugiego.

Rosjanin, jak wiadomo, jest to człowiek, stanowiący dziwną mieszaninę kontrastów: łagodny z charakteru, bardzo łatwo staje się pastwą tęsknoty i znużenia.

Widywałem go, od czasu do czasu, u Luizy. Moja biedna współrodaczka stawała się z każdym dniem, jak to zauważyłem, smutniejszą i smutniejszą. Gdy była sama jedna, pytałem ją o powód tego smutku, który przypisywałem jej zazdrości. Ale, gdy raz wymieniałem w rozmowie z nią słowo zazdrość Luiza zaprzeczyła ruchem głowy, i jęła mówić o Aleksym z takim zaufaniem do niego, że wyrzekłem się tej myśli...

Powiedziałem już, że mówiła mi ona o jakiejś stałej tęsknocie Aleksiego, który skłonił go do przystąpienia do spisku, o którym teraz właśnie krążyły głuche wersje po Petersburgu, aczkolwiek nikt nie wiedział, kto bierze w nim udział i przeciwko komu spisek jest skierowany.

Jeśli chodzi o hrabiego Annienkowa, to by oddać mu zupełną sprawiedliwość, muszę oświadczyć, że nie dostrzegłem w nim najmniejszej zmiany—pozostał takim samym, jakim był dotąd. Macchiavelli, uważając Konstantynopol za najlepszą szkołę wszelkiego spisku, był jak, się przekonamy, niesprawiedliwym względem Moskwy.

Nadszedł dzień 9 listopada 1824 r. Gęsta mgła spowiła stolicę carów. Przez trzy dni dął od morza gwałtowny południowo-zachodni wiatr, tak że Newa wezbrała, stając się burzliwą, jak morze. Na bulwarach stały liczne grupy ludzi, którzy pomimo zimnego wiatru, z niepokojem w oczach przypatrywali się jak wzbiera Newa i jak z minuty na minutę podnosi się poziom wody.

Mieszkańcy przerażeni byli przyborem wody również w Fontance, Mojce, i innych rzekach. W powietrzu czuć było coś posępnego, coś co zapowiadało nieszczęście. Nastął wieczór. Wszędzie po mieście wzmocniono posterunki dla zapewnienia stolicy bezpieczeństwa.

W nocy rozszalała się straszna burza. Rozkazano rozwieść wszystkie mosty, aby łodzie i statki, znajdujące się na Newie, mogły się pochować, gdzie im będzie najwygodniej.

Pozostałem u Luizy do północy. Była bowiem bardzo przestraszona tem, że hrabia Aleksy otrzymał rozkaz nie wydalania się ze swych koszar kawalerskich.

W mieście władze wydały takie same rozporządzenia, jak podczas stanu wojennego. Udałem się na bulwar.

Newa szturmowała, uderzając wysokimi falami,

a od strony morza, od czasu do czasu, dolatywały dziwne głosy, podobne do długich westchnień.

Gdy wróciłem do domu, nikt jeszcze nie spał. Na dziedzińcu naszym pokazała się woda, która zaczęła zalewać suteryny domu. Ktoś doniósł, że bulwar granitowy został miejscami zburzony i że woda przelewa się przez wał. Rzeczywiście, na ulicy wszędzie zaczęła się pokazywać woda, ponieważ jednak nie przypuszczałem możliwości powodzi, tedy spokojnie poszedłem spać, tymbardziej, że moje mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, czyli że nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Ale sąsiedzi moi byli tak okropnie wzburzeni, że i ja nie mogłem długo zasnąć, póki wreszcie znużenie i huk burzy nie uspiły mnie.

Obudziłem się około godziny ósmej rano, zbudzony wystrzałem armatnim. Podbiegłszy do okna, ujrzałem, że na ulicy stoją tłumy ludzkie, przeto ubrawszy się czempredzej, podążyłem nadół.

— Co się stało? Dlaczego strzelają z armat?— spytałem kogoś.

— Woda, woda! Powódź! Newa! — krzyknął, uciekając.

Zbiegłem na parter domu, gdzie woda dochodziła już do okien, mimo że podłoga była ponad poziomem ulicy. Wyrzawszy na ulicę, zobaczyłem, że cały środek ulicy był zalany wodą, która miejscami zalewała suteryny.

Ujrawszy dorożkarza, krzyknąłem nań, ale ten nie chciał jechać, mówiąc, że spieszy się do domu. Jednakowoż dwadzieścia rubli, obiecane mu, skłoniły go do pojechania ze mną. Wskoczyłem do dorożki i kazałem wieźć się na Newski Prospekt. Tu woda sięgała framug okien. Co każde pięć minut rozlegał się

wstrząsający huk armat. Ludzie, których spotykałem na ulicy krzyczeli przerażeni: „Woda! Potop!”

Sam nie wiem jak dostałem się do mieszkania Luizy. Koło drzwi jej domu zastałem żołnierza na koniu. Przybył, przysłany przez hrabiego Aniennkowa, by powiedzieć Luizie, aby udła się na najwyższe piętro w razie dalszego przyrostu wody. Teraz powiał wiatr zachodni, pędząc wodę z zatoki finskiej do Newy, tak że zdawało się, iż morze walczy z Newą! Sługa właśnie tylko co spełnił swe polecenie, gdy ja przybyłem do Luizy, poczem popędził z powrotem do koszar, o ile to było możliwe wobec takiego zalewu wodami ulic.

Armaty huczały bezustanku.

Przyjechałem w sam czas. Luiza była śmiertelnie przestraszona, być może, nie tyle o siebie, ile o hrabiego Aleksego, koszarom bowiem, w których stał — groziło największe niebezpieczeństwo. Jednakowoż przybycie żołnierza uspokoiło ją nieco.

Wyszliśmy razem na balkon domu, skąd przy dobrej pogodzie daleko, daleko było widać. Ale obecnie mgła była tak gęstą, że literalnie nic nie można było odróżnić.

Armaty teraz grzmiały coraz częściej. Na placu Admiralicji ujrzelśmy kilku dorożkarzy, uciekających przed powodzią. Pozjeżdżali się tu właśnie, spodziewając się, że teraz dobrze robią, ale wskutek szybkiego napływu wody, sami ledwie z trudem uratowali się. Poganiiali wtedy swe konie co tchu, wołając: „Potop! Potop!” I rzeczywiście widok był okropny. Za nimi pędziły morskie fale, które przewalając się przez granitowy bulwar, dochodziły aż do pomnika Piotra Wielkiego!

Newa wystąpiła z brzegów.

Na balkonie Pałacu Zimowego ukazały się mun-

dury. Cesarz stojąc wśród generałów, wydawał rozkazy, ponieważ niebezpieczeństwo wzrastało z każdą chwilą. Ujrawszy, że woda zalewa już mury fortecy, przypomniał sobie nieszczęsnych więźniów, osadzonych w kazmatach, których okna wychodziły na Newę.

Natychmiast kazał komuś udać się w łodzi do twierdzy i doręczyć carski rozkaz komendantowi twierdzy, aby natychmiast przetransportował wszystkich więźniów w bezpieczne miejsce. Ale rozkaz ten przyszedł zbyt późno, wśród ogólnego zamętu, potrącenia głowy, zapomniano o nieszczęsnych więźniach politycznych i wszyscy oni zginęli.

Ulicami płynęły teraz szczątki domów. Były to nędzne drewniane baraki z Narwskiego okręgu, które nie oparłszy się huraganowi, zostały porwane przez powódź wraz ze swymi nieszczęsnymi mieszkańcami.

Na szczątkach jednego z baraków płynął trup ludzki. Trudno oddać to wrażenie, jakie sprawił na nas ten pierwszy trup.

Woda przybywała bezustanku z przerażającą szybkością. Wszystkie kanały oraz rzeki, przecinające miasto, wyszły ze swych brzegów i wepchnęły do miasta berlinki, napełnione kamieniami, chlebem i furazem. Od czasu do czasu trafiali się na nich ludzie, którzy dawali sygnały snującym się łodziom, prosząc o ratunek. Ale łodziom bardzo trudno było do nich podpłynąć, ponieważ woda tworzyła okropne wiry. Niektórzy z tych nieszczęsników nie mogli być uratowani, ponieważ płynące ku nim na ratunek łodzie przewróciły się, a siedzący w nich ludzie potonęli.

Dom nasz, zdawało się, drżał pod szturmem wód, które zalały cały parter. Co chwila zdawało się nam, że dom runie. A wśród tego chaosu okropności, Luiza co chwila powtarzała:

— O, Boże, mój Boże! Aleksy! Co będzie z Aleksym!

Wszystko przemieniło się w chaos, którego niepodobna opisać. Statki zderzały się raz po raz z sobą i rozbiły. Szczątki ich pływały obok szczątków domów, mebli oraz trupów ludzi i zwierząt. Po wodzie płynęły trumny wymyte z mogił. Drewniany krzyż nagrobny, porwany na jakimś cmentarzu, zaniósła woda aż do Pałacu Zimowego!

Woda wciąż a wciąż przybywała, od dwunastu godzin! Teraz wszędzie partery domów były pozalwane, a w niektórych dzielnicach Petersburga woda wkraczała na pierwsze piętro. Pod wieczór wszakże, woda poczęła opadać, ponieważ wiatr zmienił swój kierunek i dał teraz od północy, skutkiem czego Newa mogła teraz pędzić swe wody do morza, które dotychczas było dla niej jakby murem. Gdyby ten wiatr zachodni trwał tak jeszcze ze dwanaście godzin to cały Petersburg ze swymi mieszkańcami zginąłby pod wodą, jak ongi ginęły w czasie potopów całe miasta!

Wieczorem łódź zatrzymała się koło naszego domu. Już zdaleka Luiza poczęła dawać radosne znaki żołnierzowi, który siedział w łodzi, i którego poznała po uniformie. Był to żołnierz z pułku kawalerji, ten sam, który przyniósł wiadomość o hrabi Anienkowie.

Luiza natychmiast napisała do hrabiego kilka uspokajających słów o sobie. Ja również napisałem mu kilka słów od siebie, przyrzekając nie pozostawić Luizy bez opieki.

Woda wciąż opadała; wiatr dał po dawnemu od północy. Zeszliśmy z balkonu na pierwsze piętro. Musieliśmy tu spędzić noc, ponieważ na parter niepodobna było dostać się: parter był zalany, wszystko tam było zburzone, okna i drzwi połamane, a podłoga zarzucona szczątkami mebli.

Trzeci to raz w tym wieku Petersburg doznał takiej powodzi. Taki dziwny kontrast z Neapolem, który na drugim końcu Europy stale doznaje klęski powodzi!

Nazajutrz na ulicach miasta było już bardzo mało wody. Wszędzie przewracały się na brukach szczątki mebli i ciała topielców. Z tych szczątek oraz z liczby topielców można było wnioskować o rozmiarze klęski, która dotknęła stolicę.

Wśród tych wypadków w Petersburgu rozegrał się okropny dramat zemsty ludzkiej.

O jedenastej godzinie w nocy minister, kochanek „gosudarini”, zawezwany został do cesarza. Udając się do Pałacu Zimowego polecił swej kochance przy pierwszym zaraz niebezpieczeństwie udać się na najwyższe piętro. Dom ten był pięciopiętrowy — najwyższy wogóle na Prospekcie Wozniesieńskim.

„Gosudarinia” została sama jedna ze swą służką, a minister zatrzymany został w pałacu cara do dnia jutrzejszego, przez cały czas powodzi. Wyszedłszy z Pałacu Zimowego, podążył do domu, ale zastał swój dom całkowicie zburzony i zupełnie opuszczony przez wszystkich.

Zaniepokojony o los swej uroczej kochanki, wbiegł do jej pokoju. Drzwi od jej pokoju, które jedynie ocalały w tym domu, zastał zamknięte, podczas gdy wszystkie inne drzwi były powyrywane z zawiasów i porwane przez powódź. Począł stukać, walić, krzyczeć, lecz nikt mu nie odpowiadał. Wówczas wyłamał drzwi.

Pośrodku pokoju leżał trup „gosudarini”, ale nie powódź była przyczyną jej śmierci: trup miał urwaną głowę!

Ogarnięty zgrozą, począł minister wółać o pomoc z tego samego balkonu, z którego niedawno jesz-

cze jego kochanica przyglądała się karze knuta, wymierzonej jej poprzedniemu kochankowi... Kilku ludzi zbiegło się na jego wołanie i ujrzało go, jak klęczy koło pokrwawionego trupa bez głowy — pięknej „gosudaryni”...

Zaczęto szukać po pokoju i znaleziono pod łóżkiem głowę zamordowanej. Około głowy leżały ogromne nożyce, którymi przecina się gałęzie drzew lub wyrównywa żywopłody w ogrodach: było to, oczywiście, narzędzie mordu.

Na ten okropny widok morderstwa cała służba ministra rozbiegła się, ale wieczorem i nazajutrz wróciła do domu.

Jedynie kto nie wrócił, to skutowany ogrodnik.

IX.

Zima zbliżała się. Zaledwie pozbyliśmy się kłęski powodzi, a już szturmował nowy wróg. Do walki z nim tym rychlej należało się przygotować, że był już dziesiąty listopad. Statki, które uniknęły uszkodzeń, czempędzej podążyły na morze, iżby, nie wrócić do portu przed przyszłą wiosną. Mosty doprowadzono do porządku, ludność oczekiwała pierwszych mrozów. Nastaly one 3-go grudnia, czwartego zaś spadł pierwszy śnieg, poczem przy pięciu czy sześciu stopniach mrozu ustaliła się sama. Było to istnym szczęściem, ponieważ podczas powodzi zginęły wszystkie zapasy prowiantów i, gdyby nie było dobrej sanny, to naraz dalby się odczuć w mieście ich brak i, nastalby głód.

Dzięki zaś komunikacji saniami, które co do szybkości mogła była rywalizować z komunikacją kolejową, poczęto do stolicy ze wszystkich kresów cesarstwa dowozić wszelkie rodzaje dziczyzny: kuro-

patwy, zające, głuszce, dzikie kaczkę, jarząbki... Zwożono je w ogromnych beczkach, pełnych śniegu. Na targach miejskich ukazało się wielkie mnóstwo najrozmaitszych ryb, sprzedawanych w całości, albo pociętymi na kawałki, a przywożonych aż od Morza Czarnego lub Wołgi; dostarczono również mnóstwo rozmaitego rodzaju trzody domowej, ptactwa bitego lub żywego.

Pierwsze dni gdy Petersburg przystroił się w swą białą zimową odzież, stanowił dla mnie ciekawy, zupełnie nowy widok. Wpadłem nieomal w szal jazdy sankami, która to jazda dla mnie, francuza, była czemś niezmiernie przyjemnem: sanki ślizgają się po gładkiej, jak lud, powierzchni, a konie, pod działaniem zimna, nie czując prawie że ciężaru, nie biegną, zda się, lecz wprost pędzą! Te pierwsze dni były mi tymbardziej przyjemne, że zima w tym roku, wbrew wszelkiej normie, ustalała się stopniowo. Mrozy stopniowo poczęły dochodzić do 20 stopni, a jednak prawie, że nie zauważyłem tego, ponieważ nosiłem futro i inną ciepłą odzież. Nawa już przy 12 stopniach mrozu stanęła.

Pogoda nastała piękna, acz tak mroźna, że podobnej jeszcze nigdy nie widziałem; postanowiłem udać się na swe lekcje pieszo. Włożyłem futrzane buty, wielkie futro, na głowę włożyłem ogromną czapę z nausznikami, szyję owinąłem szalem kaszmirowym i oto, cały otulony, zakutany tam, że jeno nos wyglądał na świat — wyszedłem na ulicę.

Z początku wszystko szło dobrze. Zdziwiłem się nawet, jak mało działa na mnie zimno, i w duszy poczęłem nawet szydzić ze wszystkich opowieści o okropnych mrozach w Rosji, ciesząc się jednocześnie, że tak prędko i dobrze zaaklimatyzowałem się.

Obu moich pierwszych uczniów, do których udałem się, hrabiego Bobrinskiego i Naryszkina, nie zastałem w domu... Pomyślałem sobie, że los niekiedy urządza ludziom bardzo miłe niespodzianki. Idąc dalej, zauważyłem, że mijający mnie ludzie spoglądają na mnie z jakimś dziwnym niepokojem, lecz nic nie mówią... Wkrótce atoli przechodził koło mnie jakiś jegomość, jak się zdaje, bardziej towarzysko usposobiony, od innych. Ujrzawszy mnie, zawołał: „Nos!” Nie wiedziałem, co znaczy to słowo po rosyjsku, to też pomyślałem sobie, że nie warto zatrzymywać się dla takiego jednosylabowego słówka, przeto najspokojniej w świecie poszedłem dalej.

Na rogu ulicy Grochowej wprost na mnie pędził co koń skoczy jakiś dorożkarz. Ten, mimo prędkiej jazdy, rzuciwszy na mnie okiem, również krzyknął: „Nos! nos!” Wreszcie, na placu Admiralicji zetknąłem się z jakimś chłopem, który, ujrzawszy mnie, nic nie rzekł, tylko złapawszy garść śniegu, dopadł mnie i, zanim zdołałem zorientować się o co chodzi, począł z całej siły trzeć mi śniegiem twarz, zwłaszcza nos! Przekonany, że ten chłop pozwolił sobie na jakiś niezbyt delikatny a dość przykry żart w stosunku do mnie, dałem mu tak pięścią w łeb, że odleciał ode mnie o jakie dziesięć kroków.

Na nieszczęście, albo raczej na moje szczęście, podczas tego przechodziło dwóch innych chłopów. Ujrzawszy mnie, porwali mnie za obie ręce, podczas gdy poprzedni, wpadłszy w zapał, znowu mnie dopadł, po dawnemu jał mi trzeć twarz śniegiem, korzystając z tego, że nie mogę się więcej bronić! Wtedy, sądząc, że padłem ofiarą jakiegoś napadu, począłem z całej siły krzyczeć o ratunek. Nadbiegł jakiś oficer i jał mnie pytać po francusku, o co chodzi?

- Na Boga! — krzyknąłem, usiłując wyrwać się

z rąk tych trzech chłopów — alboż pan nie widzi, co oni ze mną robią?

— A cóż takiego oni panu robią?

— Trą mi twarz śniegiem! Przecież to okropny żart, zwłaszcza na takim mrozie!

— Daruje pan, ale przecież oni wyświadczają panu wielką przysługę, — oświadczył oficer, patrząc badawczo w twarz.

— Jaką przysługę?

— Przecież pan masz nos odmrożony!

— Co pan mówił — krzyknąłem, chwytając się za nos.

Podczas tego przechodził jakiś cywilny jegomość.

— Panie oficerze — zwrócił się do mego interlokutora — pan odmroziłeś sobie nos!

— Dziękuję panu, rzekł oficer, jakgdyby mu komunikowano najzwyczajszą, i przyjemną wiadomość.

I schyliwszy się, wziął garść śniegu i począł wyświadczać sobie tę samą przysługę, którą wyświadczyl mi ów biedny chłop, któremu tak brutalnie podziękowałem za jego życzliwość.

— Czyli że, monsieur, — zwróciłem się do oficera, — bez tego chłopca...

— Nie miałbyś pan nosa, — odparł oficer, rozcierając sobie dalej nos śniegiem.

— W takim razie pozwól pan, że...

I puściłem się pędem za chłopem, który, sądząc że chcę go bić, też jął uciekać przede mną. A że strach jest czemś bardziej ruchliwym, niż wdzięczność, tedy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie dogoniłbym go, gdyby nie schwytało go kilku ludzi, przekonanych, że to ucieka jakiś złodziej, który mnie okradł.

Dogoniłem go, i ujrzałem, że stoi i rozmawia, coś tłumacząc ludziom. Oczywiście pragnął wytłoma-

czyć ludziom, że jeśli już ponosi jaką winę to chyba tę, że zanadto kocha ludzi.

Dałem mu dziesięć rubli i taki był finał zajścia. Chłop długo kłaniał mi się i dziękował, a jeden z obecnych rzekł mi po francusku, że od dziś dnia muszę podczas spacerów więcej dbać o swój nos. Nie muszę chyba dodawać, że odtąd na całe życie zapamiętałem sobie tę dobrą radę.

W kilka dni po tem zajściu, udałem się do pana Sinobrinchowa, mistrza szermierki, u którego generał Gorgoli nazначył mi rendez-vous. Opowiedziałem mu przygodę, która mnie spotkała, ten zaś zapytał mnie czy nie zwracał się do mnie ktoś na ulicy, jeszcze przed tym chłopem? Odparłem, że owszem, dwaj przechodnie wołali do mnie „nos! nos!” ale ja nie wiedziałem, co znaczy to słowo...

— Ostrzegali pana, — rzekł — abyś pan zwrócił uwagę na swój nos. Jest to przyjęte tutaj w zimie, powinien pan to wiedzieć.

Generał Gorgoli miał zupełną słuszność. W Petersburgu człek musi się lękać nie tylko o to, że może sobie odmrozić nos lub uszy, gdyż w tym wypadku każdy przechodzeń może cię ostrzedz, — o wiele niebezpiecznijszem jest odmrożenie sobie jakiej innej części ciała, osłonięty ubraniem, gdyż to już nikt z otoczenia nie może cię człeku ostrzedz! Zresztą zimą pewien francuz, monsieur Pierson, padł właśnie ofiarą takiego nieszczęścia, wskutek prostej nieostrożności.

Pan Pierson, agent jednego z wielkich banków, wyjechał z Paryża do Petersburga z wielką kwotą pieniędzy, którą miał być przelać do kasy rządu rosyjskiego, jako część zawartej przez rząd carski pożyczki w Paryżu. W Paryżu, gdy odjeżdżał była wspaniała pogoda, a przeto pan Pierson nie przedsięwziął żad-

nych środków zapobiegawczych na wypadek zimna w drodze. Jeszcze w Rydze pogoda było dość znośna, tak że pan Pierson nie uznał za stosowne kupić sobie ani futra, ani butów obitych futrem i t. p. Ale gdy odjechał nieco za Rewel, spadł śnieg, taki gęsty, że woźnica stracił kierunek drogi i sanie spadły do rowu.

Ponieważ we dwojkę nie mogli wyciągnąć saní z śniegu, tedy woźnica wyprzągnął jednego konia i pojechał do najbliższego sioła, by wezwać ludzi do pomocy, a pan Pierson, lękając się przy zapadającej nocy zostawić wóz z pieniędzmi w polu, postanowił strzedz go. Śnieg przostał padać, powiał silny wiatr, i zrobiło się ogromnie zimno. Pierson, wiedząc, na jakie niebezpieczeństwo naraża się, przebywając tak długo na mrozie, postanowił, nie chcąc zmarznąć, przez cały czas chodzić dokoła saní.

W trzy godziny potem wrócił woźnica z ludźmi i końmi, sanie zostały wyciągnięte, i pan Pierson przybył do najbliższego postoju pocztowego. Kierownik poczty, u którego wzięte były konie, oczekiwał z niepokojem, i zaraz pierwszym jego pytaniem, gdy Pierson wysiadł z saní, było, czy nie odmroził sobie czego. Pierson odparł, że jak się zdaje niczego sobie nie odmroził, ponieważ przez te całe trzy godziny nie przestawał chodzić, sądzi więc, że dzięki ustawicznemu ruchowi, nic mu się nie stało. Pokazał przytem swą twarz i ręce, były zupełnie normalne.

Pomimo to, Pierson czuł w ciele wielkie znużenie, a nie chcąc odbywać dalszej drogi w nocy, iżby znowu nie zaszło jakie nieszczęście, postanowił tu zanocować; wypił tedy szklankę wina i poszedł spać.

Nazajutrz, obudziwszy się, chce wstać z łóżka, lecz oto czuje, że jest jakby przygwożdżony do posłania i ledwie ma siły wziąć dzwonek do rąk i zadzwonić. Ludziom, którzy się zbiegli, tłumaczy swój

dziwny stan: ma uczucie, że jest sparaliżowany. Ludzie biegną po lekarza. Przybywa lekarz i stwierdza, że pan Pierson odmroził sobie obie nogi, a ponieważ zaczęła się już gangrena, konieczną jest tedy natychmiastowa amputacja obu nóg.

Pomimo całej okropności tej rady, Pierson decyduje się na operację. Lekarz posyła po narzędzia, lecz wkrótce, gdy lekarz już zabiera się do operacji, Pierson poczyna się skarżyć na rozstrój wzroku. Okazuje się, że chory przestaje naraz rozróżniać nawet najbliższe przedmioty koło siebie. Wtedy doktor pojmuje, że stan Piersona jest o wiele gorszy, niż mu się zdawał z początku i zabiera się znowu do badania. Okazuje się, że nieszczęsny francuz ma odmrożone całe plecy i że tu również zaczęła się gangrena!

Lekarz jednakowoż nie mówi o tem Piersonowi ani słowa, przeciwnie uspakaja go, że wszystko to przejdzie, że wkrótce mu będzie lepiej i jako na dowód wskazuję na to, że choremu prawdopodobnie, znów zbiera się na sen. Chory odpowiada, że istotnie chce mu się spać. Zасыpia i w kwadrans potem, podczas tego snu, umiera.

Gdyby odmrożenie nóg i pleców zostało u Piersona rozpoznane zaraz na początku niemocy, i gdyby mu nogi roztarto dobrze śniegiem tak jak to zrobił dobry chłop z moim nosem, to nieszczęsny Pierson byłby mógł już na trzeci dzień udać się, jakby nigdy nic, w dalszą drogę.

Przygoda moja stała się mi niezłą lekcją, to też nie chcąc w przyszłości trudzić spotkanych na ulicy przechodniów, wychodziłem odtąd z domu zawsze z małym lusterkiem i co każde 10-15 minut sprawdzałem w niem, czy wszystko w porządku i czy mój nos nie uległ odmrożeniu.

Jeszcze tydzień, a nastąpiła w Petersburgu zima jak się patrzy. Niewa zamarzła, jeżdżono teraz po niej saniami; wszędzie zamiast powozów i dorożek ukazały się sanie. Newski prospekt przemienił się jakby w Longchamp, z tłumem staje jadących niem ludzi; we wszystkich świątyniach palono w piecach, przed teatrami i na wielu ulicach płonęły ogniska, dokoła których na ławach grzali się słudzy w oczekiwaniu swych panów. Co się tyczy woźniców, to ci panowie, którzy troszczą się o nich — odsyłają ich zazwyczaj do domu, z rozkazem przybycia po nich o oznaczonej godzinie. Najnieszcześniejszymi ofiarami mrozów są żołnierze i strażnicy budkowy. Ani jedną noc nie minie, aby który z nich nie zmarł na ulicy.

Mrozy nastawały coraz to mocniejsze. W okolicach Petersburga ukazały się całe stada wilków a razu pewnego rano kilka ich sztuk zauważono na zaułku Litejnym, koło fabryki, ale wyglądały one bardzo spokojnie i bardziej można było przypuszczać, że przyszły one na zebranie, niż na drapieżny napad. Oczywiście, zabito je.

Opowiedziałem o tej awanturze z wilkami, tegoż wieczoru, hrabiemu Annienkowowi, on zaś ze swej strony opowiedział mi o wspaniałym polowaniu na niedźwiedzie, które organizuje się w tych dniach o 10-12 wiorst od miasta. Polowanie to urządza sam Naryszkin, jeden z mych uczniów. Poprosiłem tedy Aleksego Annienkova aby zakomunikował mu o mej chęci wziąć w niem udział. Przyrzekł mi to i rzeczywiście zaraz nazajutrz otrzymałem zaproszenie od Naryszkina, ze wskazaniem rodzaju broni i ubrania.

Ubranie miało być futrzane, obszyte u góry również futrem, a na głowie — coś w rodzaju skórzanego kaszkietu z futrem, opadającym na ramiona. Wszyscy uczestnicy polowania mieli być pouzbrajani w kindzały.

Szczegóły tych przygotowań do polowania, które mi powtórzono kilkakrotnie — osłabiły nieco mój entuzjazm. Pomimo to nie chciałem pozostać w tyle za innym, to też ubrałem się w kostjum futrzany i zapatrzyłem się w kindżał.

U Luizy zatrzymałem się dość długo, do późnej nocy, i wróciłem do domu już po północy. Przyszło mi do głowy, ażeby urządzić próbę generalną polowania na niedźwiedzia: położyłem swe poduszki, mające wyobrażać misia na fotelu, i, uzbroiwszy się w kij zamiast kindżału, jałem napadać na wyimaginowanego niedźwiedzia, usiłując zadać mu cios śmiertelny pod szóstym żebrem. Nagle usłyszałem w rurze kominka jakiś podejrzany szmer. Podskoczyłem do kominka i, wsunąwszy tam głowę, zauważyłem jakiś dziwny przedmiot, któremu nie mogłem się dobrze przyjrzeć i który natychmiast wyniósł się ku górze i znikł.

Nie wątpiłem ani na chwilę, że był to złodziej, który chciał wtargnąć do mnie przez komin, a ujrawszy, że nie śpię, rzucił się do ucieczki. Krzyknąłem kilkakrotnie „kto tam?“, a ponieważ nikt mi nie odpowiadał, tedy wywnioskowałem, że może przypuszczenie jest słuszne. Nie okładłem się jeszcze przez jakie pół godziny, dopiero gdy wszelkie podejrzenie szmery ustały, orzekłem, że złodziej uciekł i nie wróci. Zabarykadowawszy kominek, czem się tylko dało — poszedłem spać.

Spałem nie dłużej nad kwadrans, gdy nagle usłyszałem czyjeś kroki w korytarzu. Nastraszony tajemniczą historją z kominkiem, zerwałem się z łóżka i począłem wsłuchiwać... Nie ulegało wątpliwości, że ktoś cicho przechadzał się koło mych drzwi, ponieważ słycać było lekki trzask posadzki, aczkolwiek, ów ktoś stapał, jak się zdaje, z największą ostrożnością.

Kroki zatrzymały się pod memi drzwiami: ów ktoś, widocznie, nie decydował się iść dalej...

Wyciągnąłem rękę. Włożyłem swój kaszkiet, sporządzony na polowanie, wziąłem kindżał i zacząłem wyczekiwać.

Po pewnym czasie usłyszałem, że ktoś otworzył moje drzwi i w świetle latarki, postawionej na korytarzu ujrzałem jakąś dziwną postać, której twarz, jak mi się wydało — była osłonięta maską.

Zadecydowałem, że lepiej jest samemu napaść na nieproszonego gościa, niż oczekiwać jego napaści to też, widząc, że idzie on ku kominkowi, jak człowiek dobrze obeznany z rozkładem mego pokoju, rzuciłem się nań, schwyciłem za gardło, powaliłem na podłogę i przystawiwszy mu kindżał do piersi, zapytałem, kim jest i po co przyszedł.

Ku największemu memu zdumieniu złoczyńca począł krzyczeć głosem strasznym i wołać o pomoc. Wówczas rzuciłem się na korytarz, aby wziąć latarkę i w jej świetle przyjrzeć się, z kim mam do czynienia, ale mimo iż trwało to jeden moment — gdy wróciłem z latarką — złodziej przepadł jak kamień w wodzie.

I znów usłyszałem jakiś szmer w kominie. Pobiegnąwszy tam, zdołałem tylko zobaczyć czyjeś pięty i spodnie które przepadły z największą szybkością... Ogarnęło mię wielkie zdumienie.

Wówczas jeden z mych sąsiadów, usłyszawszy rozzwierające serce, krzyki złoczyńcy, wpadł do mego pokoju, przekonany, że na mnie dokonano napadu. Ujrzał mnie w kaszkiecie, z latarką i kindżałem w rękach. Zobaczywszy mnie tak wyglądającego, pomyślał, że zwarzowałem.

By mu dać dowód, że jestem przy zdrowych zmysłach opowiadałem mu całą przygodę. Wtedy mój

śasiad wybuchnął okropnym śmiechem, mówiąc, że odniosłem zwycięstwo nad... kominiarzem. Gdybym nawet wątpił że tak jest, to moje ręce, koszula i twarz wywalane sadzami bardziej niż dobitnie stwierdzałyby słusność tych słów. Wyłomaczył mi dokładnie o co chodzi i przestałem wątpić.

Chodzi o to, że we Francji kominiarze są dość rzadkimi ptakami przelótnymi, śpiewającemi tylko raz w roku ze szczytów kominów na dachach. Tymczasem w stolicy carów są oni przedmiotami, że tak powiem, pierwszej użyteczności, zjawiając się w każdym mieszkaniu regularnie co każde dwa tygodnie.

Ale tutaj robotę swą odbywają po nocach, ponieważ w dzień pali się w piecach. Każdy dom ma swego stałego kominiarza, który udaje się do pracy w nocy, czyści komin poczem spuszcza się przez komin do mieszkania, aby zabrać sadze, które spadły nadół podczas czyszczenia kominu. Mieszkańcy Petersburga oswojeni są z tem dostatecznie, to też nikt z nich nie niepokoi się podczas tego rodzaju nocnych wizyt ze strony panów kominiarzy. Niestety, zapomniano mnie uprzedzić o tem, to też, gdy kominiarz przybył do mnie poraz pierwszy, omal nie padł ofiarą mojej porwocności i męstwa.

Nazajutrz przekonałem się niezbitcie, że mój sąsiad powiedział mi czystą prawdę: gospodyni mego domu przybyła do mnie rano, oświadczając, że kominiarz domaga się swej latarki...

O godzinie trzeciej po południu, udałem się na polowanie z hrabią Aleksym Annienkowym w jego sarniach, wyobrażających wspaniałą powóz na płozach. Miejscem zbiórki myśliwych był rodowy majątek Naryszkinów, o dziesięć czy dwanaście wiorst od Petersburga. Przybyliśmy na miejsce około godziny piątej i zastaliśmy zebranych już prawie wszystkich panów,

W chwilę po naszym przyjeździe zaproszono nas do obiadu.

Trzeba wiedzieć taki obiad u bogatych panów rosyjskich, by mieć pojęcie o jego przepychu! Działo się to w połowie grudnia, więc też, gdy wszedłem do stołowego pokoju, najbardziej uderzył mnie w oczy widok wspaniałego drzewa wiśniowego, pokrytego wiśniami, ustawionego w pośrodku stołu. Można było pomyśleć, że jest się we Francji w połowie lata!

Dokoła drzewa poukładane były całe góry pomarańcz, ananasów i winogron — co wszystko składało się na taki deser jakiego nie znalazłbyś, człeku, w Paryżu nawet we wrześniu. Jestem pewien, że taki deser kosztowałby ze trzy tysiące rubli. —

Zasiedliśmy do stołu. W owym czasie w Petersburgu przyjął się doskonały zwyczaj: goście sami częstowali się winem, przeto przed każdym gościem stało aż po pięć butelek rozmaitych win, ponieważ Rosjanie słyną jako pierwsi pijacy na całym świecie. Co się tyczy jedzenia, to miałeś tu, nieboże, wszystko czego dusza zapagnie, począwszy od cielęciny z pod Archangielska a kończąc na najrozmaitszej dziwności...

Po pierwszym daniu, wkroczył na salę imię maître-d'hôtel niosąc na srebnym półmisku dwie nieznanne mi dotąd żywe ryby. Wszyscy goście na ich widok wydali okrzyk podziwu: były to bowiem dwie czeczugi, po rosyjsku „sterladię”. Ponieważ czeczugi łowią się tylko w Wołdze, a ta odległość od Petersburga wynosi nie mniej niż trzysta pięćdziesiąt francuzkich lieu i ponieważ czeczugi żyć mogą jedynie w wodzie rzeki Wołgi, to aby je zachować przy życiu, trzeba je wieść przez pięć dni i pięć nocy w osobnej skrzyni z wodą, umieszczonej w zamkniętym wózku, ogrzewanym wewnątrz, aby woda nie zamarzała!

Każda z tych ryb kosztowała 800 rubli, to jest przeszło 1600 franków! Nawet niezapomnianej pamięci Potemkin niemógłby wymyśleć większego utracjusztwa!

W dziesięć minut potem ryby te znów ukazały się na stole, ale już usmażone, przyprawione groszkiem, zielonym bóbem, szparagami i inną jarzynką...

Po skończeniu obiadu przeszliśmy do innego salonu, gdzie poustawiane już były stoliki do gry w karty. Nie brałem udziału w tej grze, a tylko przyglądałem się jej. W nocy, gdy już zbierałem się spać — około dwunastej — niektórzy z tych szlachetnych panów utracjuszy przegrali już blisko 3000 rubli i do dwudziestu pięciu tysięcy dusz chłopskich...

Nazajutrz obudzono mnie o świcie. Leśnicy zawiadomili zgromadzonych, że w lasach wytropiono pięć niedźwiedzi. Usłyszałem tę tak przyjemną wieść z lekkim wstrząsem. Chociażbyś, człeku, nie wiem jak był odważnym, to jednak zawsze doznasz niejakiego niepokoju, gdy ci wypadnie po raz pierwszy zwłaszcza wyruszyć na bój z tak strasznym wrogiem, jak miś!

Pomimo to, bardzo odważnie włożyłem swój nowy strój, w którym mogłem się nie obawiać zimna. Słońce, jakgdyby szykując się do wzięcia udziału w naszym święcie myśliwskim, rozlało swe pyszne blaski, a temperatura pod jego promieniami podniosła się do piętnastu stopni noniżej zera i należało oczekiwać, że wkrótce będzie jeszcze cieplej.

Zastałem wszystkich nurodów już ubranych w stroje jednakowe, tak że z trudem poznawaliśmy się nawzajem. Koło ganku czekały już na nas sanie, a w kilka minut później byliśmy już na miejscu polowania.

Podjechaliśmy do pięknej chaty wiejskiej, z ogromnym piecem i obrazem w rogu, przed którym,

według rosyjskiego zwyczaju, wszyscy wchodzący zegnali się, zginając do pasa... Tu było przygotowane dla nas śniadanie, które nas wszystkich ujęło za serce. Ale, jak zauważyłem, ani jeden z myśliwych, wbrew zwyczajowi, nie pił. Jest to zresztą, zupełnie zrozumiałe: przed pojedynkiem nikt się nie upija, a przecież oczekujące nas polowanie nie było niczem innym, jak pojedynkiem!

Pod koniec śniadania jeden z leśników ukazał się we drzwiach: — znaczyło to, że pora wyruszyć. Każdy z myśliwych otrzymał po dobrej dubeltówce, którą według istniejących zasad myśliwskich, wolno było puścić w ruch dopiero w momencie grożącego niebezpieczeństwa. Prócz tego każdy z nas otrzymał po pięć czy sześć krążków z białej blachy, które cisną się w niedźwiedzia, by go rozjuszyć.

Przeszedłszy pewną przestrzeń, ujrzelśmy zagrodzoną kwadratową przestrzeń, a wewnątrz tego ogrodzenia—orkiestrę pana Naryszkina, grającą na rogach myśliwskich, tę samą która wprawiła mnie w taki zachwyt podcza białych nocy w Petersburgu. Każdy z muzykantów trzymał w ręce swój róg, gotowym będąc trąbić weń, gdy nastanie odpowiednia chwila.

W ten sposób, skądkolwiek szedłby niedźwiedź, zewsząd miały go straszyć dźwięki tych rogów... Około każdego muzykanta stał chłop z dubeltówką, nabitą pustym nabojem, iżby kula nie trafiła którego z myśliwych. Strzelanina tych chłopów miała na celu spotęgować hałas, wywoływany graniem rogów.

Weszliśmy za ogrodzenie.

Hałas, wywołany rogami i strzelaniną, wywarł na każdego z myśliwych takie wrażenie, jakie wywierać musi muzyka wojskowa na żołnierza, na początku bitwy. Z drugiej zaś strony poczułem się porwanym

taką brawurą bojową, jakiej nigdybym nie przypuszczał u siebie przed pięcioma minutami przedtem!

Postawiono mnie pomiędzy jednym z leśników Naryszkinowskich, który miał baczyć nade mną wskutek mego braku doświadczenia w tych sprawach, a hrabią Aleksym Annienkowem. Przyrzekłem Luizie, że będę pilnować go, a tymczasem to on mnie pilnował... Na lewo od niego stał hrabia Nikita Murawjow, z którym hrabiego Annienkowa łączyła wielka przyjaźń, a za Murawjowem — o ile mogłem być dojrzeć przez drzewa — stał sam Naryszkin. Kto stał dalej — nie widziałem.

Minęło kilka minut, gdy naraz rozległy się krzyki: „Niedźwiedź! niedźwiedź! i wnet huknęło kilka strzałów. Niedźwiedź szedł wprost na nas, przestraszony hałasem muzyki i strzałów. Obadwaj moi sąsiedzi dali mi znak, bym stał w pogotowiu.

Po chwili rozległ się trzask łamanych gałęzi i głuchy ryk. Pomimo zimna, oblałem się potem. Spojrzałem na swych sąsiadów, lecz ci byli najzupełniej spokojni, więc i ja jakoś się opanowałem. W tejże chwili ukazał się niedźwiedź, biegnąc pomiędzy mną a hrabią Annienkowem.

Pierwszym moim ruchem było cisnąć kindżał, a chwycić za dubeltówkę. Miś zatrzymał się, patrząc na nas ze zdumieniem; nie wiedział, oczywiście, na kogo z nas ma się rzucić — ale hrabia Annienkow nie dał mu zbyt wiele czasu do namysłu. Znając moje nie-doświadczenie, usiłował zwrócić uwagę niedźwiedzia na siebie, wysunąwszy się tedy naprzód, rzucił weń biały blaszany krążek, który trzymał w ręce. Niedźwiedź nieprawdopodobną zręcznością, jednym skokiem rzucił się na ów krążek, złapał go i jął giąć łapami, nieprzystając ryczeć. Wówczas hrabia zrobił jeszcze jeden krok naprzód i cisnął weń drugim krążkiem.

Miś schwycił i ten krążek i zgiął go zębami... Aby go jeszcze bardziej rozjuszyć — hrabia Aleksy rzucił mu trzeci krążek. Ale tym razem, niedźwiedz jakby zrozumiał, że nie warto zwracać sobie głowę jakimś tam krążkiem blaszanym, zwrócił głowę w stronę hrabiego i ryknąwszy, straszliwie, — zrobił w kierunku hrabiego kilka kroków, tak że dzielił ich dystans około dziesięciu kroków. W tymże momencie hrabia zagwiżdżał przeraźliwie a zwierz raptem stanął na tylnych łapach. Na to, właśnie czekał hrabia: rzucił się bezwzględnie na niedźwiedzia, który wysunął obie przednie łapy, by go schwycić, ale za nim się zbliżył — ryknął straszliwie, zachwiał się i runął nieżywy.

Kindżał przebił mu serce.

Rzuciłem się ku hrabiemu, pytając, czy nie odniósł rany, lecz ujrzałem go zupełnie spokojnym, jakgdyby nigdy nic się nie stało. Mogłem być się tylko dziwić takiemu męstwu. Trząsałem się cały, mimo iż byłem tylko widzem tego „pojedyńku”.

— Widzi pan teraz, jak to się odbywa, — rzekł mi hrabia, — nie jest to taka trudna sprawa! Niech pan będzie łaskaw pomoże mi przewrócić niedźwiedzia, aby mógł pan widzieć, gdzie mianowicie należy zadać cios.

Obróciliśmy go z trudem, ponieważ był to ogromny niedźwiedzisko. W piersi mu sterczał kindżał, wbity aż po rękojęść... Hrabia wyciągnął go i dwa czy trzy razy otarł o śnieg, by zetrzeć krew. W tejsze chwili usłyszeliśmy nowe krzyki i ujrzeliśmy, jak myśliwy, który stoi za Naryszkinem rozprawia się z niedźwiedziem: walka tu trwała nieco dłużej, lecz niedźwiedz też został zabity.

Te dwie wiktoryje, które przed chwilą ujrzałem, sprawiły mnie w zachwyty. Zniknęły naraz ostatnie

ślady mego lęku. Poczułem się Herkulesem, pokonywującym lwa, i pragnąłem wypróbować swych sił.

Okazja nie kazała długo czekać na siebie. Za ledwie odeszliśmy o jakie dwieście kroków od tego miejsca, gdzie leżały oba zabite misie, jak ujrzelismy nowego niedźwiedzia. Cisnąłem mu jeden ze swych krązków.

Niedźwiedź porwał go i dalejże giąć zębami, porykując przytem głucho. Moi sąsiedzi po prawej i lewej stronie zatrzymali się, mając dubeltówki w pogotowiu, by przyjść mi z pomocą — ponieważ orzekli, że ten miś do mnie będzie należeć.

Ujrawszy, że wzięli się oni za dubeltówki, pomyślałem, że ja też muszę zrobić to samo. Zresztą muszę powiedzieć, że miałem więcej zaufania do tej broni, niż do kindżału. A przeto, porzuciwszy kindżał, jałem oczekiwać niedźwiedzia z możliwie najzimniejszą krwią, ale miś nie zrobił ani kroku ku mnie...

Wówczas wycelowałem i dałem strzał do niego.

W tejsze chwili rozległ się straszliwy ryk! Niedźwiedź stanął na tylne łapy i począł bić jedną z przednich, ponieważ, jak się zdaje, miał drugą przestrzeloną. Usłyszałem za sobą krzyki: „Ostrożnie! Baczość!”

Niedźwiedź biegł wprost na mnie z taką szybkością, że ledwo zdołałem wyrwać z pochwy kindżał. Kiepsko pamiętam, co potem zaszło, ponieważ wszystko to stało się z szybkością błyskawiczną.

Ujrzałem bestję wprost przed sobą, z rozdzieloną paszczą, to też wymierzyłem mu z całej siły cios w pierś, lecz cios mój trafił na żebro. Łapa niedźwiedzia opadła na moje ramię, tak że pod jej ciężarem runąłem nawznak. W tejsze chwili rozległy się dwa strzały i niedźwiedź całym swym ciężarem runął na mnie... Wygrzebałem się jakoś z pod niego, i ze-

rwałem się na nogi, gotów bronić się, ale zwierz już nie żył. Trafiły go dwie kule: hrabiego Aleksego — poza uchem, i leśnika — prosto w ramię. Ujrzałem, że jestem cały we krwi, acz nie doznałem nawet zdrapania skóry.

Ze wszech stron jęli biedz do mnie ludzie, którzy, widząc, że między mną a niedźwiedziem odbywa się pojedynek zlekli się, iżby nie skończył się dla mnie fatalnie. Wszyscy byli ucieszeni, widząc że mnie się nic nie stało, i że miś zabity.

Zwycięstwo moje, mimo że nie sam jeden je odniosłem, lecz przy pomocy innych, sprawiło mi wiele przyjemności, ponieważ byłem jeszcze nowicjuszem w tego rodzaju wyprawach na grubego zwierza. Wystrzałem przestrzeliłem niedźwiedziowi przednią łapę, a kindziałem zadałem mu szeroką ranę, a zatem nie drgnęła mi ręka ani wtedy, gdy wróg był daleko, ani wtedy, gdy był blisko!

Chłopi i leśnicy zabili prócz tego jeszcze dwóch niedźwiedzi i na tem polowanie na misie skończyło się. Zawleczono zabite niedźwiedzie na jedno miejsce, aby zciągnąć z nich skórę; poczem poobcinano im tylne łapy, które uważane są wogóle jako przysmak i które miały właśnie pójść na nasz obiad.

Wróciliśmy do pałacu Naryszkina ze swemi trofeami. Każdego z nas oczekiwała w jego pokoju pachnąca woda do mycia, co było wielce pożądanem, ze względu na długie przebywanie w futrach... W pół godziny potem dzwonek dał nam znać, że nastala pora obiadu.

Obiad po polowaniu był niemniej wystawny, niż obiad wczorajszy: nie było tylko ryb, ale za to mieliśmy „łapy niedźwiedzie"... Przyrzadzeniem tych łap zajęci byli leśnicy, którzy smażyli je wprost na rożnie nad ogniem — bez żadnych przygotowań. Gdy

ujrzałem te duże kawały niedźwiedziego mięsa, zczerniałe i nieomal opalone zzewnątrz — to początkowo poczułem jakby pewien wstręt do nich. Mimo to chciałem spróbować tego niezwykłego przysmaku. Zdjąłem skórę nożem i pod nią znalazłem wspaniałe, niezmiernie smaczne mięso.

Gdy wsiadłem do sanek, by wrócić do domu, to zastałem w nich skórę z zabitego przeze mnie niedźwiedzia, którą przez grzeczność kazał mi tam włożyć pan Naryszkin

X.

W wyższych sferach Petersburga odbywały się przygotowania do dwóch wielkich świąt, które idą jedno za drugim. Mówią o święcie Nowego Roku i święcie Jordanu. Pierwsza z nich jest świętem czysto świeckim, drugie — świętem czysto cerkiewnem.

Po stolicy wciąż teraz krążyły jakieś ponure, niejasne wieści. Mówiono, że w tym roku odwołane zostanie przyjęcie ludu w Pałacu Zimowym, ponieważ — podobno — jest planowany zamach na cara. Policja zachowywała pod tym względem uporczywe milczenie. Były to, jak się zdaje, tylko echa tajnego spisku na życie cara, o którym już oddawna krążyły wersje. Ale wszelkie obawy rozproszyły się wkrótce: bo oto car rozkazał, aby wszystko pozostało po dawnemu i aby tradycyjne „przyjęcie ludu” odbyło się — jak każdego roku.

Mówiono też, że wśród wyższej arystokracji oraz gwardji planowane jest zabójstwo cara Aleksandra. Szeptano o tem, opowiadano sobie nawzajem, ale wśród rąk, które wyciągały się ku carowi — nie sposób było odróżnić rąk przyjaźnych od wrogich... Zawsze mogło się zdarzyć, że z pośród tych ludzi, którzy pa-

dają przed nim na kolana — zerwie się nagle ktoś, i zada mu cios zdradziecki sztyletem! Przeto też nolens volens, polegano na łasce Boskiej, i czekano, co dalej będzie. Car Aleksander zachowywał zupełny spokój.

Nadszedł wreszcie Nowy Rok. Bilety, dające prawo wejścia do carskiego Pałacu Zimowego rozrzuciono dość szeroko wśród publiczności petersburskiej. Mogłem być dostać od swych uczniów nawet kilka tuzinów tych biletów, tymbardziej, że wszyscy oni gorąco zalecali mi pójść i ujrzeć to niezwykle widowisko—jak car przyjmuje swój lud...

O siódmej wieczorem wrota Pałacu Zimowego otwarto na przyjęcie— wiernych poddanych.

Podczas, gdy lud zapycha różne sale wspaniałego pałacu, car z carową, otoczeni przez wysokich księży i wysokie księżne — witają w sali św. Jerzego stołeczne ciało dyplomatyczne. Poczem, po ukończeniu przyjęcia dyplomatów—otwierają się drzwi sali św. Jerzego, poczyna grać muzyka, i car, ujawszy pod rękę małżonkę francuskiego, austriackiego, hiszpańskiego czy jakiegoś innego posła — wkracza na salę.

Wszyscy rozstępują się, cofając w obie strony, niny cofające się fale Morza Czerwonego, a Faraon kroczy wśród nich!

Powiadano, że właśnie w tym momencie na cara ma być wykonany zamach i muszę przyznać, że wykonać go wcale nie byłoby trudno.

Dzięki właśnie tym wszystkim krążącym pogłoskom, oczekiwałem ukazania się cara z niezwykłą ciekawością. Mniemałem, że ujrze taką samą smutną twarz, jak wtedy w Parku Carskiego Siola. Wyobrażcie sobie tedy moje zdumienie, gdy ujrzałem jasną, radosną, śmiejącą się twarz Aleksandra. W ten sposób,

jak mówiono, wyrażała się u niego psychiczna reakcja na wszelkie niebezpieczeństwo osobiste.

O dziesiątej wieczór, gdy Ermitaż został już oświetlony, zaproszono do niego wszystkie te osoby, które posiadały bilety na bal.

Znalazłem się w liczbie tych szczęśliwców, podążyłem tedy wraz z tłumem do Ermitażu. Około drzwi stało dwunastu murzynów, ubranych w bogate stroje wschodnie. Murzyni ci kontrolowali bilety wejścia.

Wszedłszy do teatru, myślałem, że znalazłem się w czarownym pałacu bóstw podziemnych! Wyobraźcie sobie ogromną salę, której ściany i sufit ozdobione są kryształowymi ozdobami najrozmaitszych kształtów i deseni. Za temi ozdobami ukryto od ośmiu do dziesięciu tysięcy różnobarwnych lampjonów, których światło odbija się w kryształach... Dodajcie państwo, do tego cudowną muzykę — a otrzymacie wrażenie czarownego, skąpanego w świetle kolorowem, migocącego tysiącem różnobarwnych lampjonów, tajemniczego pałacu.

O jedenastej muzyka trąb ogłosiła przybycie cara. Natychmiast wielcy książęta i wielkie księżne, posłowie ze swemi żonami, damy nadworne oraz dworzanie zasiedli do stołu, stojącego pośrodku sali, podczas gdy inni goście, wśród których było około sześciuset osób z wyższych sfer — zasiedli do dwóch innych stołów. Jeden tylko car Aleksander nie zasiadł, obchodząc stoły i zwracając się to do tego to do owego z gości, którzy — według zwyczaju — odpowiadali mu siedząc...

Nie potrafię oddać tego wrażenia, jakie sprawił na wszystkich obecnych car Aleksander, wielcy książęta i wszyscy świetni dworzanie, postrojeni w złoto, jedwab i poozdabiani brylantami. Co do mnie, to,

zaprawdę, nigdy nic podobnego nie widziałem na świecie. Bywałem przecież na naszych dworskich balach, ale muszę powiedzieć, że bale petersburskie znacznie przewyższają je swą okazałością.

Gdy bankiet skończył się, — wszyscy obecni skierowali się do sali św. Jerzego. Tu tańce rozpoczęto polonezem, przyczem w pierwszej parze szedł sam car. Car, zresztą, wkrótce odjechał. Tłum począł się zwolna rozchodzić. W pałacu było dwadzieścia stopni ciepła, podczas gdy na dworze tyleż stopni mrozu. W ten sposób różnica temperatury sięgała czterdziestu stopni. We Francji natychmiast dowiedzielibyśmy się, ilu ludzi padło ofiarą tego strasznie ostrego przejścia od ciepła do zimna, ale w stolicy carów nikogo to nie obchodzi, to też, dzięki temu, po wesółch świętach nie nastają tu smutne lamenty.

Mnie się nic złego nie stało. Dzięki służącemu, który oczekiwał mnie w umówionem miejscu oraz dzięki otuleniu się w futro, a również zupełnie zakrytym saniom — szczęśliwie wróciłem do swego mieszkania przy Kanale Katarzyny.

Zima roku 1825 nie był taką, iżby należało się obawiać, że wkrótce nastanie odwilż. — Przez cały czas miesiący zimowych panowały ostre mrozy. Na Nowie, nawprost poselstwa francuskiego poczęto budować liczne t. zw. „bałagany”, to jest budy rozrywkowe, które zajęły całą przestrzeń pomiędzy dwoma bulwarami, czyli dystans ponad 2000 kroków. Równocześnie zbudowano tak zwane góry lodowe, tylko że w Petersburgu, wypadły one mniej imponująco niż w naszym kochanym Paryżu. Są one wysokie na jakie sto stóp, a długie na blisko czterdzieści. Buduje się je w ten sposób, że ustawia się odpowiednio deski, na które stopniowo codziennie leje się wodę i rzuca śnieg, dopóty, aż utworzy się „góra lodowa” z warstwą lodu,

grubą na jakie sześć cali... Z tych gór lodowych zjeżdżają ludzie na dół na maleńkich saneczkach, podobnych do naszych paryskich saneczek, na których sprzedawcy uliczni sprzedają różne towary. Wśród publiczności krążą liczni właściciele tych sanek, proponując przejechanie się z lodowej góry amatorom tej frajdy. Gdy znajdzie się taki amator — wówczas udaje się on po schodach na szczyt lodowej góry, a kierownik jazdy i właściciel saneczek siada z tyłu. Właściciel kieruje temi sankami z wielką zręcznością, która jest w danym razie tymbardziej potrzebna, że boki i góry lodowe nie są niczem ogrodzone i w razie przechylenia się — sanki mogą łatwo stoczyć się na bok i zlecić z amatorem jazdy w dół. Jedno takie przejechanie się kosztuje tylko kopiejkę.

Inne rozrywki i zabawy ludowe przypominają naogół nasze, urządzone na Polach Elizejskich podczas spacerów ludowych: produkują się na nich atleci, wystawiane są panoramy z figurami woskowymi, — występują olbrzymy i karzelki — a wszystkiemu temu akompanuje okropna muzyka. O ile mogłem wywnioskować z jej gestów, to „sposobiki”, któremi hecarze zapraszają do bud ciekawskich, wielce przypominają paryskie, aczkolwiek i tu wypowiadają się osobliwości krainy carów.

Widowisko, które — jak mi się zdawało — miało największe powodzenie u publiczności, polegało na tem; na scenie stoi ojciec, który chce ujrzeć swego noworodka, którego w tymże dniu powinni mu przywieść ze wsi. Przybywa mamka z dzieckiem na rękach, tak dalece owiniętem w kołdry, że wydać tylko jeden czarny nosek. Ojciec jest zachwycony, że widzi swego dziedzica, który wydaje jakieś ryki, przyczem ojciec stwierdza, że dziedzic ów jest podobny do niego jak dwie krople wody a pod względem łagodności najzu-

pełniej przypomina matkę. Przy tych słowach ukazuje się sama mama i, usłyszawszy komplement, powiedziany przez jej męża, poczyną się z nim kłócić. Kłótnia przechodzi w bójkę, przyczem oboje rodziców ciągną każda w swą stronę nieszczęsnego dzieciaka... Podczas tego szamotania się, dziecko wypada z kołder i pokazuje się..., że jest to małe niedźwiedziątko, które publiczność wita miłemi oklaskami. Ostatecznie ojciec dochodzi do przekonania, że mu zamieniono dziecko...

Podczas ostatniego tygodnia tych świąt państwowych i cerkiewnych po ulicach Petersburga chadzają ludzie poprzebierani w dziwaczne kostjумы, wchodząc do domów, jak to się praktykuje w naszych miastach prowincjonalnych. Najczęściej widywany kostjum, to kostjum — paryżanina. Składa się on — z surduta o długich połach, z bardzo sztywnej koszuli z ogromnym kołnierzem, dłuższym od krawata na trzy cztery cale, a wreszcie z peruki, ogromnego żabotu i małego słomianego kapelusza. Karykaturę tę uzupełniają breloki i łańcuszki, wiszące dokoła szyi i spadające aż do pasa. Jednakowoż, skoro tylko maska zostaje rozpoznana, ginie swobodny stosunek do przebranego, etykieta wstępuje w swe prawa, co nie daje już możliwości ani żartować z przebranych ani intrygować go.

Co się tyczy prostego ludu rosyjskiego, to ten, szykując się do wielkiego postu — je i pije podczas zapustów wszystko co się nadarzy, ale gdy tylko nastanie północ z niedzieli na poniedziałek wielkiego postu, lud naraz przechodzi od pijackich orgij do absolutnego postu i nadomiar tak ostro, że jeśli nawet pozostanie coś niedojedzonego po zapustach, to przy pierwszym uderzeniu w dzwon postny — wszystko zostaje wyrzucone psom! Naraz wszystko się zmienia: wesołe gesty przemieniają się — w żeganie się po-

bożne, a swawolne piosenki—w modlitwę. Przed obrazami w chatach zapala lud świece postne, a cerkwie, podczas zapustów stojące pustkami—naraz nie mogą zmieścić tych tłumów ludzkich, które je zapełniają.

Ach, tak wspinała się święta rządowe i ludowe zabawy terazniejsze, to jednak nie wytrzymują one żadnego porównania z temi, jakie urządzano ongiś. Tak, naprzykład, w r. 1740 caryca Anna Joanowna postanowiła prześcignąć wszystko, cokolwiek miało miejsce przed jej panowaniem. Postanowiła tedy urządzić taką uroczystość, na jaką może sobie pozwolić tylko marnotrawna caryca rosyjska. Oto postanowiła urządzić wesele swego dworskiego błazna. W czasie ostatnich dni zapustów i już zawczasu poroczysła rozkazy wszystkim gubernatorom by wyekspedowali do stolicy, dla obecności podczas tej ceremonji, po dwóch przedstawicieli tych narodów, które zamieszkują ich gubernie, w ich strojach narodowych.

Rozkaz carycy został wykonany dosłownie. W oznaczonym dniu do Petersburga przybyli reprezentanci stu rozmaitych narodów, z pośród których niejeden lud zaledwie był carycy znany z nazwy. Zjechali się tu kamczadale i laplaudczycy, jedni w sankach, zaprzężonych w psy, drudzy w północne jełenie, dalej kałmucy z wołami u wozów, bucharczycy ze swemi wielbłędami, ostjacy na wielkich drewnianych łyżwach, jasnowłosi finnowie, czarnowłosi mieszkańcy Kaukazu, ukraińskie wielkoludy, pigmeje — samojedzi, baszkirowie, zwani przez swych sąsiadów „istakami”, czyli: brudnymi, etc. etc. etc.

W miarę; jak zjeżdżali się ci deputaci — zaliczano ich, odpowiednio do krajów, w których reprezentowane przez nich ludy mieszkają — do jednego z czterech sztandarów: pierwszy sztandar oznaczał — wiosnę, drugi — lato, trzeci — jesień, a czwarty — zimę.

Nazajutrz wszyscy przyjezdni od samego rana defilować musieli po ulicach Petersburga, a ceremonia ta odbywała się codziennie — przez dni osiem!

Nastał wreszcie dzień uroczystości ślubnej.

Nowożeńcy, po nabożeństwie w cerkwi udali się w towarzystwie swej błazeńskiej swity do pałacu, który caryca kazała dla nich wystawić na lodzie Newy. Cały też ten pałac urządzony został z lodu; jego długość wynosiła pięćdziesiąt stóp a szerokość — dwadzieścia. Nietylko jego zewnętrzne jak i wewnętrzne ozdoby, ale i stoły, fotele, lichtarze, talerze, posążki, galerje, fronton nad wejściem, ba, nawet łóżka zostały zrobione z lodu przezroczystego jak kryształ. Koło pałacu stało sześć armat, również wykonanych z lodu; jedna z tych armat nabitą funtem prochu oraz kulą armatnią z lodu — powitała wystrzałem nowożeńców przy wjeździe do pałacu.

Najciekawszym w tym lodowym pałacu był słoń kolosalnej wielkości, na którym siedział pers, a obok niego stało dwóch hajduków. Słoń ten miał więcej szczęścia niż jego współziomek z bastylji, wyrzucał bowiem ze swej paszczy w dzień wodę, a w nocy ogień. Od czasu do czasu słoń ten, zwyczajem wszystkich słońi, wydawał krzyki, które słyhać było w całym Petersburgu... (krzyki te wyprawiali ludzie, siedzący wewnątrz słońia). —

Zima w roku 1825 o wiele mniej widziała uroczystości, zabaw i pochodów kostjumowych, niż każda inna. Powodem tego była coraz bardziej rozwijająca się melancholja cara Aleksandra I-go, udzielająca się nietylko jego najbliższemu otoczeniu ale i całemu dworowi.

Taki nastrój duszy cara musiał się odbić i na życiu całego kraju.

Mówiono, że ta choroba jest następstwem wyrzu-

tów sumienia u cara Aleksandra. Co te wyrzuty wywołało — o tem muszę opowiedzieć szczegółowo.

XI.

Po śmierci Katarzyny II, na tron wstąpił Paweł I. Usunięty przez długi czas ze dworu, pozbawiony swych dzieci, których wychowanie i edukacja wzięła na siebie jego babka, nowy car jął przejawiać w stosunku do otoczenia nieufność i okrucieństwo, która w ciągu krótkiego czasu uczyniły jego panowanie nieznośnem dla całej Rosji.

Paweł I wstąpił na tron carów po 35 latach wszelkich osobistych przykrości, wygnania i pogardy, — mając lat czterdzieści i trzy. Wycierpiał się nie mało przez lata poniżenia, ale i nauczył wielu rzeczy. Oto dla czego wkroczył na tron z kieszeniami wszelkich dekretów, rozporządzeń i postanowień rządowych, ułożonych i opracowanych w czasie długich lat wygnania. A posiadłszy władzę, zażądał, aby wszystkie jego dekrety natychmiast zostały wykonane, — nietylko po kolei, lecz wszystkie naraz.

Przedewszystkiem, w przeciwieństwie do polityki Katarzyny, którą wspominał li tylko z nienawiścią, starał się Paweł I robić to wszystko, co kontrastowało z jej dążeniami, czy poglądami. I oto, powodowany takimi uczuciami, mianował wielkiego księcia Aleksandra wojennym gubernatorem Sankt Petersburga. Cesarzowa Marja Teodorówna, jego żona, która dotychczas nieraz się użalała na oziębienie uczuć Pawła ku niej — naraz ze zdumieniem, połączonym z lękiem zauważyła, że car począł ją traktować łagodnie, ba, nawet miłośnie... Nie będąc w stanie wytłomaczenia sobie takiego zwrotu w uczuciach małżonka, z począł.

ku zwątpiła w szczerłość tychże uczuć, ale już wkrótce uwierzyła w tę dobrotliwą przemianę.

Opanowany przez ducha przekory, przejawiającego się zwłaszcza tam, gdzie najmniej go oczekiwano, zaraz w swym pierwszym dekreście rozkazał car Paweł I powstrzymać pobór rekrutów, niedawno rozpoczęty na mocy rozkazu Katarzyny, według którego to dekretu w całym państwie miano pobrać do rekrutów każdego jednego na stu chłopów pańszczyźnianych. Był to nietylko humanitarny, lecz nawet wysoce polityczny krok ze strony Pawła, ponieważ zyskał nowemu władcy odrazu wdzięczność szlachty, której dekret Katarzyny wielce ciążył, ale i miłość chłopów, którzy wielce cierpieli z powodu dekretu carycy.

Hrabia Zubow, ostatni faworyt Katarzyny, gdy car Paweł wstąpił na tron — wpadł w wielką rozpacz, przekonany, że stracił bezpowrotnie wszystko wraz ze śmiercią swej władczyni i protektorki. Zubow jął lękać się nietylko o swą wolność, ale nawet o życie. Dowiedziawszy się o tem, car Paweł zawezwał go do siebie, oświadczył mu, że zatrzymuje go na wszystkich zajmowanych przezeń dotąd stanowiskach, a nadomiar udziela mu nominacji na generał-adjutanta. Przyczem rzekł:

— Życzę sobie, aby pan dalej wykonywał swe obowiązki tak, jak je wykonywał za życia mej matki Katarzyny. Spodziewam się, że będzie mi pan służyć tak samo wiernie, jak służył pan jej!

W owym czasie bohater Polski generał Tadeusz Kościuszko, był jeńcem w Petersburgu. Trzymano go w jednym z pałaców, przyczem przydzielono doń na stałe jednego z majorów. Car Paweł, dowiedziawszy się o tym losie wielkiego człowieka, postanowił uwolnić go z niewoli i udał się sam, by go o tej swej decyzji powiadomić. Kościuszko zdumiony tem, że sam

Car odwiedził go, w pierwszym momencie zapomniał nawet podziękować Pawłowi. Ale gdy Paweł opuścił jego skromną kwaterę, udał się do pałacu cara z głową obandażowaną wskutek ran odniesionych w bitwie pod Maciejowicami.

Wysłuchawszy jego podziękowania, car Paweł ofiarował mu wielki majątek w Polsce, ale Tadeusz Kościuszko odmówił przyjęcia daru z rąk cara, prosząc jedynie, by mógł otrzymać skromne pieniądze na dożywocie tam, gdzie chce żyć. Wzruszony car Paweł rozkazał wydać Kościuszce 100,000 rubli. Kościuszko, na razie nie mogąc nic zdziałać dla swej ojczyzny, opuścił Petersburg i udał się do Szwajcarii, gdzie też i umarł.

Wśród takich oto dekretów i postanowień, które wbrew obawie całego świata, zapowiadały dobre i szlachetne panowanie Pawła I-go, nastął moment uroczystego pogrzebu zmarłej carycy. Paweł postanowił teraz spełnić swój podwójny obowiązek synowski.

Trzeba wiedzieć, że w ciągu 35 lat imię ojca Pawła, nieszczęsnego Piotra III wymawiano w Petersburgu tylko — szeptem. Paweł udał się do Aleksandro—Newskiego klasztoru, gdzie został pochowany ów nieszczęsny niekoronowany imperator Rosji, rozkazał otworzyć jego trumnę, padł na kolana przed nią, a wyjąwszy z trumny rękawiczkę zmarłego, począł ją gwałtownie całować niezliczoną ilość razy. Poczem kazał postawić trumnę pośrodku cerkwi i śpiewać nad nią psalmy żałobne w ten sam sposób, w jaki dopiero co odśpiewywano psalmy nad zwłokami nienawistnej Katarzyny, ustawionemi na paradnym katafalku w jednej z sal pałacu...

Wyszukawszy w Goczynie, w miejscu swej byłej deportacji, gdzie przeżył przeszło trzecią część wieku, niejakiego barona Ungern-Hernberga, który słu-

zył był wiernie jego ojcu Piotrowi III, zawezwał tegoż Ungern-Hernberga do Zimowego Pałacu.

Gdy starzec stanął przed obliczem cara, Paweł zaprowadził go do komnaty, w której wisiał portret zmarłego imperatora Piotra III i rzekł:

— Zaprosiłem pana tu po to, by wyrazić w pańskiej obecności swe synowskie: miłość i hołd pamięci nieszczęśliwego ojca.

I postawiwszy Ungern-Hernberga przed portretem ojca, ucałował go w oba policzki, mianował generała szef-generałem, zawiesił mu na szyi order Aleksandra Newskiego, prosząc by stanął na straży przy trumnie ojcowej w tym samym uniformie, jaki nosił za życia Piotra III.

Nadszedł dzień owej smutnej ceremonji. Piotr III — jak wiadomo — nie był koronowany, a przeto pogrzebany został pospolity pan rosyjski. Paweł I rozkazał ukoronować go w trumnie, przenieść do pałacu i postawić zwłoki obok zwłok Katarzyny. Poczem z pałacu szczątki obojga władców Rosji przewiezione zostały do fortecy i ustawione na katafalku, aby mógł się lud z niemi pożegnać... Przez 8 dni dworzanie, chcąc przypodobać się nowemu carowi, całowali ręce Piotra III.

Ale po tej ceremonji ze zwłokami swych rodziców, Paweł I, jakgdyby zapomniał o przeszłości. Odosobniwszy się w swym pałacu w Gatchynie z dwiema czy trzema rotami gwardji, pogrążył się całkowicie w drobiazgi życia wojskowego, całe dni spędzając nad czyszczeniem swego uniformu, a robił to z takim samem upodobaniem, z jakim kniaź Potemkin bawił się swemi brylantami...

Już od samego świtu wszystko w pałacu przybierało specjalny charakter. Nowy car, przed rozpatrywaniem spraw państwowych — oddawał się cał-

kowicie tym drobiazgom, które umyślił niezbędnie wprowadzić do życia armji.

Codziennie około godziny trzeciej rano car osobiście odbywał na dziedzińcu pałacu Zimowego ćwiczenia żołnierzy, których musztrował podług swego sposobu. Te ćwiczenia, które zyskały nazwę „wacht-parada” — stały się nie tylko najważniejszą sprawą jego rządów, ale również ośrodkiem jego trosk administracyjnych i państwowych.

Na tych paradach wydawał rozkazy, dekrety i przyjmował petentów. Codziennie z obu wielkimi książętami, Aleksandrem i Konstantym, przez trzy godziny w jednym tylko mundurze, nie bacząc na największe nawet mrozy, zmuszał swych żołnierzy do maszerowania, podnosząc i opuszczając pałkę trzcinową i powtarzając: „raz—dwa, raz—dwa!” Przyczem podskakiwał na miejscu, aby choć trochę ogrzać swe zastygłe członki.

Te wszystkie drobnostki wojskowe stały się dlań wkrótce... najważniejszą sprawą państwową. Przedewszystkiem zmienił car Paweł I kolor narodowej chorągwi rosyjskiej, odrzucając kolor biały, a wprowadzając czarny z złotem obramowaniem. To — jak mówił — robił dlatego, że biały kolor rzuca się zdaleka w oczy, podczas gdy czarny łatwo zlewa się z tłem otaczającym go, skutkiem czego nieprzyjaciel nie może go tak łatwo rozpoznać...

Ten sam kolor wprowadził do umundurowania żołnierzy. Ale nie tylko na tem stanęła owa reforma: Stopniowo ogarnęła ona również wysokość batów żołnierskich, guzików na getrach etc., to też, jeśli ktoś pragnął zwrócić na się łaskawe spojrzenie cara i ująć za najbardziej oddanego mu sługę — starczyło mu przyjść na następną „wacht-paradę” z temi innowacjami w uniformie, które Paweł wprowadził dzień

przedtem. Bywało i tak, że taki pośpiech i gotowość w wykonaniu najmniejszych kaprysów cara — nagradzane zostały orderem i nadaniem wyższego stopnia służby.

Z takim samym przejęciem się traktował car Paweł I nie tylko uniformy żołnierzy, których bezustanku to ubierał to rozbierał, — podobnie jak to robi dziecko z lalkami, —ale i strój ludności. Wielka rewolucja francuska wprowadziła do nas modę na duże okrągłe kapelusze, ale car Paweł odniósł się z nienawiścią do tej rewolucyjnej mody, to też pewnego pięknego poranka ukazał się rozkaz, najsurowiej zakazujący ludziom ukazywanie się w takich kapeluszach na ulicach stolicy...

Poczęści przez niepoinformowanie, poczęści przez opozycję rozkaz ten nie został wykonany z takim pośpiechem, jakiego oczekiwał car fantasta. Widząc to, Paweł I poustawiał przy wszystkich krzyżowaniach ulic kozaków i policjantów z nakazem zrywania kapeluszy z głów oponentów, przyczem sam wyjeżdżał na miasto, by skontrolować, czy nakaz jest ściśle wykonany.

Pewnego dnia, wracając do pałacu z takiej przejażdżki po mieście — ujrzał na ulicy jakiegoś anglika, mającego na głowie nienawistny mu okrągły kapelusz. Anglik ów, uważając snadź, że rozkaz tego rodzaju jest jawnym zamachem na jego osobistą wolność, nie wykonał go. Car Paweł zatrzymał się, rozkazując jednemu z oficerów zerwać kapelusz z głowy zuchwalcza, który poważyl się ukazać w tym rewolucyjnym kapeluszu tak niedaleko od pałacu — na Placu Admiralicji... Oficer podjechał do wolnego syna Albionu, ale zbliżywszy się, ujrzał, że ma on na głowie zupełnie legalny trójkątny kapelusz! Zawrócił tedy i złożył relację carowi

Paweł bierze do oczu lornetkę i patrzy na anglika, który, jakgdyby nigdy nic — podąża sobie dalej... Car, patrzy i widzi, że anglik ma na głowie okrągły kapelusz. Widocznie oficer omylił się. Rozgniewany Paweł rozkazuje mu iść do aresztu, a zamiast niego posyła jednego ze swych adjutantów, który chcąc się przypodobać carowi — pędzi co koń wyskoczy do anglika. I cóż? Pokazuje się, że car omylił się: anglik ma na głowie rzeczywiście trójkątny kapelusz. Adjutant zawraca i salutując składa raport Pawłowi. Ten znowu nastawia na anglika lornetkę i... śle do aresztu, wraz z oficerem, także adjutanta, gdyż widzi wyraźnie, że anglik ma na sobie rowolucyjny kapelusz.

Do sprawy, koniec końców, miesza się jeden z generałów, którego Paweł wysyła, aby zbadała tajemnicę kapelusza, tak fatalną w następstwie dla obu oficerów. Generał udaje się, ale widzi, że kształt kapelusza zmienia się w miarę zbliżania się do anglika, przechodząc stopniowo z okrągłego w trójkątny. Obawiając się, aby go nie spotkał ten sam los co jego poprzedników — sprowadza hardego syna Albionu przed oblicze wściekłego cara i... wtedy wszystko naraz wyjaśnia się. Pokazało się, że sprytny anglik, chcąc pogodzić swą godność i niezależność narodową z kaprysem obcego monarchy, kazał sobie zrobić taki kapelusz, że ten dzięki ukrytej w nim sprężynie mógł być naraz zmieniać kształt, stając się z zakazanego okrągłego — legalnym, trójkątnym...

Carowi idea ta wydała się tak wspaniałą, że nie tylko uwolnił z aresztu obu oficerów, ale nawet pozwolił dowcipnemu anglikowi nosić stale takie kapelusze, jakie mu się żywnie spodobają.

Za tym dekretem o „kapeluszach rewolucyjnych” poszedł rozkaz o powozach. Pewnego dnia za-

kazano w Petersburgu jeździć po ulicach w powozach z zaprzęgiem rosyjskim, to jest tak, aby woźnica siedział wierzchem na prawym koniu a kierował lewym. Posiadaczom powozów, land, i dorożek dano piętnaście dni czasu do zaopatrzenia się w uprząż niemiecką, po tym zaś terminie polecono policji obcinać lejce w tych powozach, które będą mieć zaprzęg niezgodny z rozkazem.

Reforma dotknęła poza powozami nawet woźniców: kazano im ubierać się na sposób niemiecki i pogolić brody. Zdarzyło się, że pewien oficer, który nie zdołał przerobić zaprzęgu swego na taki, jaki przepisywał dekret—zdecydował się udać na wachtparadę pieszo, obawiając się, że mógłby wyglądem swego powozu rozgniewać najjaśniejszego cara... Otulony w olbrzymie futro, szedł na miejsce służby, podczas gdy jego ordynans niośł z tyłu szablę. Nagle, trzeba trafić, spotkał ich na drodze Paweł I. Ujrawszy takie zlekceważenie dyscypliny car wpadł w gniew, kazał oficera pozbawić stopnia oficerskiego i zrobić pospolitym żołnierzem, a żołnierza zrobić oficerem.

We wszystkich dziedzinach życia wprowadzono najciszejszą etykietę. Stary zwyczaj wymagał, aby w razie spotkania na ulicy cesarza, cesarzowej lub cesarzewicza obywatel państwa rosyjskiego zatrzymywał się, wychodził z powozu i witał ich. Zwyczaj ten został cofnięty podczas panowania carycy Katarzyny, ale Paweł I przywrócił go natychmiast po swem wstąpieniu na tron, w całej surowości...

Pewien generał, którego ludzie nie poznali na ulicy powozu Jego Cesarskiej Mości, i nie spełnili powyższego rozkazu, został za to osadzony w areszcie. Kiedy skończył się termin jego aresztu chciano mu zwrócić szablę, lecz ten odmówił przyjęcia tejże, mówiąc że jest to szabla honorowa, ofiarowana mu

przez Katarzynę, przekonaną, że nie będzie mu ona nigdy odebrana. Paweł kazał podać sobie tę szablę, obejrzał ją dokładnie i przekonał się rzeczywiście, że szabla jest złoia, ozdobiona brylantami. Zawezwał do siebie generała i zwrócił mu szablę, mówiąc, że nie ma nic przeciwko niemu, ale równocześnie rozkazał mu... w ciągu 24 godzin opuścić miasto i wyjechać do armji.

Niestety, nie zawsze wszystko kończyło się tak szczęśliwie! Razu pewnego jeden z brygadjerów, niejaki Licharew zachorował w swej wsi. Wówczas żona Licharewa udała się do Petersburga po lekarza. Na swe nieszczęście spotkała na ulicy jadącego w powozie cara Pawła. A że ani ona, ani nikt z jej ludzi nie był od trzech miesięcy w stolicy — tedy nikt z nich nie słyszał w nowym dekreście carskim. Nieszczęsna niewiasta przejechała, nie zatrzymując się koło Pawła. Rzecz prosta, car natychmiast zwrócił uwagę na takie przekroczenie jego dekretu i bezzwłocznie wysłał pogoń za tą kobietą swego adjutanta, z rozkazem oddania czterech jej ludzi w rekruty, oraz osadzenia jej samej w areszcie. Rozkaz został natychmiast spełniony, ale nieszczęsna niewiasta zwarjowała, a jej mąż zmarł we wsi, będąc pozostawiony bez lekarskiej pomocy.

Jeszcze surowsza etykieta panowała wewnątrz pałacu. Podczas całowania ręki cara Pawła I, wszyscy wierni poddani mieli padać na kolana. Książę Jerzy Golicyn osadzony został w areszcie za to, że niedość nisko się skłonił, i że zbyt niedbale pocałował rękę Jego Cesarskiej Mości.

Wszystkie te niepoczytalności są wzięte z życia cara Pawła I. One właśnie uczyniły pod koniec czwartego roku jego rządów niemożliwem poprostu dalsze jego panowanie. Niepoczytalności carskie z każdym

dniem wzrastały. Stał się on okrutnym samodzierżcą, którego najmniejsze pragnienie stało się wnet prawem. Paweł I czuł instynktownie, że grozi mu nieznane, ale zupełnie realne niebezpieczeństwo, to też lęk jeszcze bardziej zamraczał jego i tak już niesamowitą duszę. Car prawie zupełnie zamknął się teraz w Pałacu Michajłowskim, wystawionym przezeń na miejscu, gdzie poprzednio był pałac Letni Pałac ten, pomalowany na czerwono, w dowód sympatji dla gustu jednej z jego kochanek, która razu pewnego przybyła wieczorem do pałacu w czerwonych rękawiczkach, był potężnym gmachem w stylu ciężkim, z niezliczonym mnóstwem bastjonów, w których car czuł się całkowicie bezpiecznym... Bał się bezustannie zamachu, będąc poza tym pałacem.

Car Paweł posiadał dwóch ulubieńców, bardzo ugruntowanych na swych stanowiskach. Jednym z nich był niejaki Kutaison, z pochodzenia turek, który ongiś był podobno golibrodą cara Pawła a taraz bez żadnych zasług, stał się jednym z najbardziej wpływowych osób w cesarstwie... Drugim był hrabia Pahlen, szlachcic kurlandzki, generał-major podczas rządów Katarzyny II, który dzięki przyjaźni i protekcji Zubowa, ostatniego z faworytów carycy — otrzymał stanowisko cywilnego gubernatora miasta Rygi.

Dzieje kariery hrabiego Pahlena są takie: Na krótki czas przed swem wstąpieniem na tron, przybył Paweł do Rygi. Było to w czasie, gdy przyszły car Rosji był w niełasce, i dworzanie ledwie śmieli z nim mówić. Wtedy to hrabia Pahlen, przebywający w Rydze, świadczył mu wszystkie honory, należne Pawłowi jako następcy tronu. Paweł, nie przyzwyczajony do takich hołdów, przechował w duszy wdzięczność dla Pahlena. Wstąpiwszy na tron, przypomniał sobie owe przyjęcie, które mu sprawił Pahlen, to też zawezwał

go do stolicy, odznaczył wysokim orderem i mianował szefem gwardji oraz gubernatorem Petersburga.

Ale Pahlen, aczkolwiek zajmował tak wysoki urząd przy carze Pawle przez cztery lata — bardzo dobrze rozumiał całą kruchość losów ludzkich. Pahlen widział w swem życiu tylu ludzi, którzy najprzód wybili się wysoko, a następnie runęli — że dziwił się tylko, w jaki sposób on sam dotychczas nie skręcił karku?

Przeto postanowił uprzedzić swój upadek — przez obalenie Pawła...

Zdarzyło się, że Zubow, protektor Pahlena, którego car mianował najpierw generał-adjutantem oraz komendantem pałacowym — naraz stracił łaski cara. Obudziwszy się pewnego dnia rano, dowiedział się, że jego kancelarja została opieczętowana, dwaj główni jego sekretarze, Altesti oraz Grzybowski wtrąceni do więzienia, a wszyscy oficerowie z jego sztabu oraz świty mają albo wrócić do swych pułków, albo podać się do dymisji. W tym samym czasie car Paweł — przez jakiś dziwny kontrast — podarował mu pałac, a już nazajutrz pozbawił go wszelkich orderów i stanowisk! Zubow zajmował dwadzieścia pięć stanowisk, które teraz oto miał być opuścić, otrzymawszy równocześnie rozkaz natychmiast wyjechać z granic Rosji. Wyjechał i zamieszkał w Niemczech, gdzie — wychowany na dobrym tonie, panującym na dworze carycy Katarzyny — i wyróżniającym się nie tylko urodą, ale i rozumem — był dobrym wzorem dla otoczenia.

I oto do Niemiec, przybył do Zubowa, wysłaniec od hrabiego Pahlena. Prawdopodobnie Zubow uskarżał się wobec dawnego protegowanego na swe niezasłużone wygnanie, całkiem zrozumiałe, — dość, że Pahlen przysłał mu odpowiedź na jego żalosny list. W liście tym Pahlen dał mu nastę-

pującą radę: udać, jakoby on, Zubow, chce się ożenić z córką ulubieńca cara Pawła, Kutaisowa! Samo przez się rozumie się, że car Paweł, któremu ta wieść pochlebi, nie omisszka pozwolić wygnać wrócić do Petersburga, a wtedy zobaczymy, co trzeba będzie robić dalej...

Zubow spełnił radę Pahlana. Pewnego dnia Kutaisow otrzymał list od Zubowa, w którym tenże prosi o rękę jego córki. Eks-golibroda i krętacz, któremu niezmiernie pochlebiła powyższa propozycja — natychmiast udał się do pałacu Michajłowskiego, padł do nóg cara Pawła i trzymając w rękach list Zubowa, począł błagać cara, by uszczęśliwił jego oraz jego córkę i pozwolił najmiłościwiej wyjść za mąż za Zubowa. Paweł rzucił okiem na list, który Kutaisow miał w rękach, przeczytał i rzekł:

— Jest to pierwsza mądra myśl, która przysłała do głowy temu szaleńcowi. Dobrze. Niech wraca.

W dwa tygodnie potem wrócił Zubow z wygnania do Petersburga na mocy najmiłościwszego zezwolenia i począł zabiegać o rękę córki ulubieńca cara...

I otóż pod osłoną tych zdarzeń, zrodził się i rozrósł spisek na cara Pawła I, spisek, który wciągnął do zamachu wielu malkontentów. Początkowo spiskowcy marzyli jeno o detronizacji obłąkanego cara, to jest, o pozbawieniu go władzy. Stanowiło to ostateczny cel ich dążeń. Car Paweł miał być przez nich deportowany, — po zrzeczeniu się tronu, — do jakiejś daleko położonej gubernji, a zamiast niego miał być wstąpić na tron wielki książę Aleksander, którym spiskowcy dysponowali zupełnie bez jego wiedzy. Ale byli i tacy ludzie wśród spiskowców, którzy rozumieli, że sprawa może się nie tak skończyć. Wiedzieli oni, że Aleksander nie przyłączy się do spisku i że na pewno nie weźmie władzy z ich rąk.

Tymczasem Pahlen, aczkolwiek był głową spisku, zachowywał się tak, że nie dawał najmniejszego powodu do podejrzeń: zależnie od okoliczności mógł być pójsć razem ze spiskowcami albo stanąć po stronie Pawła. Taka chwiejność jego postępowania oziębiła, naogół, ku niemu spiskowców, i sprawa być może, wlokła by się jeszcze długo, gdyby sam Pahlen nie popchnął jej naprzód pewnym swym czynem. Znając dobrze charakter Pawła, Pahlen, naturalnie, już zawczasu liczył na zupełne powodzenie swego zamysłu, który na tem polegał, że Pahlen napisał do cara list anonimowy, w którym wspomniał o spisku, grożącym carowi. Do listu dołączona została lista, z wymienionymi wszystkimi spiskowcami...

Car Paweł, otrzymawszy ten list, przedewszystkiem rozkazał zdwoić strażę w pałacu Michajłowskim i zaważwał do siebie — Pahlenu.

Pahlen zgóry był przygotowany na to wezwanie do cara, to też bezzwłocznie przybył do pałacu. Zastał cara Pawła w pokoju sypialnym, położonym na pierwszym piętrze. Była to obszerna czterokątna komnata, z drzwiami nawprost keminka oraz dwoma oknami, wychodzącemi na dziedziniec. Koło ściany, będącej nawprost okien, stało łoże cara Pawła, a koło niego znajdowały się drzwi potajemne, prowadzące do pokojów carycy. W pewnej odległości od carskiego łoża, w podłodze znajdowały się drugie drzwi potajemne, które otwierały się przy naciśnięciu nogą w pewnym miejscu. Pod podłogą znajdowały się schody, prowadzące do korytarza, skąd przejściem pedziemnem można było bezpiecznie wyjść na świeże powietrze.

Car Paweł chodził wielkimi krokami po komnacie, rzucając raz po raz gniewne okrzyki. Otwarły się drzwi i wszedł — Pahlen. Car zwrócił się ku niemu.

Stanąwszy nawprost niego zè skrzyżowanemi na pier-
siach rękoma, przeszywając go wzrokiem, rzekł:

— Hrabio, czy wiesz, co dzieje się w Peters-
burgu?

— Wiem, — odparł Pahlen. — Najmiłościwszy
mój pan cesarz rozkazał mi tu przybyć, przeto po-
spieszyłem się spełnić jego rozkaz.

— Czy wiesz, hrabio, dlaczego zawezwałem
cię? — spytał car z widocznem zniecierpliwieniem.

— Czekam, aż Wasza Cesarska Mość raczy mi
to wyjaśnić.

— Wezwałem cię, hrabio, by ci zakomunikować,
że w stolicy powstał przeciwko mnie spisek!

— Wiem o tem, Wasza Cesarska Mości.

— Jakto! Pan wiesz o tem?

— Wiem, i nawet sam też jestem w liczbie
spiskowców.

— Oto, — rzekł car — otrzymałem listę, na któ-
rej są wszyscy wymienieni.

— A ja mam je dwie, Wasza Cesarska Mości!
Oto one.

— Do kroćset!... — huknął car Paweł, nie wie-
dząc czemu tu wierzyć.

— Wasza Cesarska Mość, — ciągnął Pahlen, —
niech raczy porównać obie listy; jeśli ten, kto ją na-
desłał zna się na rzeczy, to obie listy powinny być
identyczne.

— Patrz pan, — rzekł Pawe

— Owszem, — odparł Pahlen, przebiegając listę
oczami, — wymienione są tu wszystkie osoby oprócz
trzech.

— Oprócz kogo? — żywo zapytał ci

— Wasza Cesarska Mość wybaczy, że nie śmiem
wymenić ich, ale teraz mamy niezbity dowód praw-
dziwości moich informacji. Ufam, że Wasza Cesarska

Mość odniesie się do mnie z zupełnem zaufaniem i zechce całkowicie na mnie polegać...

— Mów pan wszystko, — przerwał mu car, — kto są oni? Chcę wiedzieć natychmiast, kto są te trzy osoby?!

— Wasza Cesarska Mości — powtórzył Pahlen, schylając głowę, — nie mam tego zuchwalstwa, by wymówić te trzy imiona pomazańców...

— Czekam! — groźnie zawołał car Paweł, rzucając wzrok na potajemne drzwi, prowadzące do apartamentów cesarzowej, — wiem, pan napomykasz o imperatorowej, o cesarzewiczu Aleksandrze i wielkim księciu Konstantym?

— Prawo nie powinno znać imion tych, kogo nie może dotknąć się.

— Prawo dotknie się wszystkich, — zawołał Paweł, — a wina, czyjakolwiek będzie, poniesie należytą karę! Pahlen, rozkazuję ci natychmiast aresztować obu wielkich książąt i wysłać ich jutro do Szlisselburga. Co się zaś tyczy imperatorowej — to sam się cò do niej rozporządę. A rozprawienie się z resztą spiskowców — już panu pozostawiam.

— Według rozkazu, Wasza Cesarska Mości, — odparł Pahlen, — ale poproszę wydać mi rozkaz na piśmie. Choćby nie wiem jak nietykalna była osobistość, choćby nie wiem jak wysokiem było stanowisko winnych — spełnię ściśle twój rozkaz.

— Tyś jest jedyny mój wierny sługa! — zawołał car Paweł, — strzeż mnie, albowiem widzę, że wszyscy pragną mej śmierci i nikogo nie mam przy sobie, prócz ciebie!

Mówiąc to, car Paweł skreślił rozkaz o aresztowaniu obu wielkich książąt, poczem wręczył go Pahlenowi...

Tego tylko pragnął sprytny spiskowiec... Mając

w rękach ten rozkaz, natychmiast udał się do mieszkania Zubowa, w którym, jak to wiedział, zgromadzili się spiskowcy.

— Wszystko wykryło się, — rzekł do nich, — oto macie rozkaz cara aresztowania wielkich książąt! Nie wolno nam teraz tracić ani chwili. Dziś w nocy jeszcze jestem gubernatorem sankt-petersburskim, a jutro już, być może, będę w więzieniu. Trzeba zdecydować się działać natychmiast!

W istocie nie można było zwlekać, ponieważ opieszałość groziła wszystkim szafotem, a conajmniej zesłaniem na Sybir. To też spiskowcy umówili się, że jeszcze tej nocy zjedną się u hrabiego Golicyna, dowódcy pułku Preobrażeńskiego. Że zaś nie było ich zbyt wielu, tedy postanowili przyciągnąć do siebie wszystkich niezadowolenców, aresztowanych w tymże dniu w stolicy.

Okoliczności sprzyjały im pod tym względem, ponieważ tegoż dnia zostało zaaresztowanych blisko 30 oficerów z najlepszych rodzin petersburskich, przy czem niektórzy z nich zostali zdegradowani, wtrąceni do więzienia lub też zesłani na wygnanie za czyny, zasługujące conajwyżej — wymówki. Hrabia Pahlen wydał polecenie, aby w różnych częściach miasta, w pobliżu więzień, w których znajdowali się aresztowani oficerowie — trzymano w pogotowiu po kilka sań, które byłyby dla dyspozycji tych więźniów. Zaczem, widząc, że spiskowcy trzymają się dobrze — podążył do cesarzewicza Aleksandra.

Aleksander przed chwilą właśnie spotkał ojca i według zwyczaju, chciał podejść do niego, by się przywitać, ale car Paweł dał mu znak, by się nie zbliżał i rozkazał udać się do swej komnaty i czekać na dalsze rozkazy.

Pahlen zastał Aleksandra w jego komnacie wiel-

ce zaniepokojonego tą nagłą surowością ojca, której powodów zupełnie nie znał.

Ujrawszy Pahlena, Aleksander zapytał go, czy nie przybywa czasem do niego z rozkazu ojca?

— Niestety, — odparł Pahlen, — Jego Cesar-ska Mość dał mi okropne polecenie.

— Jakież to? — spytał Aleksander.

— Aresztować Waszą Wysokość!

— Mnie?! — krzyknął Aleksander. — Za co?!

— Wasza Księżca Wysokość raczy niezapomi-nać, że u nas nieraz dosięga człowieka kara jeszcze przedtem, nim zdołał on popełnić przestępstwo!

— Cesarz, — odparł na to Aleksander — dwojako może rozporządzać się mym losem: jako imperator i jako ojciec. Jestem gotów poddać się jego rozkazom.

Hrabia pokazał mu nakaz aresztowania, który Aleksander począł czytać. Ale ujrawszy, że dotyczy on również i wielkiego księcia Konstantego, zawołał:

— Jakto, a więc i mego brata również? Mnie-małem, że nakaz dotyczy tylko mnie jednego!

A gdy Pahlen oświadczył mu, że taki sam los oczekuje również imperatorową — tu Aleksander por-wał się za głowę.

— O, matko! — załkał, — o biedna matko! Nie, tego to już zanadto, tak mój Pahlenie, tego zanadto!...

I zastawił twarz obiema rękami. Pahlen uznał obecny moment za zupełnie odpowiedni do pomówie-nia z cesarzewiczem Aleksandrem.

— Wasza Wysokość zechce mnie wysłuchać, — rzekł, — gdyż należy koniecznie zapobiedz nieszczęs-tciu, wszelkiemu nieszczęściu. Koniecznie trzeba poło-żyć kres szaleństwu cesarza... Dziś on pozbawia cię wolności, a jutro, być może, pozbawi...

— Pahlen!...

— Niech Wasza Wysokość zechce tylko przypomni sobie los Aleksego Piotrowicza...

— Pahlen, pan spotwarza mego ojca!

— Bynajmniej, Wasza Wysokości, ponieważ oskarżam nie jego serce, lecz rozsądek. Wszystkie te dziwne sprzeczności w charakterze jego, te potworne rozkazy, te niezliczone kary — świadczą tylko o jego okropnej chorobie... Mówią to wszyscy ci, którzy stają blisko cara zarówno jak i ci, którzy są daleko od niego. Wasza Wysokości — cesarz Paweł jest obłąkanym!

— O, Boże, mój Boże!!..

— Trzeba go koniecznie wyzwolić od niego samego. To powiadam nie tylko ja — mówi to cały senat, cały naród którego reprezentantem tutaj jestem ja. Koniecznym jest, aby car Paweł I zrzekł się tronu na korzyść Waszej Wysokości!

— Co pan mówi! — zawołał Aleksander, cofając się w tył. — Aby wstąpił na tron po ojcu, który jeszcze żyje, abym zdarł z jego głowy koronę?!.. Nie, jeśli kto jest obłąkanym, to ty, — Pahleniel... Nigdy! przenigdy!..

— Wasza Wysokości, — spokojnie odparł Pahlen, — nie raczył wniknąć w rozkaz. Tu chodzi nie tylko o aresztowanie Waszej Wysokości; zepewniam, że tu również życie Waszej Wysokości znajduje się w niebezpieczeństwie!

— Niech pan ratuje imperatorową i brata! — oto wszystko, o co go proszę, — rzekł Aleksander.

— Cóż mogę począć? — spytał Pahlen. — Alboż rozkaz nie dotyczy tak samo ich, jak Waszej Wysokości? Skoro oni zostaną aresztowani i wtrąceni do kazamat, to zawsze znajdą się ludzie, którzy, chcąc dogodzić Pawłowi, pójdą dalej jeszcze, niż idą jego żądania! Niech Wasza Wysokość spojrz na to, co się

dzieje się w Anglii: tam władza panującego nie sięga tak daleko jak u nas, a przeto niebezpieczeństwo dla otoczenia nie jest tak znaczne. Oto czemu szaleństwo króla Jerzego w Anglii nie jest tak niebezpieczne! Zresztą to jeszcze powiem Waszej Wysokości: przystając na to, co proponuję, ocali Wasza Wysokość nie tylko swoje życie, ale i życie wielkiego księcia i imperatorowej, a nawet i ojca.

— Co pan chcesz tem powiedzieć?

— Chcę rzec, że panowanie Pawła ciąży wszystkim dziś tak dalece, że zarówno szlachta, jak i senat postanowili wszystkimi sposobami, położyć kres temu. To też jeśli Wasza Wysokość odmówi zgody swej na zrzeczenie się tronu przez Pawła — kto wie czy nie będzie musiał przeżyć zabójstwo ojca!

— O, Boże! — zawołał Aleksander, — czy mogę widzieć ojca?

— Nie, Wasza Wysokości, — otrzymałem bowiem jaknajsurowszy zakaz dopuszczania Waszej Wysokości do cara.

— Pan powiadasz, że życie Pawła jest w niebezpieczeństwie? — spytał Alesander.

— Rosja wszelkie nadzieje swe pokłada w Waszej wysokości, to też, jeśli zmuszeni będziemy wybierać pomiędzy decyzją, która może nas zgubić a zbrodnią, która może nas uratować — wybierzemy to ostatnie.

Pahlen zrobił gest, jakgdyby chciał odejść.

— Pahlen! — zawołał Aleksander. — Pahlen, przysięgnij mi, że ojcu memu nic nie grozi i że pan życie swe złożyysz w ofierze w razie konieczności bronięcia go. Przysięgnij mi zaraz, inaczej nie wypuszczę cię stąd!

— Wasza Wysokości, — rzekł Pahlen, — zakomunikowałem to, co miałem zakomunikować. Proszę

„ię zastanowić nad tem, co powiedziałem, ja zaś ze swej strony zastanowię się nad przysięgą, której Wasya Wysokość żąda ode mnie...

Powiedziawszy to, Pahlen skłonił się głęboko i wyszedł z komnaty. Ustawivszy straż koło drzwi, udał się do wielkiego księcia Konstantego, oraz do cesarzowej Marji Teodorówny, pokazał im rozkaz carski, ale nie przedsięwziął w stosunku do nich tych środków bezpieczeństwa, co w stosunku do Aleksandra.

Była już godzina 8 wieczór, ale było już dość ciemno, gdyż rzecz działa się na początku wiosny. Pahlen udał się do księcia Golicyna, u którego zastał prawie wszystkich spiskowców. Ze wszech stron posypały się nań pytania:

— Nie mam czasu na odpowiadanie wam, — rzekł Wahlen, — na razie wszystko idzie dobrze, a za pół godziny będę mógł wam zakomunikować bardziej szczegółowe informacje.

Stąd Pahlen udał się do więzień. Przed nim, jako przed gubernatorem Petersburga, stały otworem wszystkie bramy więzień. Więźniowie turmy, ujrawszy go w otoczeniu straży z poważnym wyrazem twarzy, sądzili, że już nadeszła ostatnia ich godzina, albo moment deportacji na Sybir czy też przeniesienia ich do jakiegoś bardziej okropnego więzienia. Pahlen rozkazał im ubrać się i przygotować się do wyjazdu, czem potwierdził jeszcze bardziej ich domniemania. Nieszczęśni więźniowie usłuchali rozkazu. Koło bramy więzienia oczekiwała ich straż wojskowa, która porządzała ich po saniach. Sanie popędziły galopa.

Ku wielkiemu zdumieniu więźniów sanie zatrzymały się po pewnym czasie na dziedzińcu wspaniałego pałacu. Więźniom kazano wysiąść. Wyszli, brama pałacu zamknęła się za nimi, a straż wojskowa stanęła na dziedzińcu. Pahlen wydał rozkaz:

— Za mną! — rzekł, idąc na czele.

Nic nie rozumiejąc, więźniowie ruszyli za nim. Zbliżywszy się do komnaty, gdzie zgromadzeni, Pahlen rozdał wszystkim więźniom szable i rzekł:

— Zbróćcie się!

Więźniowie, wciąż jeszcze nie wiedząc o co chodzi, usłuchali rozkazu, ale już poczynali domyślać się, że będą aktorami czegoś tyleż dziwnego, co i niespodziewanego. Pahlen otworzył przed nimi drzwi od pokoju, w którym oczekiwali spiskowcy i — nagle więźniowie ujrzeli wśród nich swych znajomych, którzy z kielichami wina w rękach, jęli wołać: „Niech żyje Aleksander!” Więźniowie, którzy cudem tylko wydarci zostali turmie, i którzy uważali się za na zawsze oderwanych od swych przyjaciół — z krzykiem radości rzucili się do sali, gdzie odbywała się uczta. W kilku słowach opowiedziano im wszystko, co miało zajść. Wszyscy więźniowie tchnęli żądzą pomsty za poniżenie, którego dziś doznali. Plan carobójstwa przyjęty został przez wszystkich z uznaniem, i nikt z obecnych nie odmówił swego udziału w akcji, która miała być wykonana.

O godzinie jedenastej w nocy spiskowcy w liczbie około 50, wyszli z mieszkania hrabiego Golicyna i otuliwszy się głęboko w szynele — skierowali małymi grupami ku pałacowi Michajłowskiemu. Na czele spiskowców stali: hrabia Beningsen, hrabia Platon-Zubcw, były faworyt nierządnej Katarzyny, Pahlen, gubernator petersburski, Depreradowicz, dowódca pułku Semionowskiego, Argamakow, adjutant carski, książę Jaszwil, generał-major artylerji, książę Golicyn, komendant gwardji pułku Preobrażeńskiego, i wreszcie książę Wiaziemski.

Spiskowcy weszli do parku, okalającego Pałac Michajłowski, ale w tymże momencie, gdy szli aleją

pod ogromnemi drzewami, zupełnie pozbawionemi z liści o tej porze roku — stado wron, zbudzonych hałasem ich kroków, z wrzaskiem zerwało się z drzew. Spiskowcy, przestraszeni tym krzykiem, krócy — według pojęć rosyjskich — jest złą zapowiedzią, poczęli wahać się, nie śmiać iść dalej. Ale Zubow i Pahlen wpłynęli na nich swą odwagą i spiskowcy ruszyli dalej.

Wszedłszy na dziedziniec Pałacu Michajłowskiego, spiskowcy podzielili się na dwa oddziały: jeden pod dowództwem samego Pahlena wtargnął na dziedziniec przez małe wrota, któremi zazwyczaj wchodził Pahlen, gdy nie chciał być zauważonym. Drugi oddział, pod dowództwem Zubowa i Bennigsena skierował się frontowemi schodami i bez przeszkód ruszył na górę, zawdzięczając to temu, że Pahlen zawczasu wycofał z pałacu wszystkich stojących na straży żołnierzy, zastępując ich oficerami, przebranymi za szeregowców.

Ale jeden z żołnierzy, którego zapomniano zastąpić oficerem, ujrawszy zbliżający się tłum spiskowców, krzyknął „kto tam?” i nie chciał ich puścić dalej. Ale w tejże chwili zbliżył się doń Benningsen, i rozpiąwszy płaszcz, pod którym widać było mundur z orderami zawołał:

— Milcz! Albo nie widzisz, kto idzie!

Żołnierz cofnął się, a spiskowcy poszli dalej. Na galeryjce przed przedpokojem, prowadzącym do komnat carskich, spiskowcy ujrzeli oficera, przebranego za szeregowca.

— No, jak tam car? — szeptem spytał Zubow.

— Będzie godzina jak wrócił, a teraz, jak się zdaje już poszedł spać, — również cicho odparł oficer.

— Dobrze, — rzekł Zubow, i spiskowcy ruszyli dalej...

Paweł I według zwyczaju spędził cały ten wieczór u księżny Gagarinej. Zauważywszy, że car jest jakiś bledszy i bardziej ponury, niż zazwyczaj, poczęła go wypytywać o powód tego.

— Powód, — odparł car, — jest ten, że nastał dla mnie moment nadzwyczaj ważny: za kilka dni, być może, spadną głowy tych, którzy dotychczas byli mi tak drodzy.

Przestraszona temi groźnemi słowami, księżna Gagarina, znając doskonale nieufność Pawła do swej rodziny, skorzystała z pierwszego pretekstu, aby skreślić do Aleksandra kilka słów, w którym uprzedzała go o grożącym jego życiu niebezpieczeństwie. Oficer, postawiony na straży koło drzwi pokoju Aleksandra, miał rozkaz nie wypuszczać go w żadnym, razie ale nie zakazano mu wpuszczać do carewicza kogokolwiek. To też człowiek z notatką od księżny Gagarinej swobodnie dostał się do pokoju Aleksandra i wręczył mu kartkę. Znając bliski stosunek, łączący księżnę z carem Pawłem, oraz jej kompetencję we wszystkich jego tajnych sprawach. — Aleksander zrozumiał całą grozę swej sytuacji.

O jedenastej w nocy car Paweł, jak to zakomunikował stojący na straży oficer, wrócił od Gagarinej do swych komnat i natychmiast udał się do swego carskiego łóża.

W tejsze chwili spiskowcy podeszli do drzwi, prowadzących do komnaty, położonej obok sypialni imperatora Rosji.

Argamakow zastukał do drzwi.

— Kto tam? — spytał lokaj carski.

— Ja, Argamakow, adjutant Jego Cesarskiej

Mości

— Czego życzy sobie Jego Ekscelencja?

— Mam złożyć cesarzowi raport nadzwyczajny!

— Ekscelencjo, przecież teraz prawie północ...

— Nie północ, a prawie szósta nad ranem.

Otwórz drzwi, inaczej cesarz będzie się gniewać...

— Doprawdy nie wiem, Ekscelencjo, co mam robić...

— Rozkazuję ci otworzyć natychmiast drzwi.

Lokaj usłuchał rozkazu. Gdy tylko drzwi otwały się, spiskowcy z bronią w rękach runęli do komnaty. Przerażony lokaj uciekł i ukrył się w kącie pokoju. Wówczas jakiś żołnierz gwardji,—Polak, stojący na straży przed sypialnią Pawła—zasłonił go sobą, błagając, by spiskowcy odeszli. Zubow chciał go odepchnąć, ale w tejże chwili rozległ się strzał i żołnierz polski runął we krwi na ziemię. Jedyńy obrońca tego, kto jeszcze godzinę temu gnębił pięćdziesiąt-miljonowy naród, został zabity!

Huk wystrzału zbudził Pawła. Zerwał się z łoża i rzucił się w stronę potajemnych drzwi, prowadzących do pokojów imperatorowej, zapominając, że trzy dni temu, dzięki swej podejrzliwości kazał zabić te drzwi. Wtedy przypomniał sobie Paweł o przejściu podziemnem, cóż kiedy, będąc bosym, nie mógł tak mocno nacisnąć sprężyny, by drzwi podniosły się. W tej samej chwili drzwi do jego komnaty wylamano. Paweł schował się za kotarą, zasłaniającą kominek.

Benningsen i Zubow pierwsi wpadli do sypialni cara Pawła. Dopadłszy jego łoża, i ujrawszy że jest puste, Zubow krzyknął:

— Wszystko przepadło! Uciekł!

— Nie, — rzekł Benningsen — oto on.

— Pahlen! — krzyknął car Paweł, — do mnie,

Pahlen!

— Wasza Cesarska Mości! — odezwał się Benningens, podchodząc do Pawła, — napróżno wołasz Pahlen! Pahlen jest — naszym! Ale racz nie lękać się: życiu twemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. W imieniu imperatora Aleksandra aresztuję cię!

— Kto jesteście? — krzyknął car, który przy słabem, drżącym świetle kaganka nie poznał tych, z którymi mówił. —

— Kto jesteśmy? — powtórzył Zubow, podając mu akt zrzeczenia się tronu, — jesteśmy wysłani przez senat. Przeczytaj ten papier i sam decyduj o swym losie!

Zubow jedną ręką podał mu papier, a drugą zbliżył kagank, by car mógł go przeczytać.

Paweł wziął papier i począł go czytać. Nie doczytawszy do końca, podniósł głowę, spojrzął na spiskowców i rzekł:

— Co wam uczyniłem, że tak postępujecie ze mną?

— Cztery lata nas gnębisz, tyranie! — krzyknął mu z odpowiedzi jakiś spiskowiec.

Paweł czytał dalej, ale wraz z tem, jak czytał — rosło jego wzburzenie i gniew go ogarniał. Zapomniał zupełnie, że jest teraz samotny, nagi i bezbronny, że przed nim stoją ludzie w czapkach na głowach i z szablami w rękach. Zniżył akt o abdykacji i cisnął go na podłogę.

— Nigdy, — krzyknął — nie podpiszę tego papieru! Raczej zginę!...

I zrobił ruch, jakby chciał chwycić swoją szablę, leżącą o kilka kroków na fotelu.

W tymże momencie do komnaty wtargnął drugi oddział spiskowców, składający się przeważnie ze zdegradowanych albo skazanych na karę oficerów. Na czele oddziału stał książę Jaszwił, który poprzy-

sięgnął był zemstę na carze, za otrzymaną zniewagę.

Rzucił się na Pawła i pomiędzy nimi powstała walka, podczas której obadwaj runęli na podłogę, obalając kaganek i parawan. Paweł dziko krzyknął, ponieważ uderzył się głową o zrab kominka i odniósł głęboką ranę. Złakłszy się, że ten krzyk może być usłyszany w pałacu, książę Wiaziemski rzucił się na Pawła i jął go dusić.

Wszystko to odbyło się po ciemku. Była chwila, gdy Paweł wyrwał się z rąk duszących go i począł błagać po francusku:

— Messieurs, Messieurs, épargnez-moi, laissez-moi le temps de prier Die !... (Panowie, panowie, zlitujcie się, dajcie mi się pomodlić do Bo !...)

Ale słowa jego zostały zagłuszone, ponieważ jeden ze spiskowców owinął mu dokoła szyi szarfę i ściągnął ją. Paweł począł chrapać, lecz wkrótce chrapanie to ustało. Kilka kurczowych rzutów wstrząsnęło mu ciałem, a kiedy Benningsen znowu zapalił kaganek — car Paweł już leżał martwy.

Na głowie miał otwartą ranę, otrzymaną podczas uderzenia o zrab kominka, ale spiskowców nie niepokoilo to bynajmniej. Postanowiono ogłosić, że car Paweł zmarł na atak apoplektyczny i, że padając na podłogę — wyciął głową o fotel, wyrządzając sobie ranę...

Za ścianą komnaty, rozległ się jakiś szmer. Była to imperatorowa, która usłyszała hałas i krzyki, dochodzące z pokoi cara. Spiskowcy przelękli się, ale poznavszy jej głos, uspokoili sie. Zresztą potajemne przejście z jej komnaty do komnaty Pawła zostało zabite, mogli więc swobodnie skończyć rozpoczęte dzieło.

Benningsen schylił się nad carem, a przekonawszy się, że nie żyje, kazał położyć go na łożu. Teraz

dopiero w komnacie ukazał się Pahlen, trzymając w ręce obnażoną szablę. Wierny swej podwójnej roli, wyczekał, aż wszystko zostanie spełnione, by móżdżek nareszcie przyłączyć się do spiskowców... Ujrawszy trupa Pawła, na którego Benningsen cisnął koidrę, Pahlen zbladł, oparł się o drzwi i wypuścił z rąk szablę.

— Czas, panowie, iść, — odezwał się Benningsen, który tylko jeden ze wszystkich zachował w tym momencie zupełne panowanie nad sobą. — Musimy iść złożyć przysięgę nowemu imperatorowi Rosji!

— Tak, tak, — rozległo się ze wszech stron.

I spiskowcy zaczęli opuszczać komnatę, w której przed chwilą rozegrała się ta straszliwa tragedia.

Podczas tego imperatorowa, widząc, że nie może dostać się do komnaty Pawła przez przejście potajemne, cofnęła się, by innym przejściem dostać się do męzowskiej części pałacu. W jednej z sal spotkała Petrowskiego, porucznika pułku Siemionowskiego z 30 żołnierzami, będącymi pod jego komendą. Spełniając dany mu rozkaz, Petrowski zagroził jej drogę.

— Przepraszam, — rzekł, — dalej nie mogę pani przepuścić.

— Alboż pan nie poznał mnie?! — spytała imperatorowa.

— Poznałem Waszą Cesarską Mość, ale właśnie — cesarzowej nie pozwolono mi przepuszczać.

— Kto rozkazał?

— Mój komendant pułku.

— I pan ośmielasz się wykonywać taki rozkaz?

Imperatorowa zwróciła się w stronę żołnierzy, ale ci skrzyżowali broń, zagrządzając jej drogę.

Nagle w sali zjawili się spiskowcy, na czele z Benningsenem, wołając: „Niech żyje imperator Aleksander!”

Ujrawszy Marię Teodorównę, Benningsen skierował się ku niej. Marija Teodorówna dała mu znak, aby podszedł i poprosiła o danie rozkazu żołnierzom, by ją przepuszczono do cara Pawła.

— Wasza Cesarska Mości, — odparł Benningsen, — teraz już wszystko skończone. Imperator Paweł umarł.

Usłyszawszy to, imperatorowa krzyknęła i padła zemdlona. Obie jej córki, wielkie księżny Marija i Katarzyna, usłyszawszy krzyk matki, rzuciły się ku niej na ratunek. Marija Teodorówna przyszedłszy do siebie, poprosiła o wodę. Jeden z żołnierzy podbiegł i przyniósł jej szklanekę wody, ale córka Marija wzięła ją z rąk żołnierza, wahając się, czy ma ją podać matce w mniemaniu, że woda jest zatruta. Wówczas domyślny żołnierz odpił pół szklanki i podając ją wielkiej księżnie, rzekł:

— Jej Cesarska Mość może pić tę wodę bez obawy.

Opuściwszy imperatorową i obie wielkie księżne, Benningsen skierował się do carewicza Aleksandra. Pokoje Aleksandra znajdowały się nad apartamentami cara Pawła, tak że musiał on słyszeć wszystko, co stało się pod nim: wystrzał, krzyki, padanie cara i jęki umierającego. Chciał pobiedz na pomoc ojcu, ale żołnierz, stojący na straży u drzwi, nie przepuścił go. Trudno, poczuł, że jest jeńcem i że nic nie poradzi..

Otoczony kilkoma spiskowcami, Benningsen wszedł do pokojów Aleksandra. Krzyki: „Niech żyje imperator Aleksander!” powiedziały jeńcowi, że wszystko skończone, i że teraz już nie powinien mieć żadnej wątpliwości co do tego, za cenę czego otrzymuje tron.

Ujrawszy Pahlę, Aleksander rzekł:

— Ach, Pahlen! Jakaż okropna jest ta pierwsza karta mego panowania!

— Wasza Cesarska Mości, — odparł Pahlen, — przyszłe karty dadzą mu zapomnieć o tej pierwszej.

— Ale zrozumiecież, — zawołał Aleksander, — że wśród ludu poczną mówić, że to ja zabiłem swego ojca!

— Wasza Cesarska Mości! — spokojnie odparł Pahlen, — proszę w tym momencie nie myśleć o niczem innym, jak tylko o tem, co należy uczynić.

— Cóż więc mam począć? — spytał Aleksander, zupełnie złamany tem wszystkim co zeszło.

— Niech Wasza Cesarska Mość raczy pójść za mną — rzekł Pahlen — gdyż wszelka opieszałość może być brzemiennej w wielkie katastrofy.

— Czyńcie ze mną, co chcecie, — odparł słabym głosem Aleksander, — jestem w waszej woli.

Pahlen wsadził imperatora Aleksandra do powozu, przygotowanego dla cara Pawła, który miał go odwieźć do więzienia w fortecy. Aleksander usiadł ze łzami w oczach. Pahlen i Zubow stanęli w tyle powozu i powóz skierował się do Pałacu Zimowego, eskortowany przez dwa bataljony gwardji. Benning-sen pozostał przy cesarzowej Marji Teodorównie, którą obecny imperator Aleksander polecił jego opiece.

Na placu Admiralicji stały już w pogotowiu wszystkie główne pułki gwardji. „Hurra! Hurra!“ Niech żyje imperator Aleksander! — krzyknęli Pahlen i Zubow, wskazując na młodego Aleksandra.

„Hurra!“ — zawtórowały eskortujące bataljony, poczem wszystkie pułki krzyknęły: „Hurra!“ nowemu cesarzowi.

Aleksandra, bladego i zupełnie złamanego na duchu, poproszono, by wysiadł z powozu, poczem ze wszech stron poczęto mu winszować z entuzjazmem,

który świadczył niezbicie, że spiskowcy, mordując ty-
rana Pawła, spełnili tylko rolę milionów. Aleksander
zrozumiał teraz, że mimo całej swej chęci pomszcze-
nia śmierci ojca — nigdy nie będzie w stanie ukarać
zabójców.

Nazajutrz imperatorowa z kolei złożyła przysię-
gę wierności swemu synowi.

Według praw państwa rosyjskiego, właściwie ona
powinna była zająć tron po śmierci swego męża, ale
zrozumiawszy ważność chwili, sama zrzekła się praw
do tronu — na korzyść syna Aleksandra.

Chirurg Ville oraz doktor Stoff dokonali obduk-
cji zwłok cara Pawła, poczem oświadczyli, że zmarł
wskutek nagłego ataku apopleksji, a rana na głowie
pochodzi z runięcia na podłogę.

Gdy car Aleksander zaczął panować, spiskowcy
powoli pod rozmaitemi pretekstami zostali usunięci z
pałacu: jedni z nich dostali dymisję, inni wysłani zo-
stali do pułków, ulokowanych na kresach lub w Syberji.
W Petersburgu pozostał jedynie Pahlen, który utrzy-
mał się na stanowisku gubernatora stolicy. Pahlen
wszakże pozostał dla młodego cara Aleksandra jakby
żywym wyrzutem, to też Aleksander I szukał tylko o-
kazji, by się pozbyć Pahlena i usunąć go ze swego
otoczenia. Stało się to w sposób następujący.

W pewien czas po śmierci Pawła, jakiś pop roz-
puścił gadkę, że w jego cerkwi znajduje się obraz
cudowny, na którym u dołu znalazły się napisane ta-
jemniczą ręką słowa: „Bóg niech skarże wszystkich
morderców cara Pawła I-go”.

Dowiedziawszy się, że lud ciągnie tłumnie do
tej cerkwi, by ujrzeć „cudowny” obraz i będąc prze-
konanym, że taki napis na obrazie może być wielce
nieprzyjemny carowi Aleksandrowi, gdy się o nim do-

wie, Pahlen zyskał pozwolenie Aleksandra na położenie kresu intrygom owego popa.

Przeprowadzono śledztwo, które ustaliło, że pop zrobił to z polecenia cesarzowej, matki Aleksandra I-go. Na dowód prawdy pop powołał się na to, że w kaplicy ex-carowej Marji Teodorówny znajduje się również taki sam obraz... Pahlen przeprowadził rewizję w apartamentach ex-carowej i, znalazłszy istotnie taki sam obraz, kazał go wynieść. Matka cara Aleksandra, obrażona, poskarżyła się imperatorowi, ten zaś szukając tylko oddawna pretekstu do pozbycia się Pahlena, polecił Bekleszowowi powiedzieć hrabiemu Pahlenowi w imieniu cesarza, że Aleksander życzy sobie, aby Pahlen natychmiast opuścił stolicę.

— Dawno już czekałem na to, — rzekł, śmiejąc się Pahlen. — Moje kufry oddawna są przygotowane do drogi!

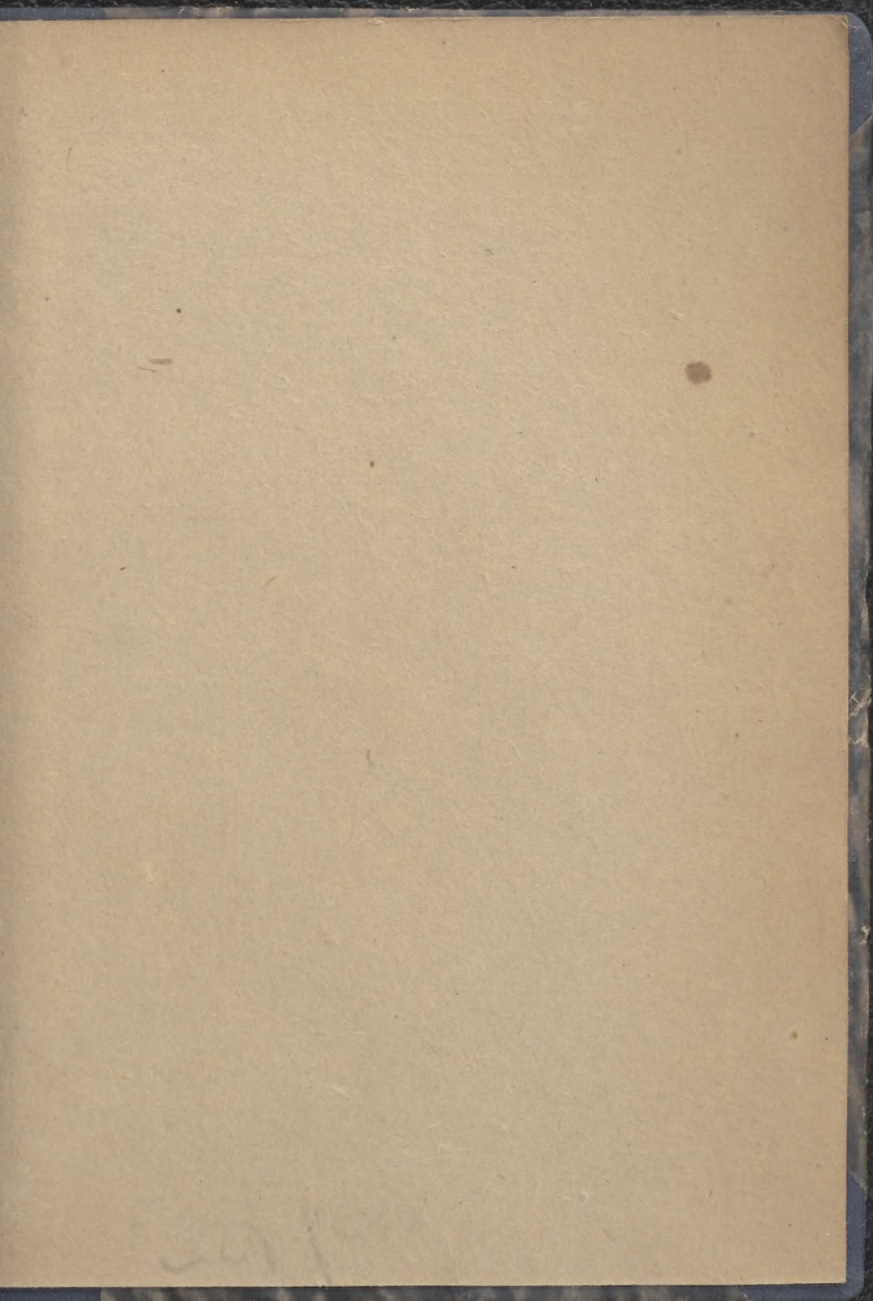
W godzinę potem Pahlen złożył carowi petycję o dymisję i jeszcze tegoż dnia wyjechał do Rygi.

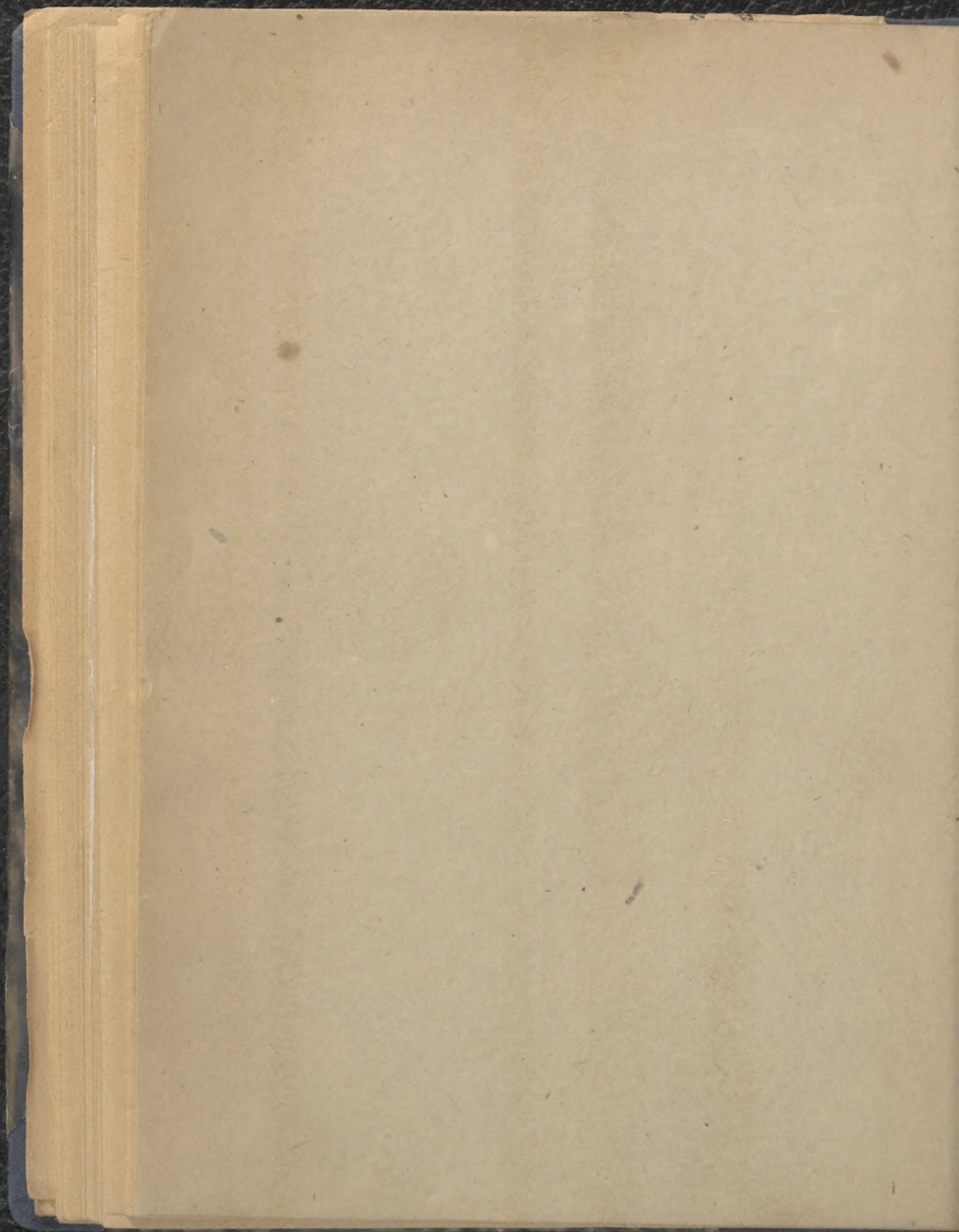
Z biegiem czasu melancholja cara Aleksandra coraz bardziej wzrastała. Nic nie pomagało. By się rozzerwać, — udawał się w podróże po Rosji i właśnie podczas jednej z takich podróży na Krym, zmarł w Taganrogu.

KONIEC.



6559 / 32





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021787957



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

660140

A